

Friede Birkner

Anioł czy diablica

I

– Mój drogi, zachowujesz się jakbyś był w buszu! Gdyby to Herbert zobaczył, na pewno jego już zły humor by się nie poprawił – rzekła Gundi patrząc z oburzeniem na swojego rozmówcę.

Horst poruszył się i trochę zmieszany rzekł:

– Najpierw musielibyśmy ustalić, co wypada robić w buszu, a co nie.

– Na pewno nie wypada trzymać nóg na gzymisie kominka! Widziałeś kiedyś, żebyśmy tak siedzieli, Herbert albo ja?

Widząc, że Gundi nie żartuje, Horst uśmiechnął się nieśmiało, zdjął wyciągnięte nogi z kominka, objął je poniżej kolan wielkimi jak łopaty dłońmi i spojrzał z ukosa na zagniewaną dziewczynę.

– Nie ukrywam, że chciałbym cię kiedyś zobaczyć w takiej pozie. Twoje śliczne nogi byłyby pięknie wyeksponowane. No, no! Tylko nie protestuj i nie wszczynaj ze mną sporu – ostrzegł widząc, że Gundi chce coś powiedzieć. – Szkoda, że swoją uwagą zepsułaś cały urok tej chwili.

– Musisz poczekać, aż rzeczywiście znajdziemy się w buszu i będziesz mógł wyciągać swoje szczudła, gdy tylko zapragniesz.

– Obawiam się, że ze znalezieniem tak wygodnego kominka będą tam raczej kłopoty. Trudno, wykorzystajmy więc tych kilka tygodni przed wyjazdem. Tobie też radzę, bo wtedy łatwiej dostrzeżesz różnicę między życiem w dostatnim mieszczańskim domu a życiem w afrykańskim buszu. A wracając do tematu – czemu właściwie Herbert ma zły humor? – spytał Horst patrząc na Gundi swoimi niewiarygodnie jasnymi oczyma.

Gundi Sanders zmarszczyła brwi, odgarnęła opadające jej na czoło gęste czarne loki i odpowiedziała wyraźnie zwlekając:

– Przyszedł list od Eleny.

– O rany! I co? Awantura?

– A słyszałaś, żeby kiedyś było inaczej?

– Doprawdy nie wiem, dlaczego Herbert jeszcze to znosi. Ja dawno już bym z nią zerwał.

– Jasne, skoro zamiast serca masz kamień. Tymczasem Herbert kocha Elenę.

– Powiedzmy raczej: kochał ją... kiedyś. Elena jest zabójczo piękna i jak śpiewa! Tylko że wtedy nikt nie zastanawia się nad jej okropnym charakterkiem. Tym razem o co wierci dziurę w brzuchu?

– Twój sposób wyrażania się czasami jest również nieznośny, mój drogi. Nie mógłbyś ugryźć się w język? – Gundi schyliła się udając, że zawiązuje mocniej rzemyk sandałka, a w rzeczywistości chciała ukryć uśmiech, który mimowolnie cisnął jej się na usta.

– Mógłbym, ale nie chcę! Taki już jestem, moja mała Gundi, i musisz mnie tolerować. Kolczasty jak jeź, ale za to wierny jak pies.

– Jakieś zalety musisz mieć, bo w przeciwnym razie nie byłbyś najlepszym przyjacielem Herberta.

– Myślę, że także twoim?

– Powiedzmy!

– Dobrze i to. Pomówmy raczej o naszej słynnej śpiewaczce, Elenie Gerber. Gdzie ją tym razem diabli noszą?

– Herbert wspomniał, że Elena planuje tournée po Niemczech i chce, żeby on jej stale towarzyszył. Także w Salzburgu, na dorocznym festiwalu.

– A on, biedaczysko, nie wie, jak się wymigać! Nasz poczciwy Herbert w roli komiwojażera słynnej divy ma tułać się za nią od miasta do miasta? Tylko mu współczuć! Jak on to wytrzymuje, skoro są zaręczeni już od czterech lat? Musi być strasznie zakochany, bo ja już dawno bym uciekł od tak kapryśnej kobiety.

– Wiesz, Horst, nie wiem czasami, czy Herbert nie wymyślił tej naszej wyprawy do Afryki dlatego, że postanowił zerwać z Eleną. Wszystko by na to wskazywało.

– Bystra jesteś i pewnie masz rację. A dlaczego ty postanowiłaś przyłączyć się do nas?

Gundi zaczerwieniła się lekko i zwlekała z odpowiedzią.

– Być może dlatego, że Herbert... że będę mu... wam wszystkim potrzebna – jąkała się. – Będę przyszywać guziki, strzyc wam włosy, gotować kawę... i tak dalej – dodała i kątem oka zerkała w stronę Horsta, który zapatrzony przed siebie ruszał pogrzebaczem w żarze rozpalonego kominka.

– Prawdę mówiąc, gdybyś była moją siostrą, kazałbym ci zostać w domu.

– ... i umierać z nudów! – przerwała mu.

– Pisałabyś do nas długie listy, a w chwilach przerwy robiła na drutach ciepłe skarpety!

– Baby do garów, tak?! A figa! Tak było kiedyś, a teraz jest równouprawnienie i musicie się z tym pogodzić.

– Gdzie ty się tego nauczyłaś? Pewnie słuchałaś przemówienia jakiejś aktywistki z Bundestagu! Jak chcesz, to tłucz się z nami w upale, śpij z moskitami i jedz z karaluchami, ale nie kwękaj, że woda do mycia śmierdzi, o ile w ogóle znajdziemy ją w jakiejś kałuży. To jest Afryka, dziewczyno, i nie zawsze będziemy mogli ci zapewnić choćby minimum komfortu.

– Dziękuję ci, przyjacielu, że tak się o mnie troszczysz. Wiem już z opowiadań Herberta, że wasze wyprawy to nie wczasy na Lazurowym Wybrzeżu. Proszę cię, Horst, nie wspominaj przy Herbercie o swoich wątpliwościach dotyczących tego, czy powinnam jechać z wami – Gundi złożyła usta w ciup i zrobiła błagalną minę.

Horst położył potężne dłonie na jej kolanach i patrzył w oczy jak wierny bernardyn na wyratowanego spod śniegu turystę.

– Też coś?! Jakie wątpliwości? Ja cieszę się jak dziecko, że pojedziesz z nami, choć wiem, że nie jest to najrozsądniejsza decyzja. Obiecuję jednak, że zrobię wszystko co w mojej mocy, aby w trudnych sytuacjach było ci jak najlżej.

– Ty raczej myśl o celu waszej podróży, jeżeli chcesz dalej być profesorem biochemii. Problem wody do mycia chyba nie jest najważniejszy. Zmieńmy jednak temat, bo zdaje się, że Herbert nadchodzi. – Gundi spojrzała na Horsta i z obojętną miną dodała głośno:

J – Przykro mi, że nie podoba ci się moja sukienka, ale dla twojego kaprysu nie będę jej zmieniała.

Doktor Herbert Sanders zszedł do salonu z pierwszego piętra willi, w której mieszkał razem z siostrą. Elegancki, szczupły, niemłody – mógł mieć około czterdziestki – z gęstymi ciemnymi włosami i brązowymi oczami wyglądał na Włocha. Podobnie jak Horst miał na sobie sportowe ubranie: luźną, rozpinaną, wełnianą bluzę, białą koszulę, ale bez krawata.

Uśmiechnięty przysiadł się do Gundi, głaszcząc ją delikatnie po ręce. Poczęstował się papierosem, a Horsta poprosił, by nalał po kieliszku whisky z wodą sodową.

– Słyszę, że ten gbur krytykuje twoją sukienkę, a przecież on wcale się nie zna na modzie!

– Co jednak nie przeszkadza mu zabierać głosu! Mniejsza z tym. Masz jakieś wiadomości? Cały czas rozmawiałeś z Monachium?

– Owszem, a wiadomość mam raczej dobrą: wreszcie udało mi się przekonać doktora Bergera i pojedzie z nami. Cieszę się, że będziemy mieć w zespole specjalistę od medycyny tropikalnej.

– To w zasadzie mamy komplet. Ty – geolog, ja – biolog, Berger – lekarz, Sven Holm – zapalony myśliwy oraz stary Jochen jako kucharz. Doliczmy jeszcze dobrze wychowaną panią, wyposażoną w igły do cerowania i przyszywania guzików, i możemy wyruszać!

– Horst zrobił minę do Gundi i spytał Herberta: – Co to za facet ten Berger?

Herbert zawahał się, a potem rzekł cedząc słowa:

– Interesujący człowiek, ale trochę tajemniczy. Prawdziwy naukowiec. Finansowo zdaje się stoi nie najlepiej, bo swoją zgodę uzależnił od tego, czy dam mu pożyczkę na zakup wyposażenia na wyprawę. Cóż, nie każdy musi być od razu krezusem.

– No nie, ale zaczynać od pożyczki, to trochę niezręcznie. Niech będzie, byleby tylko wiedział co robić w razie choroby. Nie wiesz, czy potrafi także rwać zęby?

– Myślę, że lekarz znający tropiki potrafi wszystko. Czyżbyś zamierzał dopiero w buszu zadbać o stan swojego uzębienia?

– Nie o mnie chodzi, ale co będzie, jeżeli naszej Gundi zaczną wypadać mleczone zęby?

W tym momencie Horst musiał szybko się zasłonić, bo puste pudełko po papierosach leciało wprost na jego płową czuprynę.

– Pewnie tak naprawdę martwisz się bardziej o swoją sztuczną szczękę, że ci wypadnie ze strachu przy pierwszym spotkaniu z lwem.

– Uważaj, żeby najpierw tobie nie wypadła!

Herbert przysłuchiwał się ich sprzeczce z rozbawieniem popijając whisky.

– Nudno z wami nie będzie w tej Afryce! Wróćmy jednak do teraźniejszości. Chciałbym, Horst, żebyś jutro pojechał do Monachium i spotkał się ze Svenem Holmem. Prosił, aby jeden z

nas pomógł mu przy zakupach ekwipunku.

– Ładne, dopasowane, jasnoniebieskie spodnie wyjściowe chyba nie będą potrzebne?

– Zgrywasz się! Nie jedziemy przecież do St. Moritz. Tu masz adres sklepu, gdzie wszystko kupicie.

– Tego doktorka też mam wziąć na zakupy?

– Nie sądzę, żeby to było konieczne. Dołączy do nas dopiero w Lizbonie, gdzie ma coś do załatwienia.

– Szkoda, wolałbym przyjrzeć mu się zawczasu, bo mam dziwne przeczucie, że się nie polubimy.

– Na czas wyprawy byłoby dobrze odłożyć sympatie na bok, mój drogi.

– *Keep smiling* – cały dzień tylko uśmiech! – wtrąciła się Gundi. – Wyjdzie ci to na zdrowie.

Jak długo właściwie będziemy w podróży, Herbercie?

Jeśli wszystko się uda, a wierzę, że tak będzie, to wrócimy do Niemiec pod koniec sierpnia.

Gundi zerknęła ukradkiem na brata, poprawiła coś przy bluzce i spytała niby od niechcenia:

– Nie zamierzasz zdążyć na występy Eleny w Salzburgu? Herbert sięgnął po papierosa, gładził go między palcami i nie patrząc na Gundi i Horsta rzekł:

– Właśnie tego chcę uniknąć. Nie cierpię, jak ktoś mną komenderuje. Nie jestem w końcu koniem na maneżu. Poza tym, nasza wyprawa ma określony cel i nie widzę powodu, aby ją skracać z racji jakiegoś tam festiwalu. Ty, Gundi, nie boisz się jechać z nami? Dla nas z Horstem to nic nadzwyczajnego, ale ty pierwszy raz wybierasz się w nieznaną.

– Nie ma mowy, żebym puściła was samych do buszu! Zupełnie zdziczejecie, jeżeli nie będzie nikogo, kto przypomni wam, co to są dobre maniery – Gundi patrzyła znacząco na gzyms kominka, a Horst udawał, że nie wie, o co jej chodzi. Podrapał się pogłowiem i spytał, jakby się głośno zastanawiał:

– A co robi Gundi, kiedy pierwszy raz stanie oko w oko z golusieńkim jak palec Murzynem?

– To samo, co przy spotkaniu z drugim, gołym jak palec Murzynem. Mdleć nie ma sensu, bo jak się ocknie, to zobaczy nad sobą dziesięcioro albo nawet więcej golutkich Murzyniełek – żartował Herbert głaszcząc Gundi po włosach. – Poza tym, całkiem na golasa Murzyni dość niechętnie biegają po buszu. To co, Horst, pojedziesz jutro do Monachium? Zwrócę ci koszty podróży.

– Jasne! Kotlet wiedeński i sałatę też fundujesz?

– Łącznie z deserem. Svena spotkasz w hotelu „Bayrischer Hof”.

– A co przywieźć z podróży dla małej Gundi?

– Lalę, która woła „mama”, kiedy się ją naciśnie na brzusek. Tyle już powinieneś wiedzieć, ciamajdo!

– Aha! Rozumiem. Lalki nie, więc może pięknego, pluszowego misia?

– A coś ty nagle taki hojny?

– Masz! Słyszałeś to, Herbercie? Ty, porządny człowiek z dobrego domu... Skąd wytrzasnąłeś taką siostrę?

W tym momencie wszedł lokaj Jochen z wiadomością, że kolacja czeka na stole.

– No, wreszcie coś konkretnego! Gdyby nie pan, Jochen, pewnie zamorzyliby mnie tu głodem – żartował Horst. – Co pan dziś wyczarował?

Lokaj, dobiegający sześćdziesiątki grubasek z ogoloną głową, uśmiechał się zadowolony i wyliczał na palcach: rosół z kury z kluskami, potrawka z drobiu z ryżem, omlet w kawałkach z kompotem jabłkowym.

– Dziękuję, Jochen! Palce lizać!

– Żarłok! – skomentowała Gundi idąc już pomiędzy dużo potężniejszymi od siebie mężczyznami do urządzonej w starym stylu jadalni, gdzie Jochen serwował dania przygotowane przez zaradną gospodynię.

W trakcie rozmowy Herbert nagle zmienił temat:

– Za kilka dni wyjadę do Frankfurtu. Elena ma trochę wolnego czasu i prosiła, żebym do niej przyjechał.

Zapadło kłopotliwe milczenie; dopiero po chwili Gundi wciągnęła głęboko powietrze i nie patrząc na brata rzekła:

– Mam nadzieję, że nie popsuje ci znowu humoru.

– Musiałaś to powiedzieć, Gundi?

– Musiałam, Herbercie, bo nie lubię przed tobą ukrywać moich prawdziwych odczuć, a ja i Elena należymy do dwóch zupełnie różnych światów. Doceniam, że jest utalentowaną artystką, piękną i podziwianą kobietą, ale po prostu jej nie rozumiem.

– Zdaję sobie sprawę, że ty i Elena nigdy nie znajdziecie wspólnego języka, i być może dlatego ciągle... ale zmienmy lepiej temat. Mamy inne, ważniejsze problemy do omówienia, skoro za dwa tygodnie znajdziemy się w samolocie i wylądujemy gdzieś w środku buszu. Jak z twoimi przygotowaniami, Jochen? Już przemyślałeś, co trzeba będzie zabrać?

– Lepiej, szefie! Już mam wszystko posegregowane. Po ostatniej wyprawie od razu uzupełniłem braki i zapisałem sobie te rzeczy, które koniecznie musimy kupić przed następną – pochwalił się lokaj nakrywając stół do deseru. – Pokazało się na rynku kilka nowinek, jak chociażby lekkie, nietłukące się talerze, kubki i tego typu kram.

– Pięknie! Zostawiam ci wolną rękę, Jochen, tylko nie przesadzaj z tą zastawą stołową. Ostatecznie nie jedziemy na kemping do Włoch.

Po kolacji wrócili wszyscy do salonu. Panowie zapalili papierosy, a Gundi nastawiła radio. Z głośnika zabrzmiała piękna aria operowa. Herbert zasłuchał się i dał znak Horstowi, żeby się nie odzywał. Ten jednak zdążył spytać. – Czy to Elena?

– Tak, śpiewa partię królowej z Don Carlosa. Ma cudowny głos, trzeba przyznać – odpowiedziała Gundi i nastawiła głośniej odbiornik.

Horst nie odezwał się i z obojętną miną zaciągał się dymem „z papierosa. Głos Eleny Gerber

po prostu mu się nie podobał, brakowało mu w nim choćby odrobiny ciepła. Wolał jednak udawać laika i nie wyrażać swojej opinii. W każdym razie on nie musiałby sobie zaklejać woskiem uszu, ani przywiązywać się do masztu żaglowca, bo na pewno syreni śpiew w wykonaniu Eleny nie doprowadziłby go do szaleństwa. Nie robiła na nim żadnego wrażenia, nie lubił jej i za nic w świecie nie zmieni zdania i już!

Kiedy aria skończyła się, Herbert przetarł oczy, jak ktoś bardzo zmęczony, a po chwili podjął przerwany wątek rozmowy z Gundi, jakby nic się nie zdarzyło.

II

Jak zawsze po skończonej robocie, Ingrid Boorsten usiadła przy oknie i spoglądała na zatokę, wdzierającą się szeroką ławą, od pobliskiego morza, aż po zabudowania jej rodzinnego domu. Trzciny i sitowie poruszały się rytmicznie pod podmuchami wieczornej bryzy, tworząc na tafli tańczące we wszystkie strony roje skrzących się srebrzyście fal. Gdzieś tam kołysała się sennie prastara, smołowana łódź żaglowa, bura i smutna, jak cały pejzaż wokół zatoki. Aż dziw, że są ludzie, którzy w tej pusepnej okolicy chcą mieszkać.

A mieszkają od pokoleń w tych swoich domach ze ścianami z gliny, które jakby wbrew naturze dzielnie opierają się potężnym wichurom, naddciągającym tu często znad pobliskiego Bałtyku i przynoszącym późne lato lub wczesną zimę.

W wiosce niedaleko dworku Boorstenów, w którym pozostała już sama ostatnia przedstawicielka rodu, mieszkali wyłącznie rybacy. Dlaczego Ingrid tam pozostała, trudno powiedzieć. Może zabrakło jej odwagi, żeby odejść? Kiedyś nawet myślała o tym poważnie, ale została. Jak samotny strażnik dorobku minionych pokoleń...

Cóż to był za dorobek! Zapewne tylko zapalony kolekcjoner zacierałby z zachwyty ręce na widok pięknie rzeźbionych rokokowych mebli, drogocennych tkanin obiciowych i zasłonowych, a także kosztownej porcelany z królewskiej pruskiej manufaktury, miedzianych naczyń kuchennych, irlandzkiej lnianej pościeli i wzorzystych belgijskich dywanów, leżących na drewnianych, mazerowanych podłogach. Ot i całe bogactwo dworku Boorstenów.

Trzciniowa strzecha dachu schodziła tak nisko, że słońce prawie nie docierało do okien, poza krótkim okresem jesieni, kiedy długo zachodziło wisząc niemal poziomo nad taflą zatoki; ale wtedy świeciło już bardzo słabo i nie było w stanie ogrzać niczego.

Ingrid i jej starsza, zawsze bardziej energiczna siostra Helena wychowały się w tym domu, gdzie od wieków obowiązywały te same surowe, purytańskie reguły, nakazujące posłuszeństwo i pracowitość.

Drobna, jasnowłosa Ingrid z wielkim wysiłkiem wypełniała nałożone na nią obowiązki, podczas gdy kruczoczarna Helena podchodziła do nich z lekceważeniem. I stało się to, co było do przewidzenia: pewnego dnia Helena uciekła z domu i zniknęła bez śladu. Dla surowych i steranych życiem rodziców był to cios nie do zniesienia, i wkrótce Ingrid została sama, przeraźliwie samotna w ponurym rodzinnym Boorstenhaus.

Do pomocy miała starą kucharkę, nie mniej leciwą pokojówkę, stangreta Gindinga i trzech parobków. Przy ich pomocy starała się prowadzić dom i gospodarstwo jak za życia rodziców, jednak szybko się zorientowała, że nie będzie to łatwe zadanie.

Rzadko pokazywała się w najbliższym miasteczku. Wśród obcych ludzi czuła się zakłopotana, szybko więc załatwiała sprawunki i wracała do domu, zmęczona widokiem kobiet

ubranych jednakowo w ciemne, ciężkie suknie, w wytartych butach zniszczonych od chodzenia po nierównym bruku z kocich łbów. Każda na głowie miała wełnianą chustę, na rękach tanie bawełniane rękawiczki i nieodłączne, ciężkie torby z zakupami. O modzie czy elegancji żadna pewnie nawet nie słyszała. Życie toczyło się tu według reguł ustalonych przed wiekami.

Raz zdarzyło się, że Ingrid skrzywiła rękę i ból zmusił ją do pójścia do lekarza. Stała jak wryta, gdy w gabinecie zamiast starego, poczciwego doktora Burgera, zastała młodego, nieznajomego, ubranego w biały fartuch mężczyznę.

– Och, przepraszam bardzo, nie ma doktora Burgera? – wyjąkała patrząc ze strachem w oczach na obcego. Wydał jej się od razu dziwnie sympatyczny, choć nie przyjął jej w żaden szczególny sposób.

Przyglądał się uważnie, jakby też był zaskoczony jej wizytą. Dostrzegł niezwykłą urodę nieśmiałej pacjentki, cudowne, ciepłe spojrzenie jej jasnych oczu, jedwabisty odcień jej cery i włosów splecionych pośpiesznie w niedbałą fryzurę. W ciężkiej wełnianej sukni jej sylwetka wydawała się jeszcze drobniejsza.

– Przykro mi, ale doktor Burger musiał wyjechać. Właśnie go zastępuję. Proszę wejść i powiedzieć, co pani dolega. Jak pani się nazywa? – usiadł za biurkiem i sięgnął po rejestr pacjentów.

Ingrid zawahała się. Doktor Burger znał wszystkie dolegliwości swoich podopiecznych na pamięć i nigdy nie korzystał z notatek.

– Może ja... Myślę, że lepiej... Poczekać, aż doktor wróci.

– Nie widzę potrzeby. Jeżeli panią coś boli, to proszę mi śmiało powiedzieć. Na pewno będę mógł pomóc.

– To nic poważnego! Ręka... Skrzywiłam ją trzy dni temu, a dziś dopiero boli tak naprawdę.

Patrzyła na niego podejrzliwie, gdy bezceremonialnie chwycił ją za rękę i zaczął badanie. Bez słowa nastawił nadgarstek, nie przejmując się wcale jej skrzywioną z bólu miną. Przepisał jakąś maść.

– Muszę wpisać na receptę pani nazwisko.

– Ingrid Boorsten.

Spojrzał na nią, a zapisując nazwisko spytał krótko: – Jest pani krewną tych Boorstenów, do których należy dom nad zatoką?

– Owszem, jestem jego właścicielką – odpowiedziała grzecznie, jak. nauczycielowi na lekcji.

– Słyszałem, że mieszka tam pani sama.

– Niezupełnie. Jest służba, a także Doris i Klara, które pomagają mi w prowadzeniu domu. To wszystko, doktorze? Dziękuję bardzo. Mam nadzieję, że następna wizyta nie będzie konieczna.

– Prawdę mówiąc, chciałbym zobaczyć jak się goi. Mógłbym wpaść do pani za kilka dni?

– Mój Boże, tyle kłopotów przez błahe skrzywienie? Naprawdę niech pan się mną nie przejmuje – Ingrid niemal się zdenerwowała.

Nie lubiła obcych, a zwłaszcza natarczywych. Ze złością naciągała bawełniane rękawiczki na swoje spracowane, ale dość wypiełgnowane ręce.

– Pani wybaczy, ale to ja jestem lekarzem i wiem, czym należy się przejmować. Za kilka dni panią odwiedzę. Życzę miłego dnia – popchnął ją w stronę drzwi, otworzył i gromkim głosem zawołał:

– Następny proszę!

Ingrid czuła się jak skarcone dziecko.

Kilka dni później młody lekarz rzeczywiście zjawił się w Boorstenhaus. Obejrzał nadgarstek, fachowo zmienił opatrunek i rozsiadł się wygodnie, podziwiając głośno uroki starego domu. Chętnie sam by w takim zamieszkał. Ingrid przyjęła tę uwagę jako komplement i broniła się niezręcznie, że w dworku jest ciasno dla niej samej i nie zamierza wynajmować pokoi lokatorom. Rozmowa w żartobliwym tonie toczyła się żwawo, a skończyła się formalnym zaproszeniem na następną wizytę. Gościa nie trzeba było długo prosić i od tego czasu przychodził do Boorstenhaus niemal codziennie, ku wielkiemu niezadowoleniu Doris i Klary.

A na rezultat tych wizyt nie trzeba było długo czekać: po kilku tygodniach Ingrid została panią doktorową Berger.

Czy była szczęśliwa, zakochana? Któż to może wiedzieć? Nagła odmiana w jej monotonnym życiu podziałała na nią jak narkotyk, a kilka tygodni narzeczeństwa przeżyła jak w transie. Jak zahipnotyzowana zupełnie nie potrafiła trzeźwo oceniać sytuacji, nie zastanowiła się nawet, kim Gwido Berger jest naprawdę. A on wcale nie musiał się zbytnio wysilać, żeby niedoświadczoną i nie znającą ludzi dziewczynę zupełnie oczarować.

Stary doktor zrywał się, bo nie potrzebował na swoim terenie nikogo do pomocy, ale dla dobra panny Boorsten zgodził się przyjąć młodego lekarza, co więcej – był świadkiem na jego ślubie i gospodarzem pompatycznego wesela, jakie w starym ziemiańskim stylu urządzone w Boorstenhaus. Nie wytrzymał jednak do końca. Wsiadł do zaprzężonej w dychawiczną szkapę bryczki i wrócił do miasteczka nie wiedząc, co za chwilę stanie się z panną młodą.

Kiedy tylko ostatni goście opuścili dom weselny, Gwido brutalnie rzucił się na oszołomioną jeszcze szczęściem Ingrid i w sposób nachalny, wręcz ordynarny domagał się swojej nocy poślubnej.

Sparaliżowana ze strachu nie wiedziała, co znaczą jego brutalne słowa i gesty. Wyidealizowany świat runął jej na głowę. Nikt nigdy nie traktował jej tak, jak przeklinający, lekko podchmielony mężczyzna, którego wzięła sobie za męża.

Doszło do szamotaniny. Zahartowana w pracy na polu, w ogrodzie, a nawet przy połowie ryb Ingrid wcale nie była bez szans. Widząc, że drzwi zostały zamknięte na klucz, bez wahania rzuciła się do okna i wyskoczyła z pierwszego piętra. Jak oszalała wpadła do kuchni, gdzie Doris i Klara wspominały jeszcze wydarzenia minionego dnia.

Stara Doris, matka dwóch krzepkich dryblasów, którzy od dawna wypływali już z ojcem w morze, od razu zrozumiała, co przydarzyło się jej młodej pracodawczyni. W odróżnieniu od

lamentującej Klary, bez słowa przygarnęła Ingrid matczynym gestem, pogłaskała po głowie i stanowczym tonem poleciła wypić gorącą herbatę z rumem. Nie pytając o zgodę, zaprowadziła Ingrid do swojego pokoju, zamknęła ciężkie drzwi potężnym kluczem i schowała go do kieszeni fartucha.

Skarciła wzrokiem patrzącą bezradnie Klarę i dziarskim krokiem ruszyła po schodach do sypialni na parterze. Stała chwilę pod drzwiami, aż ucichł trochę dobiegający z pokoju rumor i ustały przekleństwa, a potem zastukała energicznie, raz, potem drugi i trzeci.

– Otwierać, doktorze!

Berger, rzeczywiście, otworzył i patrząc ze zdziwieniem na kucharkę spytał: – Co pani tu robi? Gdzie jest moja żona?

– Nie, panie doktorze! Z Ingrid w ten sposób się panu nie uda. Tu jest porządny i spokojny dom. Nie życzymy sobie chamstwa i przemocy.

– Doris rozsiadła się w fotelu i śmiało patrzyła w oczy szalejącemu z wściekłości doktorowi.

– Na wszelki wypadek zamknęłam Ingrid w bezpiecznym miejscu, więc radzę jej nie szukać i spokojnie wysłuchać, co mam panu do powiedzenia. Nie jestem zakochana i od razu widziałam, że z panem coś jest nie w porządku. Szkoda tylko, że nie wygarnęłam tego wcześniej, zanim nie było jeszcze za późno.

– O co ci chodzi, tłusta starucho? – warknął groźnie Berger.

– Mnie tam mój tłuszcz nie przeszkadza, a panu wara od mojej tuszy! Ja pana nie obrażam i radzę traktować mnie z szacunkiem, bo nie ręczę za siebie. Wiem, o co panu chodzi. Ingrid jest bogata i niedoświadczona, i to właśnie pan chce wykorzystać. Ale tu w Boorstenhaus taki numer nie przejdzie, panie Berger! Niech pan tylko nie mówi, że wtrącam się do nie swoich spraw. Tak by może było, gdyby Ingrid nie była sama, ale od kiedy straciła rodziców, ja traktuję ją jak własną córkę – przerwała na chwilę, czekając na jego reakcję. Zaciśkał tylko zęby, ale nie odezwał się.

– No to przystąpmy do rzeczy. Panu chodzi o pieniądze, prawda? To je pan dostanie, ale Ingrid musi pan zostawić w spokoju. Biedaczka omal nie postradała zmysłów, tak ją pan przestraszył! Zaraz z nią porozmawiam o pieniądzach. Jest pełnoletnia i może decydować o swoim majątku, ja jednak stawiam warunek, że musi pan natychmiast stąd wyjechać, przynajmniej na jakiś czas. Potem, jak dziewczyna pozwoli panu wrócić, to już jej sprawa, ale teraz won stąd, albo pan pożałuje. Ja znam tutejszych ludzi i zapewniam pana, że oszustów czeka tu marny los. – Kucharka poprawiła się w fotelu, skrzyżowała ręce na swoim wydatnym biuście i wyzywająco patrzyła na miotającego się Bergera.

Doszło wreszcie do niego, że sytuacja jest poważna. Rzeczywiście, chodziło mu tylko o pieniądze Ingrid, choć dziewczyna podobała mu się także. Cóż, Pan Bóg stworzył wiele ładnych dziewcząt, ale nie wszystkie, niestety, obdarował bogactwem, a tu w Boorstenhaus akurat się to zdarzyło. Jak tu nie skorzystać z takiej okazji?

Oparł się niedbale o wysoką rzeźbioną szafę, zapalił papierosa i patrzył lekceważącym

wzrokiem na grubą kucharkę.

– Jest pani okropną kobietą, Doris, ale myślę, że się dogadamy.

– Byle szybko! – burknęła.

– A więc, potrzebuję pieniędzy i nie ukrywam, że dowiadywałem się, czy Ingrid jest bogata.

Zgodnie z prawem, część jej majątku przechodzi na męża. Będę się jej domagać.

– Tfu, na czarci ogon! – Doris splunęła siarczyście prosto pod nogi Bergera. – To ma być mężczyzna?!

– Kobieto, w mojej sytuacji nie stać mnie na skrupuły. Myśli pani, że gdybym nie był przyciśnięty do muru, przyjechałbym do takiej dziury jak Wolgraben i szukał posady u dziwnego doktora? Od początku liczyłem, że trafię tu na durnowatą złotą rybkę, którą... – urwał, bo po minie Doris było widać, że za chwilę rzuci się na niego z pięściami. – Powiedzmy, że Ingrid będzie mi wypłacać miesięczną pensję do czasu, gdy zdecyduje się przyjąć mnie z powrotem.

– Prędeż pan osiwieje, nim to się zdarzy. Ile pan żąda?

– Jedną czwartą jej dochodów. Tyle nakazuje prawo – rzekł chłodnym tonem zapalając kolejnego papierosa. Niedopałek poprzedniego rzucił lekceważąco na wyszorowaną do białości podłogę.

Doris zerwała się jak wystrzelona z procy. Podniosła niedopałek i ostentacyjnie wyrzuciła go przez okno.

– Świntuchu! Jeszcze będziesz mi tu robił chlew? Siedź grzecznie i czekaj, aż porozmawiam z Ingrid.

Oburzona trzasnęła drzwiami i wyszła. Gwido Berger miał ochotę wybuchnąć gromkim śmiechem. Teatralna sytuacja wręcz rozbawiła go do łez. Będzie grał swoją rolę dopóki da się wytrzymać. Przeklęty babiniec! Jak taki skansen uchował się do dzisiejszych czasów? Jedna wrzeszczy jak potępiona, kiedy mężczyzna domaga się swoich praw, druga – tłusta beka – drze gębę i kokoszy się, jakbym jej wymordował pisklętą! Cholera! Trzeba brać co swoje i zmykać stąd gdzie pieprz rośnie. Tak czy inaczej, wypad do zapyziałego Wolgraben należy uznać za udany. Trochę grosza udało się skubnąć z kasy tego starego dziwaka, a do tego zapewnić sobie stałą pensję u niedoszłej pani, raczej panny małżonki! Śmiechu warte! Jego, któremu dotychczas żadna kobieta nie potrafiła się oprzeć, ta głupia wioskowa gęś potraktowała jak trędowatego! Przeżyje to jakoś, bo najważniejsze są pieniądze, a te na pewno dostanie. Im więcej, tym lepiej.

Nerwowo przemierzał pokój i raz po raz zatrzymywał wzrok na przedmiotach, które warto było zabrać i korzystnie sprzedać. Dlaczego by nie? W końcu był panem tego domu... przynajmniej do czasu. Zanim ktoś dostrzeże brak kilku drobiazgów, on będzie już daleko. Taka okazja może się już nie powtórzyć. Do diabła, co ta stara dynia tak długo się grzebie? Niechby wreszcie wróciła z dobrą wiadomością, a później chodu stąd!

Nareszcie! Doris weszła powoli patrząc lodowatym wzrokiem prosto w oczy. Ostentacyjnie rozsiadła się w rokokowym fotelu, który złowieszczo zatrzeszczał pod jej ciężarem, ręce położyła

na oparciu i zaczęła spokojnym tonem:

– Niech pan mnie uważnie słucha, doktorze. W tym fotelu zazwyczaj siadał świętej pamięci pan Boorsten i gdyby teraz on przemawiał do pana, na pewno powiedziałby to samo co ja. My, ludzie znad zatoki, mamy swoje zasady i święcie ich wszyscy przestrzegamy.

– Kobieto, proszę mi tu nie głosić kazania. Co posta Ingrid?

– A czego się pan spodziewa? Tu jest wszystko napisane. Jak pan uważnie przeczyta, proszę napisać, na jaki adres chce pan otrzymywać te zagrabione nam pieniądze, i zmykać stąd czym prędzej. Bóg mi świadkiem, doktorze, niech pan się tu więcej nie pokazuje, przynajmniej dopóki ja żyję! – uniosła się podając mu kopertę.

Patrzyła z pogardą, jak łapczywie chłonał każde słowo, które Ingrid napisała równym, czytelnym pismem. Mógł być zadowolony, bo jego „panna małżonka” okazała się nadzwyczaj hojna i postawiła tylko jeden, śmiesznie prosty warunek, który z największą chęcią spełni, bo to w żaden sposób nie komplikuje jego wcześniejszych planów. Nie miał najmniejszego zamiaru przyjeżdżać tu ponownie, tego akurat jego szlachetna małżonka mogła być absolutnie pewna. Nie musiał też jej informować, co zamierza robić dalej.

– Przyjmuje te warunki. Proszę jednak powiedzieć mojej żonie – hm, mojej Ingrid – że będę ich przestrzegać, dopóki należne mi sumy będą wpływały na moje konto. Oto jego numer i mój adres w Monachium.

Doris zwinęła kartkę i starannie schowała ją do fartucha.

– Na co pani jeszcze czeka, dobra kobieto? – warknął.

– Aż pan się wyniesie!

– Co?! Teraz w nocy?

– Stangret Ginding czeka już przed domem. Zawiezie pana do miasta, a jeśli się nie mylę, zdąży pan na szwedzki pociąg, który zatrzymuje się także w Wolgraben.

– Ma pani głowę na karku, Doris. Jestem pełen uznania. Spakuję tylko walizki i z miłą chęcią opuszczę gościnne Boorstenhaus.

– Oby na zawsze! Bo nie chcemy denerwować się tu przez pana jeszcze raz – dodała stojąc już w drzwiach.

Wyszła, a Gwido w pośpiechu wrzucił do walizki kilka najcenniejszych drobiazgów. Niestety, niewiele się zmieściło i ze smutkiem w oczach patrzył na wszystkie, które musiał zostawić. Z tą myślą siadał obok Gindinga. Chude szkapy ruszyły powoli w nocną ciszę. Nikt nie wyszedł na pożegnanie, jakby wszyscy czekali, aż kłopotliwy gość szybko odjedzie. Nawet stangret przez całą drogę nie odezwał się ani słowem.

Ingrid stała przy oknie w pokoju Doris i drżąc ze zdenerwowania odprowadzała wzrokiem mężczyznę, który zgodnie z prawem był jej mężem, ale którego śmiertelnie się bała i miała nadzieję nie spotkać już nigdy. W jednej chwili utraciła wszystko, co sprawiało jej radość i

dawało chęć do życia. Pozostała tylko gorycz i strach.

Minęły cztery lata i w Boorstenhaus prawie nic się nie zmieniło. Ingrid żyła, jakby nic się nie stało, tylko sceny z wesela powracały jej w pamięci jak wspomnienie jakiegoś koszmarne snu.

Przekazy dla Gwido Bergera wysyłał bank. On zaś przysłał za ledwie kilka listów, na które Ingrid nie odpowiedziała. Za to Doris, kiedy wkrótce po jego wyjeździe odkryła brak niektórych przedmiotów, usiadła i nie bacząc na błędy ortograficzne czy stylistyczne, wygarnęła mu, że jest zwyczajnym złodziejem. Nie powiedziała o niczym Ingrid, ale niech tylko on spróbuje nie dotrzymać warunków umowy, a popamięta ją po wsze czasy!

III

Na koniec roku Ingrid, nauczona przez ojca skrupulatności, sprawdziła przysłane wyciągi bankowe, by przekonać się, czy Gwido Berger dostał należną mu sumę. I tyle.

O tym, że nazywała się teraz Berger, a nie Boorsten, nie pamiętała ani ona sama, ani też nikt w domu i okolicy. Zresztą, rzadko kiedy wychodziła między ludzi. Czasami, niekiedy tylko raz w roku, dostawała wiadomości od siostry, która pod nazwiskiem Eleny Gerber zrobiła światową karierę jako śpiewaczka operowa.

Obie siostry właściwie nic już nie łączyło. Przed laty, gdy Helena opuściła rodzinny dom, ojciec wypłacił jej pewną sumę pieniędzy i natychmiast ją wydziedziczył. Surowy, jak każdy z Boorstenów, nie przejmował się wcale tym, co zrobi z sobą starsza córka, po prostu wykreślił ją z pamięci. Dopiero po jego śmierci Ingrid odpisywała na listy Heleny, choć nigdy nie była pewna, czy do niej trafią, bo za każdym razem siostra podawała inny adres. W końcu opera w Monachium stała się jedynym pewnym punktem kontaktowym obu pań Boorsten.

Tak mniej więcej przedstawiała się sytuacja w Boorstenhaus, kiedy Ingrid, siedząc przy oknie w starym fotelu matki, odłożyła robótkę i bez specjalnego wzruszenia zapatrzyła się w połyskującą srebrzyście tafelę zatoki. W jej pięknych, jasnych oczach widać było tęsknotę za czymś nowym, czymś ciekawszym niż monotonia codziennego życia. W zapadającym zmroku jej gęste, jasne, przypominające kolorem dojrzały snop żyta włosy stanowiły jedyny jaśniejszy punkt w przestrzeni. Postać spowita w ciężką, ciemną, wełnianą suknię, taką samą, jak u wszystkich miejscowych kobiet, zupełnie rozmywała się w ciemnościach. Wyróżniały się jeszcze tylko piękne, wypiełgnowane, smukłe dłonie.

Trzy dni temu Ingrid wybrała się do Wolgraben, by uzupełnić kończące się zapasy domowe i kupić niezbędny sprzęt do gospodarstwa. Stangret Ginding czekał cierpliwie w staromodnej dwukółce na skraju rynku, aż jego młoda pani wróci z zakupami. Właściwie miała już wszystko. Stała przed witryną cukierni i zastanawiała się, czy nie powinna jeszcze kupić czegoś słodkiego dla Doris i Klary. Obie staruszki przepadały za słodyczami, ona sama zresztą też. Zdecydowanie wbiegła po dwóch schodkach do cukierni, dość komicznie urządzonej, niby w nowoczesnym stylu. Obok lady z ciastkami, w kąciu stały żółte, zielone i czerwone plastikowe krzesła dla tych, którzy chcieli zjeść słodycze na miejscu. Przeważnie zresztą były to starsze damy, które nie musiały już dbać o linię i których, o dziwo, nie raził nowoczesny wystrój lokalu. Przy okrągłym stoliku najbliżej lady siedział nieznajomy mężczyzna, po wyglądzie sądząc – na pewno nietutejszy. Ingrid od razu zwróciła na niego uwagę. Nikt z Wolgraben nie ubierał się tak elegancko w powszedni dzień.

Zerknęła raz, potem drugi. Obcy zawsze zwracali na siebie uwagę, podobnie jak ich nowoczesne samochody parkujące lub chociażby przejeżdżające przez rynek miasteczka.

Przy drugim spojrzeniu Ingrid napotkała wzrok nieznanego, który przyglądał jej się z wyraźnym zainteresowaniem. Zaczzerwieniła się i z tego wszystkiego zamówiła więcej słodczy niż zamierzała. Sprzedawczyni niezdarnie przygotowywała dość wielki pakunek; gdy był gotów, Ingrid odważyła się spojrzeć jeszcze raz w stronę nieznanego. Wciąż na nią patrzył, jakoś dziwnie ciepło, z sympatią. Cała zresztą, pięknie opalona twarz, wydała się Ingrid synonimem dobroci.

Zmieszana sięgnęła po swoją podniszczoną portmonetkę, zapłaciła za ciastka i ostrożnie podniosła koślawy pakunek. Przy drzwiach jednak sznurek obsunął się i gdyby siedzący w pobliżu Herbert Sanders – to on był tym tajemniczym nieznanym – nie przytrzymał pakunku, jego zawartość znalazłaby się na podłodze.

– Och, ale ze mnie niezdar! – jęknęła Ingrid, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

Herbert uśmiechnął się, a po nieudanej próbie poprawienia opakowania rzekł: – Moim zdaniem, to sprzedawczyni się nie popisała, a na dodatek zniknęła z za lady. Chyba będziemy musieli poradzić sobie sami. Jeżeli pani pozwoli, spróbuję zapakować słodczy lepiej niż ta dziewczyna.

Poszedł z ciastkami za ladę i obsługując się sam, ułożył całkiem zgrabną paczuszkę.

– No, chyba mi się udało – pochwalił sam siebie. – Jeśli pani pozwoli, chętnie zaniosę paczkę do samochodu.

Herbertowi nie przyszło do głowy, że ktoś może nie mieć samochodu, zwłaszcza w tak odległym od świata miejscu jak Wolgraben.

– Dziękuję bardzo, ale stangret Ginding zaraz mi pomoże. Szarpnęła klamkę u drzwi, lecz ta, jak na złość, ponownie się zacięła.

Ku wielkiej radości Herberta tym razem. Nieznajoma kobieta jakoś dziwnie przyciągała jego uwagę. Ominął ją zrećnie, otworzył drzwi, a ona szybko zbiegła po dwóch schodach i ruszyła w stronę stojącej opodal bryczki.

– O Boże, to coś takiego jeszcze jeździ? – zdziwił się Herbert. – Przecież to przeżytek z minionego stulecia! Warto było się zatrzymać. A ta kobieta... O, a co to tu mamy? – schylił się, podnosząc zwiniętą w kłębek, bawełnianą rękawiczkę Ingrid. – Do licha, i takie rzeczy jeszcze się tu nosi? Muszę o tym opowiedzieć Gundi.

Podbiegł szybko do siedzącej już na wysokim koźle kobiety.

– Przepraszam, zdaje się, że pani to zgubiła. Przestraszona, ale jakby uradowana spojrzała na niego, wyciągnęła rękę i przypadkowo dotknęła na moment jego policzka. Zarumieniła się.

– Dziękuję. Zadał pan sobie tyle kłopotu.

– Skądże! Z przyjemnością pani pomogłem – uklonił się grzecznie i cofnął o krok, bo Ginding strzelił z bata, krzyknął głośno „Hetta!”, a bryczka terkocząc powoli ruszyła po bruku.

Herbert stał, dopóki nie wyjechała z rynku, ocierając się niemal o jego elegancki amerykański samochód.

Wrócił do cukierni by uregulować rachunek, a przy okazji spytał o kobietę, która przed

chwilą robiła tu zakupy. Dowiedział się, że nie była z Wolgraben. Mieszka w dworku nad zatoką, kilkanaście kilometrów stąd. Herbert miał ochotę tam zajrzeć, ale stwierdził, że ma przed sobą daleką drogę i jeśli chce zdążyć na jutrzejszy umówiony obiad z Eleną Gerber, musi natychmiast wsiadać i wyjeżdżać. Zabierze ze sobą obraz jak ze starej ilustracji, wspomnienie tej niesamowicie pięknej, nieznanym kobiety.

Ingrid również wracała w myślach do tego spotkania częściej niż zamierzała. Trwało krótko, a wszystko wskazywało na to, że tak prędko nie zostanie zapomniane. Pełne dobroci spojrzenie nieznanego zrobiło na niej piorunujące wrażenie. Szkoda, że nie trwało dłużej, ale i tak warto go przechować w pamięci.

Herbert dotarł do hotelu „Frankfurter Hof” dokładnie o umówionej godzinie. Elena Gerber, jak na prawdziwą, światowej sławy gwiazdę przystało, przyjęła go najpierw przez swojego, nie odstępującego ją na krok sekretarza.

Była średniego wzrostu, niezwykle szczupła, co zawdzięczała nowoczesnej diecie odchudzającej, która jednak zostawiła widoczne ślady na jej twarzy, przeważnie zresztą przesadnie umalowanej przez teatralną charakteryzatorkę. W tej kobiecie wszystko było przesadzone: za dużo szminki, zbyt rzucająca się w oczy biżuteria, zbyt sztywny szyk, krzykliwe kolory. Hałaśliwa, ruchliwa i bajecznie kolorowa, przypominała rajskiego ptaka.

Gdziekolwiek się pokazała, od razu znajdowała się w centrum zainteresowania, a każdy, kto szepnął jej komplement, mógł liczyć na płomienne spojrzenie czarnych oczu i wdzięczny uśmiech karminowych ust. Dla niej zaś liczyły się tylko pieniądze. Czasami odnosiło się wrażenie, że chciwość była jej wrodzoną cechą, zwłaszcza, gdy domagała się wysokich honorariów, a nawet gdy szastała pieniędzmi na reklamę, skrupulatnie doliczając sobie potem wydane kwoty do gaży. Bez opamiętania przyjmowała propozycje występów w różnych częściach świata, byleby tylko jej głos stał się sławny. Nie obeszło się bez mniejszych czy większych skandali. Raz zaręczyła się z jakimś arabskim księciem, innym razem uwodziła słynnego dyrygenta, ale skończyło się właśnie na skandalu, bo Elena Gerber naprawdę kochała wyłącznie siebie. Miłość w jej życiu nie miała miejsca, ba, wręcz nie pasowała do obrazu gwiazdy, jaką z siebie robiła.

Przed czterema laty, w niemieckiej ambasadzie w Londynie, spotkała doktora Herberta Sandersa i, o dziwo, wbrew swoim zasadom, bardzo się nim zainteresowała. Zapropowała mu spotkanie w „Claridge”, co znającemu ją na wylot sekretarzowi wydało się czymś niezwykłym.

Spędzili w Londynie kilka uroczych dni. Herbert był oczarowany cudownym głosem Eleny, jej żywiołowym temperamentem i wkrótce miał wrażenie, że jest w niej zakochany. Nieopatrznie dał jej to do zrozumienia i... popełnił wielki błąd, bo słynna gwiazda doszła do wniosku, że posiadanie mężczyzny, który chodziłby za nią jak pies, patrzył z oddaniem w oczy i spełniał każde życzenie, może być równie pasjonujące jak posiadanie ogromnych sum na koncie.

W tym przypadku czekało ją jednak rozczarowanie, bo Herbert od razu dostrzegł, o co jej chodzi. Szczerze przedstawił jej swoje wyobrażenie o miłości i jasno postawił sprawę: albo ona

przyjmie jego poglądy, innymi słowy, zgodzi się za niego wyjść, albo rozstaną się zawczasu. Przekonywał, że nie chce wtrącać się w jej karierę; uznaje, że jej głos jest własnością wszystkich melomanów, ale jako kobietę chce ją mieć tylko dla siebie.

W odpowiedzi otrzymał czarujący uśmiech, głębokie spojrzenie w oczy i zapewnienie, że będzie tak, jak on sobie życzy, ale na trwałe związki nie jest jeszcze przygotowana. Kocha go jak żadnego mężczyznę przedtem, ale nie wyobraża sobie, że kiedykolwiek będzie gotowa poświęcić się wyłącznie dla niego.

Od tamtej rozmowy nie powracali już do tego tematu. Oboje czuli się blisko związani, ale żadne nie chciało zrezygnować z własnego zdania. Widywali się więc wyłącznie wtedy, gdy Elena tego wyraźnie żądała, a potem w sposób apodyktyczny narzucała swój własny scenariusz spotkania.

Za każdym razem, gdy długo się nie widzieli, Herbert był oczarowany swoistą dziką urodą tej kobiety. Z nabożeństwem pochylał się nad jej dłonią, całował w podstawione z uśmiechem usta i przytulał smukłą kibić.

– O lala! Pan narzeczony we własnej osobie! Wciąż pełen namiętności i miłości? – pytała z odrobiną drwiny w pięknych, umalowanych oczach.

Odsunął ją i zmarszczył gniewnie czoło.

– A ty? Czyżbyś mnie już nie kochała?

– Co za niedorzeczne, isticie mieszczańskie myślenie! Przecież bym cię nie wzywała, gdybym się nie stęskniła za tobą. A ostatnio wzywam cię coraz częściej! – przytuliła się kokieteryjnie, przyznając w duchu, że ten przystojny, elegancki mężczyzna pociągają coraz bardziej. – Nawet sobie nie wyobrażasz, ile wysiłku kosztowało mnie wygospodarowanie tych kilku godzin dla ciebie! Spytaj moich ludzi – dzień mam wypełniony co do minuty. Dziś w nocy, zaraz po występie, lecę do Rzymu, a nikt mnie nie spyta, skąd na to wszystko mam brać siły.

Herbert uśmiechnął się i spytał żartobliwym tonem:

– A chciałabyś, żeby było inaczej? Przecież nie mogłabyś żyć bez tego zgiełku, jaki cię zewsząd otacza.

Żałowała ręce ukazując swoje długie wypielegnowane paznokcie.

– Mój ty Boże! Dlaczego wyrwałeś mnie ze spokojnego domu, gdy poczułam, że we mnie drzemie coś wielkiego? Teraz już jest za późno i za nic w świecie bym tam nie wróciła, by żyć jak dobrze ułożona panienka z dobrego domu.

– Nie sądzę, żebyś miała czego żałować, Eleno. Wiesz, że nigdy mi jeszcze nie opowiadałaś o swoim rodzinnym domu? Właściwie dlaczego?

– Muszę mieć jakieś sekrety. Otacza mnie pewien nimb tajemniczości, a ten natychmiast by przysł, gdybym powiedziała, skąd naprawdę pochodzę. Oceniając według urody, wszyscy podejrzewają, że jestem Włoszką, a niemieckie nazwisko noszę po krótkotrwałym małżeństwie z Egonem Gerberem. I po co prostować te plotki? Egon nie żyje i wcale go nie żałuję, bo byłby tylko przeszkodą w mojej karierze.

Herbert słuchał i czuł przechodzące mu po plecach ciarki. Nie mogąc ukryć zmieszania, usiadł w fotelu i starał się uniknąć spojrzenia Eleny.

Przymknęła wymalowane oczy, złożyła usta w ciup i spytała przymilnym głosem: – Zaszokowałam cię, kochanie? Teraz ty jesteś treścią mojego życia i przeszłość się nie liczy.

– Treścią życia, powiadasz? To nieprawda, Eleno, i dobrze o tym wiesz. Twój zawód zawsze będzie najważniejszy i dla mnie, dla twojej miłości, nie pozostawi zbyt wiele miejsca. Zrozum więc, że tak samo jest w moim przypadku.

– Mam to przyjąć jako przestrożę, czy też jako najnowszą wiadomość?

– Ani jedno, ani drugie. Po prostu takie spostrzeżenie.

– Powiedzmy. Kiedy więc spotkamy się na dłużej? Myślę, że nadarza się okazja w Salzburgu. W sierpniu będę tam śpiewała na festiwalu. Proponują mi występy pod batutą jednego z najsłynniejszych obecnie dyrygentów. Jest okropnie wymagający, a poza tym strasznie się boję tej monstrialnej salzburskiej sali. Musisz być wtedy przy mnie, Herbercie! Obiecuj, że przyjedziesz – mówiła chodząc nerwowo wielkimi krokami po luksusowym pokoju hotelowym. – Musisz przyjechać! – huknęła niespodziewanie pięścią w stół.

Wstał powoli, wziął ją w ramiona i pocałował czule w czoło.

– To nie będzie możliwe, Eleno – rzekł spokojnie ale zdecydowanie. – Już ci o tym pisałem. W czasie twoich występów w Salzburgu prawdopodobnie będę jeszcze w Afryce, ale jestem pewien, że będziesz tak samo pięknie śpiewała jak wtedy, gdy byłbym przy tobie.

Wyrwała się ze złością i zrobiła zagniewaną minę.

– Nie bądź bezczelny, Herbercie! Po co ci to idiotyczne safari? Żądam, żebyś został ze mną!

– Nie zmienię zdania. Możesz uważać nasze przedsięwzięcie za idiotyczne, my w każdym razie traktujemy je poważnie. Ponadto zabieramy ze sobą moją siostrę.

– Ta głupia smarkuła powinna usiąść na dupie nad podręcznikami, a nie włóczyć się po afrykańskim buszu.

– Eleno! Jak zawsze, gdy wpadasz w złość, stajesz się ordynarna. Pogódź się wreszcie z tym, że zobaczymy się dopiero jesienią. Nie łącz tej sprawy z miłością i uwielbieniem dla ciebie, bo te oba uczucia u mnie pozostają niezienne, ale pomyśl, co byś powiedziała, gdybym zaproponował ci przerwanie tournée i spędzenie razem wakacji gdzieś w ustronnym pensjonaciku?

– Zwariowałeś! Chyba nie oczekujesz, że w górskim szałasie będę występować w pasterskich scenkach i śpiewać ci ckliwe arie?

– Nie chcę, żebyś występowała, Eleno, a jedynie poznała, co to znaczy prawdziwy wypoczynek. Niekoniecznie w górskim szałasie, chociaż tam na pewno też by ci się spodobało.

– Tfu! To już wolałabym wrócić nad zatokę. – Zauważyła, że się zagalopowała i szybko zmieniła temat: – Szkoda, że nie przyjedziesz do Salzburga, będę śpiewała dwie nowe partie.

– Życzę ci sukcesu i z całego serca żałuję, że nie będę mógł cię podziwiać. Poczynam się, że koncerty będą retransmitowane i na pewno gdzieś w świecie usłyszę twój głos przez radio. –

Pocałował ją w usta i dodał: – Pomyśl o tym, że śpiewasz dla mnie, mimo że nie będę przy tobie.

– Puść mnie! – wyrwała się. – Zepsułeś mi humor i wiem już na pewno, że w Salzburgu nie odniosę sukcesu.

– Dlaczego robisz z tego tragedię, Eleno? Nie sądzisz, że bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdybyśmy pewnego dnia zostali tylko sami z naszą miłością? Żadnego teatru, żadnych wyjazdów, żadnych przygotowań do występów.

– Takie bzdury może pleść tylko ktoś, kto nigdy nie stanął na scenie! – odwróciła z niesmakiem głowę i machnęła rękoma, jakby rzeczywiście miała do czynienia z wariatem. – Ja bez teatru? Wolałabym umrzeć!

– Uważaj, co mówisz, Eleno! Któregoś dnia przecież musisz zejść ze sceny i ustąpić miejsca innym. Czy wtedy życie dla ciebie straci sens? Eleno, do czego doprowadzi cię ta ślepa pogoń za sukcesem, a mówiąc wprost – za pieniędzmi?

– Ta pogoń to treść mojego życia, ale ty tego nie zrozumiesz i dlatego zawsze będziemy się kłócić.

– Gdyby chodziło tylko o sprzeczki, to jakoś sobie poradzimy. Czy naprawdę jechałem do ciebie tak daleko, żeby się teraz kłócić?

– To wszystko twoja wina – burknęła nadasana, bo już wiedziała, że w tym momencie nie osiągnie niczego, co sobie zaplanowała. Ostatni atut wyciągnie dopiero po obiedzie.

– Jak zawsze jesz jak wróbelek, Eleno. Skąd chcesz brać siły, tak potrzebne w twoim zawodzie?

– Wolałbyś, żebym była gruba jak beczka? Brr! Od razu połknę jedną z tych cudownych tabletek i nie będę odczuwać głodu.

– A jeśli ta cudowna tabletką pewnego dnia odbierze ci również głos? Odrzuciła w tył głowę, wyraźnie zdenerwowana, a Herbert dodał szybko: – Zrozum, że martwię się o ciebie i dlatego pytam.

– Zupełnie niepotrzebnie. Jestem pod kontrolą lekarzy, a oni chyba lepiej niż ty wiedzą, co robić.

– Możliwe – przyznał, chcąc zakończyć ten temat. – Dokąd wyjeżdżasz po występach w Rzymie? Twój sekretarz mógłby mi dać plan twoich podróży, przynajmniej wiedziałbym, dokąd kierować moje myśli.

– Nic nowego nie zaplanowałam. Stara trasa: Rzym, Paryż, Londyn, Monachium, Wiedeń, Ateny, a potem Salzburg.

– I oczywiście Stany?

– A co myślałeś? – odburknęła nieprzyjemnym tonem, szarpiąc ze złości serwetkę. – Muszę przyznać, że bardzo mnie rozczarowałeś. Czy dalej będziesz zapewniać o twojej bezgranicznej miłości?

– A co ma moja miłość wspólnego z twoimi występami? Chyba nie uważasz, że mężczyzna taki jak ja, zgodzi się być jedną z części twojego podręcznego bagażu?

– Mon Dieu! Czego ty jeszcze nie wymyślisz? Wiele sławnych kobiet podróżuje z mężami i nikt nie robi z tego tragedii.

– Rozmawiałaś z nimi na ten temat? Nie wszyscy mężczyźni są jednakowi, mnie w każdym razie taka rola nie odpowiada.

– Nigdy nie zmienisz zdania?

– Nigdy – odparł spokojnie.

– Czy mam rozumieć, że nigdy się nie pobierzemy?

– Eleno, rozmawialiśmy już o tym wiele razy. Zostawmy to, dopóki oboje nie przekonamy się, o co właściwie nam chodzi. Czas i nasza miłość na pewno nam w tym pomogą. – Pochylił się i przez stół pocałował ją w rękę. – Ty mnie chyba jeszcze kochasz, Eleno?

– Głupie pytanie! Tak, tak, i jeszcze raz tak! Kocham cię, ale mnie denerwujesz.

– I za to wyrzucisz mnie zaraz z pokoju jak niegrzecznego chłopca? – uśmiechnął się, zmuszając ją, by zrobiła to samo.

Pogłaskała go obiema rękoma po głowie i przytuliła się.

– Ty uparciuchu! Gdybyś nie był tak pociągający, to już dawno wyrzuciłabym cię nie tylko z tego pokoju.

Przytulił ją mocno, bardzo szczęśliwy, że trzyma w ramionach tę jedyną w swoim rodzaju kobietę.

Jak zawsze w podobnych wypadkach, i tym razem został między nimi zawarty tak zwany zgniły rozejm. W ich miłości brakowało radości i spokoju, panowała nerwowość i zamęt, jak zresztą we wszystkim, co działo się wokół słynnej śpiewaczki. Ponieważ oboje nie wiedzieli, jak wyplątać się z matni, pozostali każdy w tym samym punkcie co na początku.

Ledwo zjedli obiad we dwoje, dc salonu weszła sekretarka i garderobiana Eleny Gerber, osoba zarozumiała, wręcz impertynencka. Niegdyś próbowała robić karierę śpiewaczą na prowincji, ale z miernym skutkiem, więc stanowisko przy słynnej divie uważała za dar niebios i wszelkimi sposobami starała się je zatrzymać. Herbert wręcz jej nie znosił, ona zresztą jego też. Podejrzewała, że beztrioskie i ciekawe życie skończy się dla niej, gdy tylko Elena wyjdzie za mąż, i gotowa była zrobić wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Była jednak bardzo przebiegła i w żaden sposób nie zdradzała się ze swoich obaw, a jedynie manifestacyjnie wręcz okazywała Elenie przywiązanie i przesadną troskliwość.

– Madame, strasznie mi przykro, że muszę przeszkodzić, ale odebrałam telefon z opery. Wzywają panią na krótką próbę.

Elena uniosła obie ręce jak skazaniec i spojrzała z udawanym smutkiem na Herberta: – Słyszałeś coś takiego? Czy oni nie dadzą mi choćby chwili spokoju? Potwierdziłaś, że przyjdę, Meto?

Garderobiana zrobiła skruszoną minę.

– A czy mogłam odmówić, madame?

– Trudno, Eleno, pożegnaj się już, żeby ci nie przeszkadzać w skupieniu się na roli – rzekł

Herbert, a zwracając się chłodnym tonem do Mety, dodał: – Proszę zaczekać za drzwiami, aż panią poprosimy.

Elena i pulchniutka Meta popatrzyły na niego zdumione, gdyż obie pierwszy raz słyszały, że odezwał się niegrzecznym tonem. Garderobiana próbowała protestować, ale Elena dała jej znak ręką, by spełniła polecenie Herberta. Wyszła z miną obrażonej królowny.

– Chyba nie chciałaś, abyśmy się pożegnali w obecności tej mało sympatycznej osoby?

– Mój drogi, ty obraziłeś Metę, a ja za to odpokutuję. Jestem pewna, że dziś wieczorem na złość założy mi krzywo perukę – poskarżyła się Elena. – Bez Mety jestem skończona!

– Bzdura! Myślę, że gdyby ją nawet diabli porwali, gwiazda słynnej Eleny Gerber będzie błyszczeć dalej. Wybacz, ale nie lubię widowni, kiedy się żegnamy, a tym razem rozstajemy się na długie miesiące. Długo się nie zobaczymy, Eleno.

– A czy to moja wina?

– Nie twoja, ani nie moja... Ale co by nie powiedzieć – nasza wspólna. Oboje jesteśmy uparci i boję się, że zmadrzejemy dopiero, kiedy będzie już za późno – rzekł poważnym tonem, trzymając ją w ramionach i patrząc głęboko w oczy.

Zadrzała, próbowała się uśmiechnąć, ale jej się nie udało.

– No dobrze... Obiecuję, że coś się zmieni między nami, ale nie da się tego zrobić z dziś na jutro.

– Tylko że pojutrze może być już za późno.

– Co to ma znaczyć, Herbercie? – spytała oburzona. Poglaskał ją po zmarszczonym gniewnie czole i uśmiechnął się.

– Nic groźnego ani niepokojącego. Niech rozstrzyga czas. Kiedy wrócę, natychmiast cię odnajdę i zobaczymy, co zdecydujemy. A teraz nie chcę cię już dłużej zatrzymywać. Czekają na ciebie.

– Nie przyjdiesz na przedstawienie? Zarezerwowałam dla ciebie wejściówkę.

– Nie pójdę, Eleno. Wiesz przecież, ile mam roboty z przygotowaniem wyprawy. Muszę natychmiast wracać, jeżeli za dziesięć dni mamy zdążyć na zarezerwowany samolot.

– Tyle zamieszania przez jeden bzdurny wyjazd do Afryki.

– Zamieszania wokół twoich występów jeszcze nigdy nie nazwałem bzdurnym. Pamiętaj o tym i nie bądź niegrzeczna. Uśmiechnij się lepiej, bo chciałbym zachować w pamięci obraz uśmiechniętej, pięknej Eleny Gerber.

– Twojej Eleny, chciałeś powiedzieć.

Nie zabrzmiało to szczerze, ale Herbert wołał nie protestować. Wkrótce potem opuścił salon mijając patrzącą z ciekawością Metę ledwo się jej ukłoniwszy. Gdy się odwrócił plecami, pokazała za nim język.

Niespodziewanie Herbert przypomniał sobie niezwykle piękną i skromną dziewczynę, którą spotkał wczoraj na rynku w Wolgraben. Ona na pewno nie była zdolna do teatralnych gestów, jakie zademonstrowała Elena. Tamta wiedziała zapewne, co to znaczy prawdziwa, głęboka

miłość. Kochała kogoś, to pewne... A może nie? Nie wyglądała na osobę zbyt szczęśliwą... Śmieszne! Nie ma akurat o czym myśleć, tylko o przygodnie spotkanej dziewczynie, w chwili, gdy pożegnał się z Eleną, i to na długie miesiące.

Skarcił sam siebie, ale jakoś wcale nie odczuł ulgi. Cieszył się, że wraca do domu, gdzie czeka umiejąca go rozweselić siostrzyczka.

IV

Horst Kruger czekał na Svena Holma w przestronnym hallu i z nudów przyglądał się hotelowym gościom. Nic ciekawego. Kilka grupek cudzoziemców, którzy garnęli się do przewodnika jak przestraszone kurczęta do kwoki, jakieś zapewne mało znane gwiazdy estrady, sądząc po tłumku towarzyszących im dziennikarzy, kilku biznesmenów i niezliczone, ruchliwe rzesze służby hotelowej.

Jego uwagę zwróciła siedząca opodal dziwna para. On dość dystyngowany, natomiast ona już na pierwszy rzut oka wyglądała na prostaczkę udającą wielką damę. Mężczyzna, przy swojej masywnej sylwetce, był niezwykle ruchliwy i wyjątkowo rozmowny. Cały czas mówił tylko on, kobieta zaś patrzyła tak, jakby niczego nie rozumiała. Dopiero po chwili Horst zorientował się, że mężczyzna był bardzo zdenerwowany, ze złością gniótł w rękę gazetę, wstawał, by zaraz usiąść z powrotem. – Coś mi to wygląda na kłótnię małżeńską – pomyślał Horst. – Pani żona ma wyjątkowo głupią minę. Dobrze, że głupota nie boli, bo biedaczka pewnie wyłaby już z bólu. On zresztą też wygląda na nieznośnego typu i prawdę mówiąc, wolałbym z nim nie zadzierać. O, jest moje Szwedziątko! Facet solidnej postury, pewnie przy nim nie pomrzemy w buszu z głodu.

Horst podniósł się i wyszedł Svenowi naprzeciw, ale zanim się spotkali, podbiegł do Szweda klóćący się mężczyzna, a na jego twarzy od razu pojawił się radosny uśmiech.

Sven najwyraźniej nie był zachwycony spotkaniem, ale przywitał się grzecznie. Horst zaś zatrzymał się i czekał, aż tamci dwaj skończą rozmowę. Tymczasem oni podeszli wprost do niego.

– Hallo, doktoru! Cieszę się, że pan przyjechał. – Szwed uśmiechał się, wyciągając z daleka rękę.

– Ja również, choć prawdę mówiąc, nie miałem wyboru, skoro przysłał mnie tu szef, abym się panem zaopiekował.

– W porządku! To jest doktor Berger, który skontaktował się ze mną już wczoraj. – Sven przedstawił obu panów, a Horst zrobił głupią minę, dowiedziawszy się, że ten niesympatyczny człowiek wybiera się z nimi do Afryki. Z pewnością na dobrego kompana to on nie wygląda! A jaki będzie, to się okaże.

Nadrabiając miną Horst słuchał potoku słów doktora; zrozumiał tylko tyle, że chce iść z nimi na zakupy.

– A pańska towarzyszką? Zdaje się, że czeka na pana.

– Ach, rzeczywiście! Widzicie, panowie, jaki ja jestem roztargniony. Pozwólcie, że przedstawię was mojej żonie. Ona niestety, musi zostać, ale ja jako stary monachijczyk chętnie posłużę panom za przewodnika.

– To miłe z pana strony, doktorze, aleja też czuję się w Monachium jak u siebie w domu, a

poza tym, jesteśmy z panem Holmem zaproszeni na obiad do mojej ciotki. Może pan spokojnie dotrzymać towarzystwa małżonce.

Berger popatrzył gniewnie na żonę, a Horst nie miał już żadnych wątpliwości, że z tym człowiekiem nie znajdzie wspólnego języka. Podszedł jednak z Holmem do stolika i uklonił się czerwonej z zakłopotania kobiecie. Ręka, którą im podała na powitanie, nie była najczyściejsza.

– Nie pogniewa się pan, doktorze, ale musimy już iść. Kiedy się spotkamy?

Berger nie bardzo wiedział, jak się zachować, ale postanowił udawać zapracowanego naukowca i szczęśliwego małżonka.

– Jak już pisałem doktorowi Sandersowi' spotkamy się w Lizbonie. Właściwie już tam na mnie czekają, ale wyjadę dopiero jutro, bo chcę jeszcze jak najdłużej zostać z rodziną.

– W takim razie zobaczymy się za niecałe dwa tygodnie. Mam nadzieję, że zabukował pan miejsce w tym samolocie co my?

– Oczywiście! Doktor Sanders przekazał mi szczegółowe informacje.

– Szanowna pani, było nam miło panią poznać. Mamy nadzieję, że rozłąka z mężem nie będzie się pani dłużyła – rzekł Horst, doprawdy nie wiedząc, o czym z tą wyfiokowaną damą rozmawiać. Nie uśmiechnęła się nawet, tylko rzucała podejrzliwe, badawcze spojrzenia na Bergera. Ukloniła się wreszcie i Horst ze Svenem mogli odejść.

– Nic nie wiedziałem, że mamy iść na obiad do pańskiej ciotki – mruknął Szwed trochę zakłopotany.

– Ona też o tym nie wie, a poza tym, nie mam w Monachium żadnej ciotki. Chciałem jakoś spławić tego faceta. Nie wydaje mi się sympatyczny, a panu, Sven?

– Niespecjalnie, ale co na to poradzimy? Potrzebna nam jego wiedza, a nie gęba. Dziwna ta jego żona, nie sądzi pan? Wcale nie wygląda na panią doktorową.

– Czort jeden wie, skąd i po co ją sobie wziął. Ja w każdym razie poszukałbym ładniejszej. Przynajmniej w czasie wyprawy będzie mógł spać spokojnie, bo nikt mu jej raczej nie poderwie.

Skończyli rozmowę na temat Bergera, bo mieli wiele innych, ważniejszych spraw do omówienia. Kupili lub zamówili wszystko, czego Sven Holm potrzebował w Afryce i poszli na obiad do przytulnej, małej restauracyjki.

Sven spytał o siostrę doktora Sandersa i martwił się, czy nie będzie z nią zbyt wielu kłopotów.

– Mam nadzieję, że nie jest rozhisteryzowaną panienką, z tych co na widok każdego hipopotama podnoszą wrzask wniebogłosy.

– Właśnie próbowałem ją podejść i postraszyłem, że codziennie będzie spotykała gołych jak palec Murzynów, a ona nic! Jej jedynym zmartwieniem jest, abyśmy w dżungli zupełnie nie zdziczeli. Na wszelki wypadek już mnie tresuje i wypomina, że trzymam nogi na gzymsie kominka.

– O rety, już wyobrażam sobie, co mnie czeka! Mam zwyczaj wytrzepywać popiół z fajki, gdzie popadnie, i nie mogę się powstrzymać, żeby nie splunąć w ogień.

– Svenie Holm, czeka pana marny los! Radzę czym prędzej zaopatrzyć się w podręcznik „Dobre maniery w buszu afrykańskim”.

– Z podtytułem: „Gdy w wyprawie uczestniczą damy”! Bo dla nas, mężczyzn, busz to busz!

– Jakoś tam sobie poradzimy. A wracając do doktora Bergera, to mam wrażenie, że dojdzie do jakiejś awantury, a jak weźmiemy się za łby, to z palm pospadają liście, a krokodyle czmychną do pierwszej lepszej kałuży.

– Chętnie bym to zobaczył, ale po zakończeniu wyprawy. W czasie jej trwania musimy trzymać nerwy na wodzy i dyplomatycznie unikać konfliktów.

– O, jakbym słuchał kazania mojego poczciwego przyjaciela, Sandersa! Trudno, naostrzę topór wojenny i na wszelki wypadek zabiorę go ze sobą. Podpadł mi facet od razu. Dziwne, że żonaty mężczyzna zdecydował się na niebezpieczną wyprawę do Afryki, prawda?

– Może chce uciec od żony. Nie wyglądał na zakochanego po uszy, ale to przecież nie nasza sprawa. Zajmijmy się swoimi – zaśmiał się młody Szwed.

– Czym, mianowicie?

– Chociażby kuflem porządnego piwa, bo nie cierpię wina.

– Svenie Holm, podoba mi się pan coraz bardziej...

Kilka dni po pamiętnym spotkaniu z Herbertem Sandersem na rynku w Wolgraben, Ingrid otrzymała list z banku, w którym miała konto. Nie lubiła kopert z urzędowymi nadrukami, bo zawsze przynosiły wiadomości zakłócające monotony spokój panujący w Boorstenhaus i wprowadzały ją w nerwowe zakłopotanie.

Tym razem bank informował, że pan doktor Gwido Berger złożył prośbę, aby wypłacić mu pensję za cztery miesiące z góry, bo planuje duże wydatki, w związku z udziałem w ekspedycji naukowej do Afryki.

Na szczęście, nie była to zła wiadomość, a wręcz dobra, skoro na kilka miesięcy będzie można zapomnieć o tym okropnym człowieku.

Bez chwili zastanowienia Ingrid podpisała polecenie wypłaty, a kopertę zaniósła od razu do kuchni, gdzie po obiedzie odpoczywały Klara i Doris, a także stangret Ginding. Położyła przed nim list i poleciła, aby go zawiózł na pocztę jutro z samego rana.

Doris nie wytrzymała z ciekawości i w zastępstwie Klary zaniósła kawę do salonu, gdzie od pokoleń, o tej porze, kobiety Boorstenów zasiadały do podwieczorku. Wyraźnie nie miała ochoty odejść.

– Wiem, że to nie moja sprawa, dziecko, ale czy aby nie przyszła jakaś zła wiadomość?

Ingrid uśmiechnęła się i popatrzyła na zatroskaną staruszkę.

– Mogłabyś być niezłym policjantem, Doris. Masz, przeczytaj, co dostałam z banku.

Kucharka złapała kartkę papieru i pośpiesznie zaczęła szukać po kieszeniach okularów, które zresztą – jak zwykle – miała zatknięte na czubku głowy.

– Hm, znowu ten! – mruknęła. – Wyjeżdża za granicę? No to przynajmniej mamy pewność, że nam się tu nie zwali. Da mu pani te pieniądze?

– A miałaś wątpliwości? Już mam dosyć czytania co miesiąc tych jego faryzejskich podziękowań.

– Niechby go wreszcie... no cóż, takiego to nawet lichu nie weźmie, a porządni ludzie mrą jak muchy. Mogę coś jeszcze powiedzieć, panno Ingrid?

– Co cię tak dzisiaj wzięło na narzekanie, Doris?

– Bo tak przecież nie może być wiecznie! Trzeba wreszcie z tym skończyć. Płaci mu już pani czwarty rok z rzędu, a właściwie za co?

Ingrid nie od razu zdecydowała, co odpowiedzieć staruszce. Przez starannie pocerowane stare firanki zapatrzyła się na ścielące się za oknem wody zatoki. Od lat ten sam widok, a jej życie ucieka, młodość również, a ona nawet nie wie, co to naprawdę znaczy żyć. Czyżby tak zdecydował los? Czy nic już się nie zdarzy?

Nagle przypomniała sobie nieznanego, którego spotkała w Wolgraben. Nigdy nie zapomni jego ciepłego spojrzenia. Obojętnie, czy w ciągu dnia, gdy wykonuje swoje liczne obowiązki, czy w ciągu nocy, kiedy leżąc w twardym łóżku wsłuchuje się w miarowy plusk fal, cały czas myślami wraca do tamtego spotkania. Nieznajomy w niczym nie przypominał Gwido Bergera, ani jego chciwie i bezdusznie patrzących oczu, których też chyba nie zapomni do końca życia. Ocknęła się i zobaczyła czekającą na odpowiedź Doris.

– Nie uwierzysz, ale ja też coraz częściej stawiam sobie to pytanie. Im dłużej to trwa, tym większą mam ochotę napisać mu, że żądam rozwodu.

Doris nie odkładając tacy usiadła na taborecie i z uznaniem pokiwała siwą głową. – No, najwyższy już czas, panno Ingrid, żeby pozbyć się tego wieprza. Nie pójdzie nam łatwo, oj nie, bo jemu chodzi przecież o pieniądze.

– Będę więc musiała wykupić swoją wolność. Poczekam, aż wróci z tej podróży i wtedy napiszę mu, że chcę się rozwieść. W razie czego postraszę go wstrzymaniem pensji; jak myślisz, poskutkuje?

– Na takiego łobuza trzeba czasami wyszczerzyć zęby. Tak sobie myślę, co też nagle się stało, że panienka zmieniła zdanie? Bo dotychczas nie pozwalała nawet wspomnieć o tym wieprzu.

– Doris! Czy ty naprawdę musisz tak się wyrażać o doktorze Bergerze?

– Niech się cieszy, że nie nazwę go jeszcze dosadniej! Dla mnie to wieprz i tyle. – Mruczała pod nosem i zaraz dodała głośnie: – Trzeba będzie poradzić się doktora Burgera, gdy znowu zjawi się u nas z tym swoim czerwonym nochalem. Chłop to chłop i lepiej wie, co robić, niż my, same baby. No, a teraz niech panienka wskoczy w płaszcz i przebiegnie się trochę wokół zatoki, bo już nie mogę patrzeć na te blade jak płótno policzki.

– Zabrzmiało to prawie jak rozkaz, Doris.

– Bo też tak jest! A, co to ja jeszcze chciałam powiedzieć? Ginding przywiózł z miasta gazetę i jest tam zdjęcie panienki Heleny. Chuda jak śmierć i na twarzy starsza niż wtedy, gdy od nas uciekła, ale to na pewno ona.

– Przynieś mi, proszę, tę gazetę. Bardzo chciałabym zobaczyć Helenę. Dawno już nie pisała do nas, a prowadzi tak ciekawe życie, że czasami aż jej zazdroszczę.

– Żeby to choć było czego! Ja tam nie chciałabym nosić tylu przeróżnych mazideł na twarzy i śpiewać na zawołanie ciągle tego samego.

Chwilę potem Ingrid przyglądała się niezbyt zresztą udanej fotografii siostry, w kostiumie z jakiejś klasycznej opery, której tytuł z niczym się Ingrid nie kojarzył. Helena wyglądała staro i trudno było ją poznać, taka była szczupła, znacznie chudsza niż wtedy, gdy mając szesnaście lat uciekła nocnym pociągiem do Paryża, zabrawszy wszystkie pieniądze, jakie były w domu.

Napis pod zdjęciem informował, że Elena Gerber, jedna z najsłynniejszych śpiewaczek, podpisała nowy kontrakt z Met, dokąd wyjedzie zaraz po występach na festiwalu w Salzburgu.

– Z Met? To chyba oznaczało z Metropolitan Opera w Nowym Jorku! Boże, to ona jest aż tak sławna, a ja, jej siostra, nawet o tym nie wiem! – myślała głośno Ingrid i zaraz rzuciła się na artykuł, w którym zostało zamieszczone zdjęcie. Z treści wynikało, że spektakle „Don Carlosa” i „Arabelli”, w których zaśpiewa Elena Gerber, będą transmitowane z Salzburga przez radio. Ingrid zwinęła gazetę i pobiegła do kuchni krzycząc z daleka:

– Usłyszemy ją! Zobaczcie – będzie śpiewała przez radio!

– A co nas to może obchodzić? – zachnęła się naburmuszona Doris. – Przecież nie mamy tego piekielnego urządzenia w domu.

– To właśnie jest okazja, żeby je wreszcie kupić! – zawołała Ingrid ściągając na siebie trzy pary oczu obu zdumionych staruszek i Gindinga. – Jutro pojedziemy do Wolgraben i kupimy aparat radiowy, bo koniecznie musimy wszyscy usłyszeć, jak nasza Helena pięknie śpiewa. Czemu macie takie ponure miny? Nie chcecie posłuchać czasami trochę muzyki, wiadomości ze świata i różnych ciekawostek?

– To jeszcze tylko by brakowało, żeby panienka sprowadziła do Boorstenhaus tę diabelską skrzynkę, co to na szybie pokazuje obrazki – mruknęła Klara, rzucając w stronę Gindinga piorunujące spojrzenia, bo w jego skarpecie, którą cerowała, było więcej dziur niż wełnianej dzianiny.

Ingrid wołała przemilczeć tę uwagę, za to podeszła z otwartymi ramionami do Doris i objęła ją serdecznie.

– No, cieszcie się także! Na pewno radio wam się spodoba.

– Niech będzie. Klaro, nie rób takiej głupiej miny i pokaż, że się cieszysz.

– Nie wiem, jak to się pokazuje.

– Głupia kozo! Jak sto lat temu Ginding za tobą latał, to wiedziałaś jak się cieszyć.

– Latał! Ten stary głupek nigdy nie przyszedł punktualnie, a już wtedy w skarpetach miał tak wielkie dziury jak teraz.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, Klaro, że dziury w skarpetach robią tylko głupcy! – przekomarzała się Ingrid, na co wszyscy troje wybuchnęli wesołym śmiechem. Od drzwi odwróciła się i przypomniała: – A więc, Ginding, jutro zaprzęgać konie i jedziemy do

Wolgraben!

– Jak tak dalej pójdzie z tą nowoczesnością, to jestem pewien, że w Boorstenhaus pojawi się niebawem smrodliwy automobil.

– Nie wywołuj wilka z lasu, stangrecie, bo na stare lata będziesz musiał nauczyć się go prowadzić.

– O nie! Z owsa na benzynę to mnie panienka nie przestawi. Będzie musiał tym się zająć ktoś młodszy.

– W takim razie sama usiądę za kierownicą!

Rozległa się pełna ostrych protestów wrzawa. Ingrid wybiegła z kuchni, wrzuciła na siebie płaszcz i po godzinnym spacerze wzdłuż zatoki, wróciła do domu z rumianymi policzkami, głodna jak wilk.

Następnego dnia aparat radiowy zajął poczesne miejsce w salonie, a gdy Ingrid dopiero wieczorem udało się go uruchomić, po raz pierwszy w domu Boorstenow zabrzmiały obce głosy z oddali oraz dźwięki muzyki. Wszyscy poczuli się nagle bardzo nowocześni.

V

Czas przed wyjazdem Herbert i Gundi mieli szczególnie wypełniony przygotowaniem. W przeddzień przyjechał Sven Holm, by z Frankfurtu wyruszyć z pozostałymi członkami wyprawy do Paryża, a stamtąd francuskimi liniami do centralnej Afryki.

Ostatni wieczór spędzili w willi Sandersów, w radosnym nastroju, jakby w ogóle nie wybierali się w niebezpieczną podróż. Trzej mężczyźni zaciągali się beztrudno dymkiem z papierosa lub fajki, żartowali i prześcigali się w dowcipach. Gundi przysiadła na taborecie obok Herberta i z poważną miną spoglądała na ogień buzujący w kominku. W chwili przerwy odezwała się nagle:

– Wy tu sobie żartujecie, bo niby wszystko zostało przemyślane, przygotowane i wypróbowane... A czy któryś z was pomyślał, co zrobimy, jeśli zdarzy się coś nieprzewidzianego?

Wszyscy trzej popatrzyli na nią zaskoczeni.

– No tak! Co zrobimy, gdy zamiast spodziewanego jednego lwa, nagle zjawią się dwa? Albo gdy nasza Gundi zapłata się gdzieś w buszu?

– Wyjście jest bardzo proste! Na drugiego lwa nie zwracać uwagi, a Gundi, żeby się nie oddalała, będziemy trzymać na smyczy! – zaproponował rozbawiony Horst. – Gorzej, jeśli między sobą weźmiemy się za łby; kłótnie w buszu to już katastrofa.

– Masz zamiar kłócić się ze Svenem albo ze mną, Horst?

– Z wami nie, ale z tym Bergerem to długo nie wytrzymam. Nie trawię faceta i już. Współczuję jego żonie, choć też nie zrobiła na mnie najlepszego wrażenia.

– Po co wsadzasz nos w nie swoje sprawy, hę? – odgryzła mu się Gundi. – Czemu właściwie się go czepiasz? Jego listy są bez zarzutu, a informacje, które zebrał o nim Herbert, są wyjątkowo korzystne.

Herbert podniósł się by zapalić papierosa. Zaciągnął się i rzekł bez specjalnego nacisku: – Na mnie też Berger nie zrobił najlepszego wrażenia, ale trudno by mi było powiedzieć dlaczego. Porządnie ubrany, wykształcony, grzeczny, a co najbardziej się liczy, posiada wiedzę, której my nie mamy. Mimo to wyczuwam, że coś jest z nim nie w porządku. Co pan o tym sądzi, Sven?

– Krótko mówiąc, dla mnie to tchórz.

– Masz ci los! Ostro powiedziane. Czyżby nie był to człowiek, jakiego potrzebujemy? Horst, co ty powiesz?

– W pewnym sensie potwierdzam opinię Svena, a ze swej strony dorzucę jeszcze brutalność, lekkomyślność i podstępność.

– No to mamy pełny wizerunek naszego, powiedzmy, przyjaciela! Powinniśmy się zastanowić, czy brać go na tak niebezpieczną wyprawę, czy może lepiej od razu zostawić na

miejscu.

– Podpisał kontrakt, Herbercie. Niech jedzie, a być może wcale nie będzie nam potrzebny, jeżeli tylko Jochen nas nie struje. W każdym razie musimy mu uważnie patrzeć na ręce, a jeżeli coś zmaluje, to stłukę go na kwaśne jabłko w samym środku buszu.

– A później, zamiast on leczyć nas, my będziemy jego! Jak powiedziałeś, w buszu kłótnie to katastrofa. Już wiemy, że na Bergera nie można liczyć jako na przyjaciela, ale jako na lekarza możemy, a to w końcu najważniejsze. Zawieszam dyskusję na dziś. Rano musimy wcześniej wstać, bo w przeciwnym razie nie zdążymy do Frankfurtu na samolot, a ten odlatuje kilka minut po dziewiątej.

– Przynajmniej do Lizbony, nim dosiądzie się nasz przyjaciel, będziemy mieć przyjemną podróż – mruknął Horst i złapał Gundi w swoje potężne dłonie. Uniósł ją wysoko i jak lalkę postawił na ziemi. – No, mała, szybko pod pierzyne!

Dała mu pstryczka w nos, Herberta pocałowała w policzek, Svenowi mocno uściśnęła dłoń i pobiegła na górę do swojej sypialni. Na schodach odwróciła się i zawołała: – Może przyśnią mi się wasze głupie miny, jakie zrobicie na widok kilku lwów na raz?

– Dobrze je zapamiętaj, bo w okolicach, gdzie będziemy, lwów możesz w ogóle nie zobaczyć – pouciskały przed stadem gwiazd filmowych, które ostatnio upodobały sobie wyprawy w głąb Afryki – zażartował Herbert, podtrzymując wesoły nastrój wieczoru.

Upłynęło tymczasem kilka miesięcy. Po udanym tournée Elena przyjechała do Salzburga i zamieszkała w luksusowym apartamencie w hotelu „Mirabellenhof.

W mieście panowała już festiwalowa atmosfera. Reporterzy nie odstępowali sławnych gwiazd na krok, polując na najciekawsze ujęcia, dziennikarze dopraszali się wywiadów, menadżerowie teatrów próbowali namówić Elenę Gerber do występów w ich mieście, koledzy starali się nadskakiwać słynnej gwieździe, znając jej kapryśny charakter, natomiast organizatorzy festiwalu wprost prześcigali się w spełnianiu jej najdrobniejszych zachcianek.

Elena była przyzwyczajona do zgiełku, jaki panował wokół niej i byłaby zadowolona w stu procentach, gdyby sławny dyrygent, z którym miała współpracować, okazał jej większe zainteresowanie, i gdyby nie trapiła ją pewna sprawa, o której nikomu jeszcze nie wspomniała.

Od pewnego czasu śpiewanie kosztowało ją sporo wysiłku. Nie, żeby traciła głos, broń Boże, ale po każdym występie czuła się ogromnie wyczerpana i nawet mówienie półgłosem sprawiało jej trudności. Nie przyznała się ani garderobianej, ani tym bardziej lekarzowi, gdyż obawiała się najgorszego i była zbyt dumna, by przyznać się do słabości.

Milczenie po przedstawieniach Meta potraktowała jako kolejny kaprys swojej chlebobawczynie, podobnie zresztą jak unikanie przez nią wielkich przyjęć, zwłaszcza że na kameralne, w gronie kilku osób Elena chętnie chodziła.

Pracowały już razem od wielu lat, więc Meta знаła dziwactwa Eleny na wylot i przestała traktować je poważnie. W ogóle w Salzburgu na początku panowała wakacyjna atmosfera i nikt niczym się nie przejmował. Po krótkich przedpołudniowych próbach artyści spotykali się w

mieście, spacerowali, a ich jedynym zmartwieniem było to, żeby na przypadkowo zrobionym zdjęciu nie wyjść z głupią miną.

Elena przywiozła ze sobą całą kolekcję letnich sukien i mogła założyć którąkolwiek z nich, a i tak wszyscy musieli przyznawać, że wygląda uroczo.

Ale czas kanikuły się skończył i zagoniono artystów do pracy. Nie było taryfy ulgowej dla nikogo, a dyrygent i reżyser wcale nie mieli zamiaru ułatwiać Elenie życia, zaś na nią atmosfera słynnej Felsenreitschule działała wyjątkowo deprymująco. Nie był to jednak strach, że nie zdoła wypełnić głosem mrocznej, przestronnej hali. Wręcz przeciwnie, wszyscy uspokajali ją i zapewniali, że śpiewana przez nią rola Elżbiety z opery Verdiego „Don Carlos” brzmi wyjątkowo pięknie w surowym wnętrzu.

Ona jednak po każdej wyczerpującej próbie uciekała do hotelu i nie odzywała się ani słowem do nikogo. Z Metą porozumiewała się gestami, a ta, choć męczyła się okropnie, nie protestowała przeciwko kolejnemu, jej zdaniem, kaprysowi gwiazdy.

Nadszedł dzień próby generalnej i wszystkich ogarnęła typowa, nerwowa atmosfera. Muzycy byli pewni, że dyrygent choćby nawet najbardziej przymykał oczy na drobne potknięcia, i tak wyciśnie z nich siódme poty. Chór dosłownie słańiał się na nogach. Kilkakrotnie – wchodził i schodził ze sceny, a większość czasu tracił stojąc i czekając, aż muzycy doszlifują odpowiednią partię utworu.

Raz po raz próbę przerywały awantury między służbą porządkową a reporterami, którzy próbowali zakamuflować się na widowni i czym prędzej wysłać jakieś sensacyjne zdjęcia do redakcji swoich gazet. Jeden, zanim zdążył ukryć się pod krzesłami w ostatnim rzędzie, został wyrzucony z hukiem na bruk, sam nie wiedząc kiedy i przez kogo został zdemaskowany.

Niestety, dzień był wyjątkowo chłodny i deszczowy. Krople rozbijające się z szumem o ogromne velarium rozpięte nad widownią rozpraszały artystów, a zwłaszcza Elenę, która na dodatek trzęsła się z zimna w skądinąd pięknej, ale bardzo wydekoltowanej sukni.

Kiwnęła na Metę i poprosiła o przyniesienie szalika, którym mogłaby osłonić szyję. Kilka słów zamienionych na scenie natychmiast wywołało sprzeciw dyrygenta.

Groźnie zastukał batutą o pulpit i spytał Elenę, czy pozwoli mu spokojnie pracować. Posłała mu piorunujące spojrzenie, po którym pod mniej sławnym dyrygentem pewnie ugięłyby się nogi. Ten zaś nie mrugnął nawet okiem.

Próba nabrała rozmachu: pierwszy akt, potem drugi i trzeci, aż do urzekającego pięknego finału. Nikt nie szczędził sił i wszyscy z utęsknieniem czekali, że wreszcie próba dobiegnie końca i udadzą się na zasłużony odpoczynek. Tymczasem nagle głos Eleny Gerber urwał się, a ona, choć poruszała ustami, żadnego dźwięku z siebie nie wydawała.

Dyrygent zastukał w pulpit, a wszyscy, jak jeden mąż, utkwili oczy w słynnej śpiewaczce, która rozpaczliwie otwierała karminowe usta, jakby łapała powietrze. Nikt nie odważył się poruszyć, a co dopiero powiedzieć cokolwiek, zaś starszy, drobny pan, sławny dyrygent, wbiegł dziarskim krokiem na scenę i, jakby nic się nie stało, uśmiechnął się do Eleny i życzliwie

poklepał ją po ręku.

Uspokajał, żeby się nie denerwowała, bo jest po prostu przemęczona, skoro w ostatnich dniach zbyt intensywnie pracowała. Trzeba uspokoić nerwy. Zarządził półgodzinną przerwę, uklonił się wszystkim i zniknął za kulisami wraz z reżyserem. Tak czy inaczej, ostatni akt trzeba będzie powtórzyć od początku.

Wisielcze humory i kłopotliwą sytuację gwiazdy starano się zatuszować żartami, jedynie wśród chórzystów słyhać było odgłosy niezadowolenia.

Z dumnie uniesioną głową Elena wróciła do swojej garderoby, rzuciła się na fotel, podparła rękoma głowę i ze złością zaciskała usta. Meta krzątała się wokół niej, nie przejmując się zbyt długo przedłużeniem próby. Zadawała raz po raz pytania bez żadnego znaczenia, aż w końcu Elena tupnęła nogą i warknęła:

– Zamknij się wreszcie, idiotko, i lepiej postaraj się o szklankę gorącego mleka. W tej przeklętej zimnicy głos człowiekowi w gardle zamarza. No, ruszaj się!

Garderobiana wypadła jak wystrzelona z procy, a Elena osunęła się na kolana, załamała ręce i zaczęła gorączkowo poszukiwać dawno zapomnianych słów modlitwy do jeszcze dawniej zapomnianego Boga.

– Pomóż mi, Wszzechmogący, ratuj! Co się ze mną dzieje? Przecież nie możesz mi zabrać głosu, którym mnie obdarzyłeś. Nie zrobisz mi tego! Boże, nie zostawiaj mnie w takiej sytuacji!

Wyuczone w dzieciństwie pacierze nagle jakby odżyły w pamięci. Powtórzyła je wszystkie po kolei z zamkniętymi oczyma, potem zaczęła obiecywać, że odtąd będzie już w życiu czynić tylko dobro: pomoże początkującym artystom, założy fundację dobroczynną, swoją willę w Lugano przebuduje na sanatorium dla biednych – odda wszystko, co sprawia jej radość, tiyleby tylko mogła odzyskać głos.

Czasu na krótką refleksję nad sobą nie miała zbyt wiele, bo kilka minut później Meta najpierw zajrzała ostrożnie do garderoby, a potem już w całej krasie weszła ze szklanką mleka w rękę.

– Udało mi się zdobyć także trochę miodu. To na pewno pomoże. Elena rzuciła się na biały płyn i piła łąpczywie, jak mannę zesłaną jej przez niebiosy.

– No jak, pomaga? – dopytywała się Meta.

Skinęła tylko głową, a później powiedziała powoli, jakby bała się, że zerwie sobie struny głosowe.

– Jak ja nie cierpię tej przeklętej Felsenreitschule!

– To nie ona winna, proszę pani! To przemęczenie. Ja cały czas powtarzam, że potrzebny jest wypoczynek. Zamiast do brudnej La Scali mogłyśmy raczej pojechać do Lugano i poleżeć na słoneczku w ogrodzie przed naszą willą. Ale nie! Pani musiała jeszcze do Wiednia, a przecież Arabella to trudna i wyczerpująca rola! – zrzędziła otulając szyję Eleny drogim jedwabnym szalem. – Tak, niech pani go nie zdejmuje na scenie. Pasuje do kostiumu, a jak się Griinderowi nie spodoba, to niech pocałuje nas w...

Elena przerwała jej ruchem ręki i spytała: – Co tam się dzieje na zewnątrz? Zabierał ktoś głos?

– Nie, skądże. Wszyscy korzystają z przerwy. Panowie palą papierosy albo popijają na rozgrzewkę, a panie siedzą w garderobach i trzęsą się z zimna.

– To dobrze. Gdyby cię ktoś pytał, to mów prawdę, że czuję się w Felsenreitschule przytłoczona atmosferą i nie wytrzymuję nerwowo, i ani słowa więcej, zrozumiałaś?

– Tak jest, ale co zrobimy dalej?

– Jak to co? Idziemy na próbę, głupia kozo! – Elena wstała odzyskawszy nagle werwę. Usiadła przed lustrem i zaczęła poprawiać makijaż.

Po chwili, zapukawszy nieśmiało, dyrygent i reżyser przyszedli spytać, czy już czuje się lepiej.

– Bardzo panom dziękuję za troskliwość i jednocześnie przepraszam, że przerwałam tak ważną próbę. Nie gniewajcie się, proszę, ale nie cierpię tej Felsenreitschule. Wiem, że to wyłącznie mój problem, a jeżeli panowie jesteście gotowi, to możemy wracać do pracy.

– Dziecko, naprawdę nie ma pośpiechu! Nic się nie stanie, jeśli poczekamy jeszcze pół godziny – zapewnił dyrygent z właściwym sobie taktem. – Każdego mogą zawieść nerwy. A może ma pani jakieś prywatne problemy, które nie pozwalają pani się skupić?

Elena patrzyła na niego jakby przemawiał po chińsku. Prywatne problemy? O czym on mówi? Dla niej liczył się tylko śpiew! Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się czarująco.

– Chciał pan spytać, czy nie jestem zakochana, maestro? Z tym akurat nie mam żadnych problemów.

– Ejże! A ten zabójczo przystojny elegant, z którym panią ostatnio gdzieś widziałem?... Wyglądała pani na zadurzoną po uszy – uśmiechnął się reżyser.

– Panie Griinder, mężczyzna, w którym zadurzy się Elena Gerber, jeszcze się nie urodził!

W miłej atmosferze omówili kilka szczegółów jej roli. Elena prosiła, żeby zwolnić trochę tempo w ostatniej części przedstawienia, aby nie musiała wychodzić na środek sceny, bo przy szybkich ruchach jej kostium nie prezentuje się najlepiej.

Zgodzili się, choć nie było w zwyczaju zmieniać na próbie generalnej nawet tak mało istotnych szczegółów. Obaj doświadczeni ludzie teatru wiedzieli o co chodzi, a ponieważ na jutrzejsze przedstawienie nie mieli dublerki „królowej Elżbiety”, musieli przyjąć warunki Eleny Gerber.

Następną noc Elena musiała zaliczyć do najstraszniejszych w swoim życiu. Raz po raz przypominała jej się scena, gdy głos uwiązł jej w gardle i nie mogła z siebie wydobyć żadnego dźwięku. Czy aby podobna sytuacja się nie powtórzy, i to – nie daj Boże – podczas przedstawienia przy wypełnionej po brzegi widowni? Czy odtąd już przed każdym występem będzie przeżywała podobny lęk? Czy straci głos, swój cudowny, jedyny skarb, jedyne szczęście, jedyny cel swojego życia? Co zrobi bez niego? Raczej wybierze śmierć!...

Kręciła się niespokojnie, denerwowała, aż wreszcie sięgnęła po proszek nasenny, choć dotychczas nigdy tego nie robiła.

Gdzie podziła się pewność siebie tej zarozumiałej, głaskanej przez los kobiety? Jak dziecko zmęczone płaczem pociągnęła nosem ostatni raz i przytuliła do poduszki piękną, nieuszminkowaną twarz, która jakby odzyskała swój młodzieńczy blask.

Nazajutrz nikt nie powiedziałby, że ta wesoła i energiczna kobieta poprzedniego wieczoru była bliskim rozpaczy kłębkiem nerwów. Ona sama nie pamiętała już o obietnicach składanych podczas modlitwy, ani o strachu, jaki przeżyła. Przyjmowała kwiaty, ukłony i gratulacje jak coś, co jej się codziennie należało.

Wieczorna premiera była niewątpliwie największym sukcesem w jej dotychczasowej karierze. To samo zapewne mogli powiedzieć także dyrygent i reżyser przedstawienia. Wśród wiwatów publiczności Elena czuła się jak w siódmym niebie, znów była wielką gwiazdą.

Natychmiast zapomniała, że jeszcze wczoraj kamienna scena Felsenreitschule budziła w niej grozę. Po przedstawieniu, nie zważając na zmęczenie, a mając przed sobą kilka dni wypoczynku, Elena poszła na uroczyste przyjęcie i bawiła się znakomicie, jak jeszcze nigdy dotąd.

VI

Ekipa Herberta Sandersa od kilku tygodni przebywała już w sercu Afryki. Każdy z uczestników zajmował się swoją dziedziną i mógł już się pochwalić nowymi osiągnięciami. Nastroje dopisywały, zdrowie również, a wszyscy tak już się opalili, że kolorem skóry prawie nie różnili się od tubylców.

Jochen w roli kucharza sprawdził się znakomicie i zbierał pochwały godne szefa kuchni w hotelu Waldorf Astoria. Jedyne zarzut, jaki mu stawiano, to brak karty dań, ale dzielny staruszek bronił się, raz, że wysechł mu atrament w piórze, a innym razem, że wyciekł tusz z długopisu. Winien był więc afrykański upał.

Gundi pomagała Jochenowi tylko wtedy, gdy panowie wyruszali na wyprawy badawcze albo na polowanie. W tym drugim przypadku brat długo musiał ją przekonywać, że dla własnego bezpieczeństwa powinna raczej zostawać w obozie. Na wszelki wypadek kazał jej zawsze nosić przy sobie broń, co bardzo jej zaimponowało. Decydującym zaś argumentem okazało się stwierdzenie, że skarpet do cerowania nabierało się strasznie dużo i lada dzień panowie musieliby chodzić na bosaka. Elastyczne skarpety były zupełnie nieprzydatne i wszyscy dopytywali się o ciepłe, wełniane.

– Ciekawe, że odzież, która chroni przed zimnem, jest również skuteczna na gorąco – zauważył filozoficznie Horst opędzając się od natrętnego komara. – Poszukaj sobie inną ofiarę! – mruknął, zerkając na Gundi szamocącą się z guzikami przy czyjejsz koszuli. – I co, mała. nie żałujesz, że przyjechałaś tu z nami?

– Gdy sobie pomyślę, co zrobilibyście tu beze mnie, to przestaję żałować, dzikusy jedne!

– Ale ja przecież nie kładę już nóg na kominku!

– Bo nie masz go pod ręką. A wczoraj widziałam, jak oblizaleś nóż po posmarowaniu suchara miodem, i co?

– Myślałem, że nikt na mnie nie patrzy... Ale się nie skaleczyłem.

– Jak chcesz się bawić w połykacza noży, to zapisz się do cyrku. Ej, a dlaczego ty właściwie zostałeś dziś w obozie?

– Po pierwsze jestem leniuchem, po drugie – zbadałem już stan roślinności w promieniu dziesięciu kilometrów, a po trzecie – należy mi się dzień odpoczynku.

– Ciekawe po czym? – Gundi odłożyła szycie na składany stolik i przysiadła się do Horsta, pod tropik dużego namiotu służącego za sypialnię dla mężczyzn, w którym miała wydzieloną część dla siebie.

Nieco z boku stał tak zwany namiot gospodarczy, duma Jochena, mającego do pomocy jedną z murzyńskich kobiet. Tragarze rozbili swoje małe namioty nieco na uboczu. Sprzętu było niewiele – przeważnie składane meble, zastawa i sztuce z tworzyw sztucznych, podobnie jak

obicia krzesel i leżaków. Wszystko odporne na działanie wysokich temperatur i wilgoci. Niczego nie brakowało, ale też niczego nie było za dużo.

– Po czym ty chcesz odpoczywać? – upierała się Gundi. – Wiem, że coś knujesz, więc powiedz lepiej prawdę od razu.

– Dociekliwe stworzenie! Więc słuchaj: mam już dość impertynencji doktora Bergera. Gdybym dziś poszedł z nimi, na pewno wywołałbym awanturę.

– Horst, proszę cię, nie rób głupstw! Wszyscy mamy go dosyć, ale przez tych kilka miesięcy musimy go tolerować. Połowę mamy już za sobą, więc wytrzymaj i nie przysparzaj kłopotów Herbertowi, a przy okazji także mnie. – Uśmiechnęła się i opuściwszy luźno ręce zapatrzyła się w zachodzące nisko nad bezkresną sawanną czerwone słońce. – Nigdy nie przypuszczałam, że w buszu może być tak pięknie, tak spokojnie. Sądziłam, że step aż dudni od biegających stad lwów, słoni i nosorożców, a tu cisza aż po kres horyzontu, gdzie nad rzeką poruszają się dostojnie delikatne flamingi.

Horst popatrzył na Gundi ze zdziwieniem. Na jej opalonej twarzy zobaczył spokojny radosny uśmiech. Długie zgrabne nogi wystające z jasnych szortów wyciągnęła daleko przed siebie. Dekolt sportowej bluzki odchyłał się lekko, a suchy, gorący wietrzyk poruszał delikatnie jej gęste loki, kolorem przypominające wyschnięte trawy.

– Ty naprawdę niczego nie zauważyłaś?

– Nie wiem, co masz na myśli – popatrzyła na Horsta. – Chyba nie chodzi ci o twój zarost? Znowu się dziś nie ogoliłeś, flejtuchu!

– Masz babo placek! Wcale nie o zaroście myślałem!

– Wydusisz wreszcie, co cię gryzie?

– Zakochałem się...

– O Boże! Chyba nie w Beili, która pomaga Jochenowi w kuchni?

– Głupia koza!

– Beila?

– Skąd! Ty!

– Miły jesteś. Powiesz mi, dlaczego tak mnie nazwałeś?

– Bo jesteś ślepa i niedomyślna.

– Byłbyś łaskaw wyrażać się jaśniej i nie jęczeć pod nosem jak potłuczony?

– Prędeż jak cierpiący na udar słoneczny. Albo mi się wydawało, że kiedyś uważałem cię za miłą i grzeczną dziewczynę, albo też się pomyliłem w ocenie, sam nie wiem!

Gundi popychała źdźbłem trawy żuczka, który usiłował wdrapać się na jej but i nie patrząc na Horsta spytała: – Bardzo byś się zmartwił, gdyby twoje drugie podejrzenie się sprawdziło? Grzeczne dziewczyny przeważnie bywają bardzo nudne.

– Może, ale przynajmniej nie wyzywają od potłuczonych – burknął nabijając swoją fajkę.

– Coś ty nagle w tak kiepskim humorze?

– Bo mówię wyraźnie, a ty udajesz, że niczego nie rozumiesz. Zakochałem się i to akurat w

tobie! – krzyczał niemal.

Gundi popatrzyła na niego i spytała trzeźwo:

– Czy tak ważne odkrycie musiałeś ogłosić tu, w środku Afryki, do tego dość gniewnym tonem?

– Musiałem, choć wiedziałem, że mnie wyśmiejesz.

– Nie śmieję się, a tylko uśmiecham, że ci się w głowie poprzestawiało. Horst, dopóki jesteśmy w podróży, nie chcę słyszeć na ten temat ani słowa więcej. Zrozum, że nie ustąpię i nie wyobrażaj sobie, że się niczego nie domyślałam. – Horst zerwał się, ale zdecydowanym gestem kazała mu pozostać na miejscu. – Nie czas na demonstracje. Ty wiesz, co jest grane, ja także wiem, więc ani słowa więcej aż do powrotu do domu. Jasne?

– Gundi! – zaczął.

– Horst, przestań! – przerwała mu.

– Mam ochotę wlepić ci klapsa. Na pewno by mi ulżyło.

– Tylko spróbuj, a ciężko pożałujesz!

– Kuisz mnie, żebym sprawdził?

– A wiesz, co robią lamy, gdy się je drażni?

– Plują!

– No właśnie! To akurat miałam na myśli.

Zapadło milczenie, ale nie na długo, bo Horst zaczął znowu:

– Wiesz, Gundi, ja jeszcze chciałem ci coś powiedzieć.

– ' To mów, masko tragiczna! Wrzucimy wszystkie nieszczęścia do jednego worka.

– Nie lubię, jak doktor Berger pożera cię wzrokiem – Horst pochylił się i dodał półgłosem: – Jak nie przestanie, to wytargam go za uszy.

– Ani mi się waż! Horst, proszę cię, nie rób kłopotów Herbertowi, a z Bergerem sobie poradzimy. Ja też go nie cierpię i nie znoszę jego natarczywych spojrzeń, ale kiedy ostatni raz miałam gorączkę, postawił mnie na nogi bardzo szybko. Jeżeli chcesz coś zrobić, to pilnuj, aby Berger nigdy nie został ze mną sam, nie daj się sprowokować i nie opowiadaj nikomu, że coś nas łączy. Przez kilka tygodni jeszcze z nim wytrzymamy, a potem adieu!

Od początku jakoś wydał mi się podejrzany. Pamiętasz, jak go spotkaliśmy na lotnisku w Lizbonie? Mieliśmy godzinę czasu i poszliśmy na obiad do restauracji. Wstałam do toalety by umyć ręce i w wąskim przejściu natknąłem się na Bergera, który czule zęgnął się z jakąś elegancką kobietą. A przecież mówiliście, że on jest żonaty.

– A to gagatek! Wygląda na to, że ma kochankę w każdym mieście. Cóż, żonę ma niezbyt urodziwą, a pewnie woli ładniejsze. Zauważył cię?

– Nie, i dlatego nic wam dotąd nie mówiłam. W końcu to jego sprawa, a przypomniało mi się, gdy wspomniałeś o jego spojrzeniach w moją stronę. Rzeczywiście, mogą być niebezpieczne.

– Czy nie powinniśmy powiedzieć o tym Herbertowi?

– Po co? Po wyprawie, udanej czy nie, nasze drogi się rozejdą i co nas obchodzi jego

prywatne życie?

– Przekonałaś mnie, ale niech no tylko spróbuje cię napastować, to nie ręczę za siebie i porachuję draniowi kości. – Horst wstał, stanął za plecami Gundi i ściskając ją serdecznie za ramiona, wymamrotał:

– A więc, ani słowa, dopóki nie wrócimy do normalnego świata... Widocznym skutkiem powyższej rozmowy było to, że Horst czujnie pilnował, aby w obozie Berger ani razu nie został z Gundi sam. Albo guzdrał się tak długo, aż Herbert i Sven odeszli, albo też przekonywał Sandersa, by zabrać Gundi z sobą.

Obiecał wprawdzie, że nie powie nic Herbertowi, ale ze Svenem mógł porozmawiać, a przy okazji namówić go do współdziałania w utrudnianiu życia Bergerowi. Obaj tak przejęli się swoją rolą, że pewnego wieczoru, gdy po kolacji wszyscy siedzieli przy ognisku, doktor Berger nie wytrzymał i spytał wprost:

– Jak mam to sobie wytłumaczyć, że pan, drogi kolego Holm, i szanowny pan Kruger prawie nie spuszcza mnie z oka. Może mój nos wam się nie podoba, co?

Zapadło kłopotliwe milczenie. Herbert sięgnął nerwowym ruchem po fajkę i patrząc na wszystkich po kolei rzekł: – Co to za pytanie? Dlaczego takim tonem? Nie podoba mi się jedno ani drugie.

– A mnie się nie podoba to ustawiczne szpiclowanie i szeptanie za moimi plecami. Srebrnych łyżeczek kraść nie będę, jeśli o to wam chodzi – burknął niegrzecznie Gwido.

– Bzdury! Dotychczas udawało nam się trzymać nerwy na wodzy i chciałbym, aby tak pozostało do końca naszej wyprawy. Gundi, możesz iść spać, bo mamy jeszcze do omówienia plany na najbliższe dni. Jutro przenosimy obóz. Czekają na nas trzy doby forsownego marszu, jeśli nie chcemy brnąć przez moczary ani nadrabiać zbytnio drogi, omijając je wielkim łukiem.

Gundi bez słowa ukloniła się wszystkim, ale zamiast do swojego namiotu poszła do Jochena, a po chwili z jego „kuchni” dochodziły już wesołe śmiechy i strzępy głośnej rozmowy, którą w łamanej francuszczyźnie prowadziły Gundi i Murzynka Beila.

Nie wracając do zastrzeżeń doktora Bergera, Herbert zaczął omawiać sprawy organizacyjne. Sam zgromadził już sporo materiałów do badań, Horst także był zadowolony z wyników swojej pracy, natomiast Sven narzekał, bo nie natknął się jeszcze na grubego zwierzka i musiał poprzestać na polowaniu na stepowy drobiazg.

– Chciałbym, żebyśmy wszyscy wrócili stąd zadowoleni – ciągnął Herbert. – Pan, doktorze, ma jakieś swoje plany? Chętnie się do nich dostosujemy – dodał częstując go tytoniem.

Nabijając fajkę Berger rzekł z obojętną miną.

– Prawdę mówiąc, te okolice nie są dla mnie zbyt interesujące. W poprzednich wyprawach bywało ciekawiej.

Horst już miał na końcu języka jakąś złośliwą uwagę, ale Herbert okazał się szybszy: Wiem, wiem, doktorze. Mówiliśmy już o tym i powetujemy sobie straty w drodze powrotnej. Pan podtrzymuje zamiar pozostania w Lizbonie, prawda? Oczywiście, nie ma to wpływu na

wysokość uzgodnionego honorarium, żałuję tylko, że nie mogę finansować dłuższego pobytu w ciekawszych miejscach Afryki.

Zapewniam jednak, że swojego lwa weźmie pan na muszkę, drogi Svenie, o ile, oczywiście, ekipy amerykańskich filmowców zostawiły w buszu chociaż jednego.

– Wcale nie upieram się przy lwie – pocieszał się Szwed. – Nosorożec, żyrafa a nawet puma też by mnie zadowolili.

– No właśnie! Jakby to wyglądało, gdyby wielki myśliwy wrócił z Afryki z marną skórką króliczą? – wybuchnął śmiechem Horst i drapiąc się po głowie dodał: – Ja tam nie mam aż takich ambicji. Wystarczy mi urok afrykańskich pejzaży i kolekcja roślin, które już udało mi się zebrać i posegregować.

– Innymi słowy, wszyscy zaczynamy cierpieć na tak zwaną nudę tropików – uśmiechnął się Herbert. – Dziwne, ale tym razem szwędanie się po buszu wcale nie sprawia mi takiej radości jak jeszcze kilka lat temu. Pewnie się starzeję! Chociaż w dzisiejszych czasach wyprawa w głąb Afryki nie jest już niczym nadzwyczajnym. Przypuszczam, że nie będę miał ochoty przyjechać tu jeszcze raz, w każdym razie nie jako badacz.

– Ostatecznie stać cię na luksusowe wczasy nie tylko w Afryce – przypomniał mu Horst. – Co do mnie, z tytułem profesorskim mogę sobie spokojnie prowadzić badania aż do emerytury, a nawet później. A pan co planuje na przyszłość, drogi szwedzki kolego?

– W odróżnieniu od was, nie mam zamiaru zaszyć się w domowych pieleszach. W przyszłym roku wyruszam na połów wielorybów.

– O rety! Ale pomysł!

– Od lat o tym marzę, ale na żaden statek nie chcą zabrać żółtodzioba. Mam nadzieję, że w tym roku uda mi się kogoś przekonać.

Gwido wyjął leniwie fajkę z ust i patrząc na Svena z niechęcią rzekł:

– Radzę panu najpierw przenieść się w chłodniejsze strony, bo nagły przeskok z tropików do Arktyki może okazać się zabójczy dla pańskiego organizmu.

– Dziękuję, doktorze, ale już mnie ostrzegano. Gdzie pańskim zdaniem najlepiej przejść aklimatyzację?

– Irlandia, Szkocja, to najodpowiedniejsze rejony, ale nawet w Niemczech nad Bałtykiem są okolice, gdzie klimat jest wyjątkowo ostry, wilgotny i wietrzny. Kiedyś trafiłem tam, zastępując kolegę lekarza. Wolgraben nad zatoką, wie pan, gdzie to jest?

Herbert zrobił wielkie oczy, gdy Berger wymienił nazwę miasteczka.

– To mnie pan zaskoczył! Niedawno zatrzymałem się w Wolgraben, kiedy jechałem w odwiedziny do jednego z kolegów po fachu. Zapamiętałem to miasteczko, bo zaskoczyła mnie jego atmosfera, wybrukowane kocimi łbami uliczki i bryczki z konnym zaprzęgiem. Mówi pan, że panuje tam tak surowy klimat?

– W samym miasteczku może nie, ale z pewnością nad zatoką oddaloną o niecałą godzinę drogi. Prawie nikt tam nie mieszka.

Nikt nie podejmował tematu, a przed oczyma Herberta i Bergera stanął obraz tej samej kobiety. Obaj przypomnieli sobie Ingrid Boorsten w samym środku Afryki! Ale jakże różne to były wspomnienia.

Sven Holm odezwał się pierwszy:

– Zapamiętam sobie tę nazwę i w razie czego wpadnę tam na krótką aklimatyzację przed decydującym wyjazdem do Szkocji lub Norwegii.

– Liczę, że przyśle mi pan widokówkę, Sven. Tylko, żeby nie była poplamiona tranem! – zaśmiał się Horst i zaraz otrząsnął się z obrzydzeniem. – Brr! Za Boga błem się z panem nie zamienił. Widziałem kiedyś na filmie, co dzieje się na statku wielorybników. Harują gorzej niż skazańcy! Już ja tam wolę moje roślinki i smród chemicznego laboratorium.

– Ja tam też bym się nie zamienił z nikim na zawody – rzekł Herbert ziewając ostentacyjnie. Upał i zmęczenie długim marszem już wszystkim dawały się we znaki i rozmowa nie kleiła się zupełnie. – Podsumowując, zdecydowaliśmy, że pobytu nie przedłużamy, ani nie zmieniamy trasy. Odbierzemy w Konakry pocztę i wyruszymy statkiem do Dakaru, skąd samolotem wylecimy do Europy.

– Oby jak najprędzej! – mruknął pod nosem Horst.

– Nie marnujmy jednak czasu i wykorzystajmy ostatnie tygodnie na zebranie jak najwięcej wrażeń, abyśmy wszyscy mogli cieszyć się z sukcesów i dobrego nastroju. A dziś życzę panom dobrej nocy.

Herbert pierwszy zniknął w olbrzymim namiocie i położył się obok parawanu oddzielającego jego legowisko od części przeznaczony dla Gundi.

Delikatnie podrapał paznokciem szorstkie płótno, a po chwili po jego stronie wyrósł guz wielkości głowy Gundi.

– Dziękuję, dobry braciszku. Wszystko słyszałam i cieszę się, że wracamy do domu – szepnęła przez parawan.

– A któż to tak się upierał i chciał jechać do Afryki?

– Bo ktoś musiał cerować twoje skarpetki i dbać o wasze maniery.

– Z obu zadań wywiązałaś się znakomicie, ty szczurku pustynny!

– Dziękuję za uznanie, braciszku.

Herbert uśmiechnął się zadowolony, a po chwili w namiocie zapanowała cisza, którą dopiero o świcie przerwały odgłosy natury budzącej się ze snu. W porównaniu z dzikimi pomrukami dżungli te działały wyjątkowo uspokajająco.

Kilka dni później wyprawa przeniosła się w góry, w okolice sięgającego prawie tysiąc czterystu metrów wysokości szczytu Timbo. Trzy samochody terenowe wiozące ciężki sprzęt i ludzi poruszały się powoli, brnąc nie przetartymi górskimi szlakami i pokonując strome, a czasami bardzo kręte podjazdy. Na każdym kroku należało się spodziewać jakiejś nieoczekiwanej przeszkody.

Gundi siedziała obok Herberta w pierwszym jeepie, zaś na tylnym siedzeniu ulokował się

Jochen ze swoim nieodłącznym kocherem spirytusowym na kolanach. Nie rozstawał się z nim na krok, jak żołnierz z karabinem.

Drugi pojazd prowadził Horst, obok niego usiadł Gwido Berger, a jasnowłosy Szwed zajął miejsce za nimi, próbując bezskutecznie znaleźć jak najwygodniejszą pozycję dla swoich długich jak szczudła nóg. Na dodatek, siedząca obok niego Beila każdy gwałtowniejszy ruch samochodu kwitowała przeraźliwym piskiem. Trudno powiedzieć, czy były to oznaki radości, czy też strachu, bo choć Beila była najinteligentniejsza z tubylców, wciąż czymś zaskakiwała swoich białych pracodawców. Próby uciszenia jej przez Svena traktowała jako zachętę do dalszych popisów. Darła się wniebogłosy, potrząsając przy tym niezliczoną ilością metalowych krążków, które nosiła na szyi, ale największy rumor czyniła na widok każdego tubylca, jeśli przypadkiem znalazł się w pobliżu szlaku. Musiała przecież się pochwalić, jaka to ona teraz ważna, skoro wolno jej siedzieć obok białego mężczyzny w jego terkoczącym pojeździe.

Herbert chciał ominąć niebezpieczne, najwyżej położone przełęcze w górach Futa i dlatego wybrał drogę okrężną, a w związku z tym rozbić obozu na nocleg stało się nieuniknione, choć wszyscy byli już tak zdenerwowani, że lepiej byłoby się nie zatrzymywać.

Zarządzono więc postój, by nazajutrz z nowym zapasem sił zdążyć przed nocą do Konakry.

U podnóża wysokiej ściany skalnej niedaleko „drogi” znalazła się wystarczająco szeroka płaszczyna, na której można było rozbić prowizoryczny obóz.

Jeepy ustawiono przy drodze, a za nimi zaczęto rozbijać namioty. Jochen wyskoczył z samochodu, zrobił pięć przepisowych przysiadów, nie wypuszczając oczywiście kochera z rąk, i nie zwracając na nikogo uwagi zabrał się za gotowanie posiłku.

Wszyscy poruszali się jak zdjęci z krzyża, gdyż wielogodzinna jazda po górskich bezdrożach, a zwłaszcza twarde siedzenia jeepów dały im się porządnie we znaki.

– Auu! Gdybym nie była damą, za jaką mnie tu uważacie, powiedziałabym wprost, że najbardziej boli mnie pupa. – Gundi z grymasem na twarzy energicznie rozcierała obolałe pośladki. Wystarczyłoby jedno krótkie spojrzenie, a Horst natychmiast pośpieszyłby z pomocą, ale mężczyźni zajęli się już swoimi obowiązkami, więc Gundi nie pozostało nic innego jak pomóc Jochenowi w „kuchni”. Ku wielkiej radości obozowiczów ze zbocza skały sączył się potoczek czystej źródlanej wody. Czy mogli liczyć na większy luksus?

– Hej, doktorze! Gdzie pan się gapi? Nie widzi pan, że rzucam linę? – krzyknął Horst zauważywszy, że Berger wodzi poządlwym wzrokiem za Gundi. Złapał zwój ciężkiej liny, którą na noc przywiązywano maszty namiotu do jeepów, i precyzyjnie wycelował tak, aby jej koniec trafił doktora prosto w twarz.

– Panie... cholera! Zrobił pan to naumyślnie!

Horst nonszalanckim gestem oparł się o maskę samochodu, ale szybko się odsunął, bo była jeszcze gorąca. Uśmiechnął się niewyraźnie i wymamrotał:

– Na ogół się mówi „ty cholero”, ale to w cywilizowanym świecie. Tutaj nie będę się kłócić, zwracając się przez „pan”, jednak w odpowiednim czasie wygarnę panu tak, że aż pójdzie panu w

pięty.

Gwido zastanawiał się przez chwilę co odpowiedzieć, potem wzruszył ramionami i uśmiechnął się ironicznie: – O. K. Chętnie się upomnę.

– Mam nadzieję, że nie każe mi pan długo czekać. Teraz zaś proszę złapać za linę i naciągnąć maszt z tamtej strony. Krzepy chyba panu wystarczy?

– Cieszę się, że pan to zauważył, bo może odechce się panu szukać zaczepki.

– Moja biedna matka zawsze powtarzała, że przez niewyparzoną gębę kiedyś po niej oberwę, ale wątpię, czy pan będzie pierwszym, który tę groźbę spełni. I co, Herbercie, piękną willę postawiłem?

– Idealną! Nawet jeśli zerwie się wiatr od gór, to nie porwie nam dachu, bo skała nas osłoni. Myślę, że zasłużyliśmy na kąpiel pod prysznicem. Sven i Berger, idźcie do wodospadu pierwsi, a potem Horst i ja. Niech najpierw Beila przyniesie do namiotu wodę dla Gundi. Zostało panu, doktorze, kilka w miarę czystych ręczników? Jak rozpusta to rozpusta!

Po chwili wieczorną ciszę przerywał tylko plusk wody i pomruki zadowolenia dochodzące zza skały, gdzie płynął cienki strumyczek.

Niedługo potem nastąpiła zmiana. Horst i Herbert szybko rozbierali się i ustawili zmęczone upałem ciała pod strugę zimnej wody, spadającej z kilkumetrowej wysokości.

Horst jednak co chwilę wychylał się i nasłuchiwał. Miał wrażenie, że słyszy podniesiony głos Gundi, a gdy wyraźnie dobiegł go jej krzyk, wyskoczył zza skały, w biegu podniósł z ziemi ręcznik owinął go wokół bioder i kangurzymi skokami wdrapywał się na występ skalny, skąd dochodziło wołanie Gundi.

Zobaczył ją odwróconą plecami, jak wymachując pięściami i kopiąc nogami opędza się od nacierającego na nią Bergera.

Kiedy Gwido ze Svenem wrócili z kąpeli, w obozie zastali tylko Jochena i Murzynkę. Doktor rozejrzał się dookoła i zobaczył Gundi wchodzącą po łagodnym stoku góry na występ skalny.

Gundi pomyślała sobie, że znajdzie tam trochę świeżego powietrza, którego w nagrzaną kotlinę zaczynało brakować. Zamyślona, obracając w rękę źdźbło suchej trawy, usiadła i ucieszyła się, że wkrótce będą już w domu i że Herbert obiecał nigdy więcej nie wyjeżdżać do Afryki. Sama już też miała dosyć widoków dzikiej przyrody, ale chciała się nimi nacieszyć wiedząc, że są to ich ostatnie dni tutaj.

Nagle tuż za plecami usłyszała czyjeś kroki. Była pewna, że to Horst ją śledził i odwróciła się dopiero, gdy poczuła silny uścisk w ramionach. Wyrwała się odruchowo i stanęła twarzą w twarz z Gwido Bergerem. Patrzył na nią dzikim, pożądlivym i półprzytomnym wzrokiem.

Ochłonęła, kierowana jakimś szóstym zmysłem.

– Wara ode mnie! – wycedziła przez zęby.

– Złotko! Czemu się złościysz? Kocham cię do szaleństwa i chcę, żebyś o tym wiedziała.

– O niczym nie chcę wiedzieć. Proszę się odsunąć i pozwolić mi zejść do obozu.

– Mowy nie ma! Zbyt długo czekałem na taką okazję. Tygodniami, ba, miesiącami musiałem przyglądać ci się z daleka, a teraz wreszcie mam cię tylko dla siebie!

Podszedł bliżej, a ona nie miała czasu ani miejsca, by uskokoczyć. Zapała się pięściami o jego muskularny tors, ale przeliczyła się z siłami.

On zaś przyciągał ją coraz bliżej i już pochylał się by pocałować w usta. Jeżeli w pierwszej chwili Gundi nie chciała, żeby ktoś był świadkiem tej sceny, to teraz nie zważając już na nic, zaczęła wrzeszczeć na całe gardło.

I ten krzyk usłyszał Horst, pomimo szumu rozchlapywanej wody.

Gundi szarpała się, czując na twarzy gorący oddech napastnika szepczącego jej czułe słowa, których nie rozumiała i nie chciała rozumieć. Ocknęła się dopiero, gdy w pobliżu usłyszała głos Horsta.

Jakimś cudem znalazła się nagle w jego ramionach, potem gwałtownie została odepchnięta na bok i poczuła na pośladku piekący ból po silnym klapsie.

– Marsz do obozu i piśnij mi choć słowo! – usłyszała zdyszany głos Horsta.

Nie oglądając się za siebie schodziła na drżących jeszcze ze strachu kolanach. Z góry dochodziły odgłosy głuchych uderzeń, ciężkich jęków i nie trzeba było mieć wielkiej wyobraźni, by wiedzieć, co tam się działo. Ale skoro Horst kazał zmykać, to lepiej go posłuchać, jeśli nie chce zarobić następnego klapsa – pomyślała Gundi dotykając piekącego pośladka.

Horst, gdy odesłał dziewczynę, zacisnął pięści, podparł się pod boki i patrząc na Bergera wycodził:

– Ty gnoju! Jak ci nie wstyd, ty wieprzu?

Ale pięści jakoś nie chciały zaczekać, aż głowa wymyśli nowe epitety, i błyskawicznie jedna rzuciła się na szczękę przeciwnika, druga poniżej pasa, a potem szybko obie na raz w jego owłosioną pierś. Z całą pewnością żadna z nich nie próbowała oszczędzać sił!

Gwido był tak zaskoczony, że w pierwszej chwili nawet nie próbował się zasłonić, gdy zaś z opuszczonymi rękami podszedł, by zaatakować Horsta, ten rysim skokiem zerwał mu z grzbietu rozpiętą koszulę i unieruchomił go jak w kaftanie bezpieczeństwa.

– Co?! Jeszcze pan ma śmiałość mnie atakować? – przeszył go wzrokiem. – A to bezczelność! – dodał i wymierzył mu siarczystego kuksańca pod lewe żebro. – Radzę tu na miejscu policzyć, czy ma pan wszystkie kości, bo na dole nie chcę słyszeć ani słowa o tym, co tutaj między nami zaszło. W przeciwnym razie z ostatnich dni naszej wyprawy zrobię panu prawdziwe piekło. Niech pan jakoś wytłumaczy Herbertowi i Svenowi przyczynę swojego mizernego wyglądu, bo ja nie mam zamiaru się przed nimi tłumaczyć, zrozumiano?

Ostrzegam: gorzko pan pożałuje, jeżeli jeszcze raz dokuczy pan tej . dziewczynie. I niech panu nie przyjdzie do głowy, żeby kręcić się koło niej po powrocie do Niemiec! Chłopie, bo tak oberwiesz, że żaden chirurg cię nie pozszywa!

Horst splunął siarczyście pod nogi boleśnie zgiętego Bergera, otarł wierzchem dłoni usta i jakby nigdy nie zaczął schodzić ze zbocza.

– Nieźle mu dołożyłem, ale nie powiem, żebym był zadowolony – mruknął do siebie.

Do obozu wrócił w nienajlepszym nastroju. Usiadł na przewróconym do góry dnem wiadrze i zaczął nabijać fajkę. Nikt nawet nie zwrócił na niego uwagi. Sven wyciągnął się na macie z rękoma pod głową, Herbert studiował mapę, a Jochen mieszał ogromną chochlą w kotle.

Tylko Gundi rzucała w jego stronę pełne niepokoju spojrzenia, których on ostentacyjnie nie zauważał. Wstała i niby przypadkiem, przechodząc obok niego, spytała po cichu:

– Co z Bergerem?

– Załatwiony!

– Nie żyje! – przestraszyła się.

– Akurat! Wróci w błękitnych okularach i trochę posiniaczony. A ty w przyszłości siedz w obozie i nie łaż po górach, jak nawiedzona kozica.

Delikatnie pogłaskają go po zmierzwionych włosach i pochyliwszy się szepnęła mu do ucha:
– Dziękuję... i kocham cię.

– Hm, miło mi to słyszeć, ale poproszę o powtórzenie tych słów w bardziej sprzyjających okolicznościach. Pamiętaj, że masz nikomu nic nie mówić!

Skinęła tylko głową i podeszła do Jochena, by pomóc mu w przygotowywaniu kolacji.

Chwilę potem Gwido Berger wrócił chwiejnym krokiem do obozu. Jochen, który dostrzegł go pierwszy, aż upuścił chochlę do kotła.

– O jej! Pan doktor spadł ze skały? – zawołał przestraszony. Wszyscy obejrzeni się w jego stronę. Berger nieskładnie poprawiał podartą koszulę i wycierał rękawem spocone czoło.

– Pośliznąłem się i cały jestem poturbowany. – Niezręcznie próbował się uśmiechnąć. – Nie ma tu przypadkiem lekarza? Cholera, mogło się to skończyć jeszcze gorzej.

Horst pierwszy pośpieszył obejrzeć jego rany.

– Człowieku, wygląda to, jakby stoczył pan walkę bokerską! Radzę pozaklejać się plastrem, bo jeszcze jakieś świństwo się załęgnie i dostanie pan gangreny.

– Mogę w czymś pomóc, doktorze? – spytał Herbert, ale zanim podszedł, Berger już usiadł nad swoją podręczną apteczką i starannie dezynfekował każde najdrobniejsze zadrapanie.

Sven uniósł się na łokciach i zawołał w jego stronę: – *Praesente medico nihil nocet.*

– O, nasze Szwedziątko chwali się maturą! – skomentował Horst.

– A co on takiego powiedział? – dopytywała się Gundi.

– „W obecności lekarza nic ci nie grozi” – to w wolnym przekładzie. Ale zasada ta chyba nie dotyczy lekarzy, bo w przeciwnym razie mogliby bezkarnie narażać się na każde niebezpieczeństwo – wyjaśnił Horst, mrugając porozumiewawczo do Gundi. Ta zaś, widząc wściekle spojrzenie, jakie Berger posłał Horstowi, szybko zmieniła temat.

– Jak tam, Jochen? Indyk z ananasami już gotów? – zawołała.

– Chwileczkę cierpliwości. Jeszcze tylko muszę pokroić te ananasy – odpowiedział z żartem kucharz niosąc dymiący gar w kierunku stolika ustawionego pośrodku obozu.

– Indyk? A ja wyraźnie widzę, że znowu będzie kurczak z ryżem!

- oburzył się Horst kręcąc nosem. – Kiedy wreszcie skończą się te nieszczęsne zapasy?
- Uchowaj Boże, żeby się skończyły, zanim dotrzemy do jakiegoś pożądanego hotelu!

Wesoły nastrój panował, dopóki wszyscy nie zaspokoiли pierwszego głodu, a potem znów dało o sobie znać zmęczenie i nuda towarzysząca długim wyprawom w małym gronie.

Gundi zaszyła się w śpiwór obok Herberta, a Horst błyskawicznie położył swój z drugiej strony. Krótkie spojrzenie i serdeczny uśmiech świadczyły, że była zadowolona mogąc spać spokojnie.

Jedynie Gwido długo nie mógł zasnąć i karciał samego siebie, że nie zachował należytej ostrożności. A tak niewiele brakowało, żeby poskromić tę małą bestię! Teraz tylko czekać, jak ten gnojek^v Kruger zacznie mu czynić wstręty nie tylko tutaj, ale także po powrocie do kraju. Kto wie, czy nie napuści Sandersa, żeby mu wstrzymał wypłatę reszty honorarium? Jeszcze tego by brakowało, akurat gdy czekają go ogromne wydatki na żonę w Lizbonie, żonę w Monachium... no tak, lepiej nie mówić. Wypłaty z Wolgraben wykorzystał już awansem i przez kilka miesięcy nie będzie mógł na nie liczyć. A może by tak pojechać do Boorstenhaus? Gdyby postraszyć tro'chę tę wieśniaczkę, pewnie sypnęłaby groszem i na jakiś czas problem byłby rozwiązany.

VII

Po kilku dniach wyczerpującej jazdy, nazajutrz rzeczywiście udało im się dotrzeć do Konakry i zainstalować w hotelu prowadzonym przez sympatycznego Francuza. Czuli się już prawie w Europie. Tragarze i hałaśliwa Beila otrzymali sowite wynagrodzenie i zadowoleni wsiedli od razu do pociągu, który jadąc wzdłuż wybrzeża, odwiózł ich do rodzinnych stron.

Po załatwieniu pierwszych formalności i udzieleniu kilku wywiadów dla lokalnych gazet, Herbert mógł wreszcie pójść do niemieckiego konsulatu i odebrać korespondencję, która nadeszła od czasu ich przybycia do Gwinei. A było tego sporo, nawet jakieś paczki.

W hotelu każdy coś tam dostał, a wszyscy cieszyli się jak dzieci, że ktoś w ojczyźnie o nich pamiętał. Gwido dwa listy od razu schował do kieszeni swojej mocno podniszczonej bluzy, a trzeci otworzył z niewyraźną miną. Horst dostał list od matki. Pisała, że czuje się dobrze, a jedynie bardzo tęskni i chciałaby, aby syn już wrócił z tej Afryki do domu. Uśmiechnął się, pocałował kopertę i schował ją do portfela.

Gundi tymczasem męczyła się nad koślawo napisanym listem od jednej z przyjaciółek. Cztery strony, a właściwie żadnych informacji. Tamta w kółko powtarzała, jaka to jest szczęśliwa, że może pisać do kogoś, kto podróżuje po Czarnej Afryce...

Herbert przejrzał koperty i ze zdumieniem zobaczył, że na jednej widniał jego niemiecki adres i pieczętka z adnotacją poczty, kierującą go do ambasady w Gwinei. Szybko odwrócił go i przeczytał nazwisko nadawcy: Ingrid Boorsten, Boorstenhaus koło Wolgraben.

Wolgraben? Natychmiast przed oczyma stanęła mu sylwetka i twarz niesamowicie pięknej kobiety, z którą rozmawiał w tym miasteczku. Już po przeczytaniu pierwszych słów serce zaczęło mu mocno bić.

Szanowny Panie Doktorze!

Od tygodnia jest u mnie moja siostra Helena, którą Pan zna raczej pod nazwiskiem Elena Gerber. Jest ciężko chora i bez przerwy szeptem powtarza Pańskie nazwisko; chce Pana zobaczyć. Musiałam przejrzeć jej papiery, by odszukać Pański adres. Bardzo Pana proszę o pilny przyjazd, bo jestem pewna, że Pańska obecność przyczyni się do poprawy zdrowia mojej siostry.

Serdecznie pozdrawiam Ingrid Boorsten

Herbert patrzył bezradnie na rozłożoną kartkę, aż zaniepokojona Gundi podeszła i spytała:

– Zła wiadomość, braciszku?

Położył jej rękę na ramieniu i przytulił. Bez słowa podał jej list i czekał, aż przeczyta.

– Rozumiesz coś z tego, Herbercie? – popatrzyła na niego zdumiona.

– Nie, myszko. Jeżeli nawet Elena jest chora, to jednak nie aż tak ciężko, żeby przez kilka

dni w gorączce powtarzać moje imię. Oczywiście, wracamy najkrótszą drogą i spróbuję zaraz wysłać stąd telegram.

– Nie powinniśmy zawiadomić Horsta?

– Naturalnie. Powiedz mu, żeby przyszedł do mojego pokoju. Korespondencję przeglądali w hallu, a kiedy Gundi odwróciła się, by podejść do siedzącego na uboczu Horsta, koperta listu, który brat dał jej do przeczytania, wypadła jej z ręki. Gwido nie spuszczać Gundi z oka od razu zorientował się, że rodzeństwo Sanders dostali z domu jakąś niepokojącą wiadomość. Ciekawe, co to mogło być?

Gdy tylko Herbert odszedł do swojego pokoju, a Gundi rozmawiała z Horstem, Berger podniósł szybko kopertę i schował ją do kieszeni.

Ukradkiem zerknął na nazwisko nadawcy i zdębiał... Jego nibyżona pisze do doktora Sandersa! Co to wszystko ma znaczyć? Jak się zachować? Przyznać się, że zna Ingrid Boorsten? Nie, to byłoby zbyt ryzykowne, skoro Kruger widział go w Monachium z inną kobietą. Rozsądniej zrobi, jeżeli po powrocie przemyśli sobie całą sprawę w spokoju i postanowi, co wyjdzie mu na korzyść.

Wyszedł z hotelu, by nie zdradzić się przypadkiem, że jest zdenerwowany. Przez przeszkłone drzwi zobaczył, że Gundi chodzi w kółko wyraźnie czegoś szukając na posadzce hallu. Aha! Szuka koperty! Musi mieć jakąś wartość, więc Gwido na pewno jej nie zwróci, bo kto wie, czy czasami się nie przyda.

Horst wysłuchawszy relacji Herberta, zamyślił się.

– Czy to aby nie chodzi o kolejny kaprys pięknej Eleny? Pewnie ze złości, że odmówiła udziału w jej szczytowym popisie, odebrało jej głos, bo jakoś nie potrafię sobie wyobrazić Eleny Gerber złożonej chorobą. Wszyscy wiedzą, że trzyma z... no wiesz z kim, i nic złego jej się stać nie może.

– Twoja opinia brzmi uspokajająco, choć nie jest ona zbyt pochlebna dla Eleny. Coś jednak niepokoi mnie w tym liście. – Herbert popatrzył poważnym wzrokiem na siostrę i przyjaciela. – Krótko przed naszym wyjazdem byłem w tamtych stronach, a w Wolgraben nawet się zatrzymałem, ale nie miałem pojęcia, że Elena stamtąd pochodzi.

– Sam się zdziwiłem. Byłem pewien, że ta czarna diablica jest Włoszką albo czymś w tym rodzaju. A że jest Niemką, nigdy bym nie powiedział. Co teraz zamierzasz zrobić?

– Spróbuję wysłać telegram. List szedł bardzo długo, mam nadzieję, że w tym czasie nie stało się nic groźnego. Jaki tam był adres? Herbert zaczął szukać koperty, nie wiedząc, że jest ona w kieszeni Bergera. – Gundi, zejdź, proszę, do recepcji; pewnie zostawiłem ją na kontuarze.

Po chwili siostra wróciła z pustymi rękoma.

– Nie znalazłaś jej, myszko?

– Niestety. Byleby tylko ktoś nie wyrzucił jej do kosza – rzekła przeszukując jeszcze raz kieszenie swoje i brata. Horst widząc zdenerwowanie obojga, spytał rzeczowo: – Po co wam właściwie ta koperta?

– Nie zapamiętałem adresu...

– Przecież jest napisany w liście, który trzymasz w ręku! Bez nerwów, a znajdzie się rozwiązanie. Zapomnieliście?

Gundi posłała mu grymas, a Herbert usiadł do biurka i napisał drukowanymi literami, żeby przypadkiem czarny telegrafista nie przekreślił jakiegoś słowa:

CZEKAM NA WIADOMOŚĆ O ZDROWIU HELENY „MAISON FLAUBERT” DAKAR
STOP PRZYJADĘ JAK NAJPŘEDZEJ STOP LOT DO PARYŻA DOPIERO 24 SIERPŃIA
STOP HERBERT SANDERS.

Horst, najlepiej radzący sobie z tubylcami, podjął się karkołomnego zadania, jakim było odprawienie depechy. Spocony jak mysz, to klnąc, to błagając, rzeczywiście osiągnął to, że telegrafista przy nim połączył się z Paryżem, a stamtąd telegram trafi już na pewno.

Zadowolony z siebie wracał do hotelu, gdy tuż przy wejściu natknął się na spacerującego Bergera.

– Coś mi się zdaje, że Sandersowie dostali z domu jakąś złą wiadomość? – zagadnął pierwszy.

– Okropną! Ich siodłata kura zaczęła znosić kwadratowe jaja. I co teraz będzie?

– Wspaniale! Będą mieli kwadratowe kurczaki. Proszę im złożyć moje gratulacje.

Horst obrzucił go lekceważącym spojrzeniem, a gdy wchodził już na schody, mruknął pod nosem: – Na szczęście za kilka dni ten bałwan zejdzie mi z oczu, ale coś mi się zdaje, że po powrocie do kraju wpadniemy z deszczu pod rynnę. Ta kapryśna Elena zostanie szwagierką mojej Gundi i klops! A do tego jeszcze jakaś Ingrid Boorsten... Po nazwisku sądząc, musi to być jakaś walkiria z opancerzonym biustem, błyszczącymi żądzą walki oczyma i wielkimi jak kajak stopami. Brr! Nic na mój gust. Zdecydowanie wolę drobnutką Gundi, a walkirię niech sobie przygrucha ten wiking Sven...

Herbert i Gundi cały czas zastanawiali się nad treścią listu z Boorstenhaus.

– Nigdy ci nie mówiłem, Gundi, ale od dłuższego czasu martwiłem się o zdrowie Eleny. Zaczęła stosować drakońską dietę odchudzającą, co prawda pod kontrolą lekarza, ale bardzo ją to wyczerpywało. Ostatnio coraz częściej nerwowo pokasływała, jednak głos miała piękniejszy niż kiedykolwiek. Może już wtedy nie była całkiem zdrowa, a przecież wyruszyła w długie tournée? Festiwal w Salzburgu to też ogromny wysiłek... Właściwie powinna tam teraz być! – przestraszył się nagle. – Podpisywała kontrakt na okres od końca lipca do połowy sierpnia.

– Nie zamartwiaj się, braciszku, dopóki nie wiesz, co się stało. Być może wszystko jest już w porządku i Elena w tej chwili zbiera oklaski w jednej ze słynnych sal operowych.

– Oby tak było. Mnie jednak zastanawia zdanie z listu, że ona szeptem powtarza moje imię. Albo Elena ma wysoką gorączkę, albo też coś się stało z jej głosem, a to dla niej oznaczałoby kres kariery.

– Daj spokój, Herbercie! Za trzy dni na pewno dostaniesz pocieszającą wiadomość. – Poglaskała brata po głowie, zmarwiona, że nie może mu pomóc.

– Może powinienem być z nią zostać, kiedy mnie tak bardzo prosiła.

– Przestań! Jeszcze by tego brakowało, żebyś zaczął sobie robić wyrzuty. Gdybyś z nią został, codziennie byście się kłócili i dopiero byłby cyrk!

Herbert uśmiechnął się i poklepał Gundi po ręku.

– Chyba masz rację, myszko. Nie mam sobie nic do zarzucenia, ale spokoju też nie mam. Jutro rano wyruszamy do Dakaru, a zanim dopłyniemy, być może jakaś odpowiedź nadejdzie – rzekł całując siostrę w policzek. Potem rozmawiali już tylko o ostatnim etapie ich podróży.

Ingrid cały dzień pracowała przy kwiatkach w ogródku. Zmęczona upałem, z przyjemnością weszła do chłodnej sieni, odgarnęła włosy z czoła wierzchem dłoni i spojrzała na chmury nadciągające nad ołowiano-bure wody zatoki. Niechybnie zbliżała się burza.

Wysokie słoneczniki pochylały się ku sobie, jakby się naradzały, a zwisające ze skrzynek przy oknach kwitnące kiście pelargonii przytulały się do starych murów, jakby szukały wsparcia przed czekającą je walką z nawałnicą.

Ingrid zrzuciła z siebie podniszczoną, ale schludną suknię, w której pracowała, wykapała się w zimnej wodzie, uczesała i przebrana do kolacji zeszła do jadalni. Wyglądała przeuroczo, choć zupełnie sobie z tego nie zdawała sprawy.

Apodyktyczna Doris uparła się, że posiłki będzie podawała wyłącznie w jadalni, jak za życia rodziców, chociaż Ingrid wolałaby jadać w kuchni z wszystkimi, a nie w samotności przy wielkim pustym stole. Dla starej kucharki nie był to żaden argument.

Codziennie nakrywała duży owalny stół, kładła srebrną starą zastawę i ustawiała kryształowe, gdzieniegdzie już uszczerbione puchary. Ingrid siadała z mieszanymi uczuciami i tyle tylko wywalczyła, że Doris cały czas była obecna. Usługiwała swojej młodej pani, a co najważniejsze – bawiła ją rozmową. A zawsze było o czym, na przykład o kocurze Mruczku, który sobie przyprowadził do domu kolejną narzeczoną i oczywiście, został wraz z nią wygnany miotłą.

Dziś na szczęście stangret Ginding przywiózł trochę ciekawszych wiadomości. Pojechał do Wolgraben po mąkę i cukier, a przy okazji listonosz podał mu telegram, który miał właśnie zawieźć do Boorstenhaus. Doris przyniosła go do jadalni i ostentacyjnie położyła obok talerza Ingrid.

– A to co takiego, Doris? – Depesza. Teraz zdaje się trzeba mówić „telegram” – dodała z przekąsem.

– I co mam z nim zrobić?

– Przeczytać, panienko! – zdziwiła się Doris nalewając jej czerwonego wina, o którym nigdy nie zdarzyło jej się zapomnieć.

– Przecież ja go nie pisałam – Ingrid z obojętną miną rozkładała serwetkę na kolanach. Tego już dla zniecierpliwionej Doris było za wiele. Grubym palcem mocno stuknęła w leżący na stole papier i warknęła: ' – Tu jest pani nazwisko, więc na co pani czeka?

– Moje? – zdziwiła się Ingrid i zaraz złapała się za głowę. – O Boże! To chyba nie od niego?

– jęknęła i zbladła.

Doris machnęła tylko ręką: – Gdzież tam! Z Salzburga, to pewnie od panny Heleny. Ciekawe, co ten włóczykij znowu wymyślił?

Ingrid tymczasem rozerwała blankiet, przeczytała i bezradnie popatrzyła na Doris.

– Co tam? Chce pieniędzy? Od nas już nic nie dostanie.

– Nie o to chodzi, Doris. Ale przeczytaj sama, bo ja nic z tego nie rozumiem.

Doris z trudem sylabizowała poszczególne wyrazy: ZARAZ PO MNIE PRZYJEDŹ STOP JESTEM CIĘŻKO CHORA STOP NIE DAM RADY MUSZĘ DO BOORSTENHAUS STOP ODBIORĘ SOBIE ŻYCIE JEŚLI PO MNIE NIE PRZYJEDZIESZ STOP HELENA.

– Czego to tu nie ma! Jak ktoś już pisze, że odbierze sobie życie, to na pewno tego nie chce zrobić. Możliwe, że jest chora, ale żeby aż tak ciężko? To jak chce wybrać się w tak daleką podróż? Nie daje rady, a jeszcze trzy dni temu słyszałam – Klara i pani zresztą też – jak darła się z tej skrzynki na cały głos. – Doris miała na myśli transmisję koncertu festiwalowego z Salzburga. – I co pani teraz zrobi?

– Oczywiście, że do niej pojedę. Znasz przecież Helenę: jest dumna i nie poprosi o pomoc, zanim naprawdę nie da sobie rady sama. Mój Boże! Ja jeszcze nigdy nie wyjeżdżałam w tak daleką podróż, nigdy nie byłam za granicą. Naprawdę się boję, Doris. Taki wyjazd musi kosztować straszne pieniądze!

– Tych akurat mamy dość, ale co do reszty, to naprawdę nie wiem, co panience poradzić. W życiu tylko raz byłam w Lubece. – Pod Doris ugięły się stare nogi, przysiadła i spytała z przerażeniem: – Czy koniecznie będę musiała jechać z panią?

– Ty nie, Doris, ale ja muszę, skoro Helena pisze, że jest ciężko chora, że nie daje rady. To oznacza, że jest załamana i potrzebuje mnie. W końcu to moja siostra.

– Tak, tylko że uciekła z domu i sprytnie wyciągnęła ojcu należny posag. Trudno, nosiła nazwisko Boorsten i jeśli chce wrócić do domu, to nie wolno jej zabraniać. Gdyby nie ta straszna podróż, panienko Ingrid... Aż do Austrii!

Ingrid podniosła nagle głowę, jakby dopiero teraz naprawdę się przestraszyła. Potrząsnęła głową i spytała nieśmiało:

– Jak myślisz, Doris, będę musiała przedstawić się jako pani Berger?

– Co też panience strzeliło do głowy?! Nazywa się pani Boorsten i basta!

– Dla ciebie tak, ale nie dla tych panów na granicy. Całe szczęście, że posłuchałam doktora Burgera i urzędnika w magistracie, którzy radzili mi wyrobić paszport zaraz po ślubie. Chociaż tyle zyskałam na tej żalostnej ceremonii.

Nie gniewaj się, Doris, ale nie skończę kolacji. Spakuję najpotrzebniejsze rzeczy, a jutro rano Ginding zawiezie mnie do Wolgraben. Zdaje się, że koło ósmej odjeżdża pociąg do Lubeki; pojedę nim, a na miejscu zobaczę co dalej. – Wstała i uśmiechnęła się do staruszki patrzącej na nią ze zdziwieniem. – Czemu tak mi się przyglądasz, Doris? – spytała.

– Bo panienka tak bez zastanowienia od razu wie co robić... Ingrid chwyciła kucharkę za

ramiona i uściśniła mocno dodając półgłosem: – A ty, kiedy potrzebowałam pomocy, długo się zastanawiałaś, co należało zrobić?

– Ach, wtedy, kiedy ten wieprz tu był! To zupełnie co innego niż długa i niebezpieczna podróż. A jak coś się stanie?

– Nie kracz, Doris. Dopilnuj przede wszystkim, aby Ginding codziennie zaglądał na pocztę w Wolgraben, bo być może będę musiała wam przysłać jakąś ważną wiadomość.

– Przez ten... jak mu tam... telegraf?

– Oczywiście. Nie będę miała czasu na pisanie, a poza tym list doszedłby chyba już po moim powrocie. Tak mi się zdaje.

Obie poszły do sypialni Ingrid i zastanawiały się, co i przede wszystkim do czego to wszystko spakować, skoro w domu nie było walizek. Ginding przypomniał sobie, że świętej pamięci pan miał taki stary kufer, który zabierał ze sobą, kiedy wyjeżdżał podpisywać umowy z przetwórcami ryb. Stangret wgramolił się ze świeczką na strych i rzeczywiście odnalazł wielką i ciężką walizę. Pachniała mocno naftaliną, nie była zbyt poręczna, ale miała zamki zamykane na klucz, ku wielkiej radości Doris, która najbardziej się obawiała, że ktoś ukradnie panience jej najcenniejsze rzeczy.

Nie było problemu z wyborem ubrań, bo Ingrid miała tylko trzy letnie i trzy zimowe sukienki, po dwie pary butów i płaszcz do noszenia przez cały rok. Dyskusja zaczęła się przy wyborze bielizny. Doris stała bezradnie przed otwartą szafą z równo poukładanymi lnianymi koszulami i majteczkami, z których część obszyta była pięknymi szwajcarskimi koronkami – zdaniem Doris zbędnym absolutnie luksusem. Z pończochami też nie było najlepiej – czarne cienkie na lato i grube na zimę. O nowoczesnej nylonowej bieliźnie nikt w Boorstenhaus nie słyszał, choć była co najmniej dziesięć razy tańsza niż tradycyjna lniana.

Około północy kufer był wreszcie spakowany, podobnie jak stara, znoszona torebka matki, do której Ingrid włożyła dokumenty i pieniądze; wzięła ich' dość dużo z myślą, że będą potrzebne Helenie. Najwięcej roboty miała Klara z niemiłosiernie zniszczonym kapeluszem. Najpierw skrętnie czyściła go pędzelkiem z kurzu, a potem nasączyła jakimś roztworem własnej roboty. Śmierdział potwornie, ale wyglądał jak nowy. I choć Ingrid miała ochotę zostawić go w domu, obie staruszki upierały się, że nie wypada wyjeżdżać w podróż bez kapelusza. Ostatecznie postawiły na swoim.

Tej nocy nikt już nie zmrużył oka, prócz Gindinga, który nie pilnowany, dorwał się do nalewki i w błogim nastroju chrapał, aż trzęsły się wiekowe mury Boorstenhaus.

Rano zaś w całym domu słychać było pochlipywanie i ciężkie westchnienia Doris i Klary. Ingrid z trudem powstrzymywała łzy, ale w głębi duszy cieszyła się trochę, że wyrusza w daleki, nieznaną świat, że zobaczy miasta i kraje, które знаła jedynie z książek.

Po kilku przesiadkach i drobnych kłopotach siedziała wreszcie w pociągu jadącym z Hamburga do Monachium. Drobna i niepozorna, wcisnęła się do kącika jak mysz i z zaciekawieniem przyglądała się pasażerom w przedziale. Jej groteskowy, archaiczny strój

wzbudzał wprawdzie zainteresowanie, ale w zestawieniu z niezwykłą urodą nie wywoływał śmiechu ani kaśliwych przytyków.

Koło południa Ingrid poczuła piekielny głód. Współpasażerowie znikali gdzieś na godzinę, wracali w doskonałych humorach i rozmawiali między sobą o uprzejmej obsłudze w wagonie restauracyjnym. Nie śmiała się odezwać, a cały czas zastanawiała się, czy wypada jeść w przedziale. Wreszcie nie wytrzymała. Sięgnęła po torebkę i wyjęła grube kanapki z kielbasą, które przygotowała jej troskliwa Doris. Ugryzła kilka razy, ale bez popicia chleb uwiązł jej w gardle. Na dodatek siedzący naprzeciwko mężczyzna pochylił się ku niej i spytał, czy może jej przynieść kawy z wagonu restauracyjnego. Przerazona połknęła szybko kęs i z wybałuszonymi oczyma spytała:

– A można? Byłabym panu bardzo wdzięczna.

– Do pani usług, szanowna damo! – rzekł uprzejmy pan, a po chwili przyniósł filiżankę dymiącej kawy i postawił ją przed Ingrid na pulpicie, który wyciągnął ze ściany wagonu. Nawet nie zauważyła, kiedy ostatnia kanapka znalazła się w jej żołądku.

– Daleko się pani wybiera? – zagadnął uprzejmy pan.

– Muszę dojechać do Salzburga.

– Jeszcze dziś? To chyba nie będzie możliwe. Spytamy konduktora, on panią poinformuje dokładnie.

– Dziękuję panu bardzo. Nigdy nie wyjeżdżałam tak daleko i wszystko wydaje mi się szalenie skomplikowane.

– Tak właśnie sobie pomyślałem. Mieszka pani na bezludnej wyspie, czy co?

– Na wyspie nie, ale nad zatoką koło Wolgraben – odpowiedziała zupełnie poważnie, nie rozumiejąc żartu.

Konduktor zajrzał do grubej książki i poinformował, że w Monachium Ingrid będzie miała godzinę czasu na przesiadkę do pociągu jadącego do Wiednia. Około północy wysiądzie w Salzburgu. Zanotowała sobie skrętnie każde słowo i skuliła się w swoim kąciku, jak ślimak w skorupie.

Najgorsze chwile czekały ją jednak dopiero na dworcu w Monachium. Uprzejmy nieznajomy nie miał już dla niej czasu, gdyż na peronie czekała na niego narzeczona. Ingrid stała śmiertelnie przerażona wśród poruszającego się we wszystkich kierunkach tłumu, z ciężką walizą i bijącym ze strachu sercem. Dopiero gdy rozejrzała się dookoła, zauważyła tablice informacyjne i strzałki wskazujące właściwe perony. Upewniwszy się, że dobrze trafiła, odetchnęła z ulgą, a nawet odważyła się podejść do bufetu i poprosić o dwie kanapki i butelkę wody mineralnej. Przynajmniej nie wysiądzie w Salzburgu głodna.

Konduktorzy widać wyraźnie się przyglądają pasażerom, bo gdy tylko pociąg ruszył, uśmiechnięty kolejarz podszedł do Ingrid i pomógł jej umieścić wielki kufer na półce na bagaże.

– Niech pani spokojnie się zdrzemnie, a ja panią obudzę, gdy będziemy dojeżdżać do Salzburga. Ma pani zarezerwowany hotel? W czasie festiwalu w całym mieście trudno znaleźć

wolne łóżko.

– O rety! Zupełnie o tym nie pomyślałam! Jadę do siostry, ale ona nie wyjdzie po mnie, bo jest ciężko chora.

– Dobrze, że panią o to spytałem. Moja siostra mieszka w Salzburgu, bardzo blisko dworca. Dam pani jej adres i na pewno panią przenocuje. Wynajmuje pokoje, może niezbyt luksusowe, ale na pewno czyste i tanie. Na granicy powiem mojemu austriackiemu koledze, żeby się panią zaopiekował.

– Och, taki pan jest dla mnie uprzejmy, panie konduktorze!

– Na widok tak wystraszonej twarzyczki każdy pośpieszyłby z pomocą, a poza tym po to właśnie jesteśmy. Życzę pani dobrej nocy.

Bawarczyk od razu zwrócił uwagę na nieśmiałą, z wiejska ubraną dziewczynę, a że była niezwykle śliczna, mogła łatwo paść ofiarą jakiegoś oszusta. Dlatego postanowił jej pomóc.

Pod opieką austriackiego konduktora Ingrid, rzeczywiście, około północy dotarła do Salzburga. Uprzejmy kolejarz poprosił jednego z bagażowych, żeby zaprowadził młodą Niemkę aż do pensjonatu prowadzonego przez siostrę jego monachijskiego kolegi. Ta przyjęła ją bardzo serdecznie, a Ingrid jeszcze nigdy w życiu nie odetchnęła z tak wielką ulgą jak wtedy, gdy wreszcie mogła położyć się do łóżka.

VIII

Jak to się stało, że Elena nagle sobie przypomniała o mieszkającej na krańcu świata siostrze i wysłała do niej tak rozpaczliwy telegram?

Podczas premierowego przedstawienia Elena zaśpiewała wprost po mistrzowsku i nie dziwnego, że zlekceważyła już na początku obawy i przykrości, które przydarzyły jej się poprzedniego dnia przy próbie generalnej. W doskonałym nastroju wróciła do hotelu, spała znakomicie, a następnego dnia z samego rana zabrała się za czytanie pierwszych recenzji. Jak zwykle na śniadanie zjadła dwa suchary i popiła sokiem owocowym. Czekala na pierwszych gości z gratulacjami, na telefony od koleżanek i kolegów z pierwszymi wrażeniami, jednym słowem – na rozpoczęcie normalnego dnia po udanym występie.

A tu niespodzianka – Elena nie mogła wydobyć z siebie głosu! Poruszała bezradnie ustami, ale z gardła nie chciał wyjść żaden dźwięk. Prerażona Meta zadzwoniła po lekarza, a ten zjawił się niemal natychmiast. Wiadomo, wielka Gerber nie będzie targować się o honorarium.

Jego diagnoza była krótka i zdecydowana: wskutek niedożywienia i nadmiernego wysiłku doszło do przeciążenia strun głosowych i ogólnego wyczerpania organizmu.

Jeszcze w trakcie badania Elena odzyskała na tyle głos, że mogła odpowiadać na pytania, ale prawdę mówiąc, jej mowa przypominała raczej chrypienie.

Jedynym skutecznym lekarstwem mogła być natychmiastowa zmiana klimatu na bardzo zimny i wilgotny, podobno najkorzystniej wpływający na regenerację strun głosowych. Ponadto lekarz kategorycznie nakazał dużo snu, kaloryczne jedzenie i przybranie na wadze co najmniej pięć kilogramów. O występach nie „mogło być mowy, przynajmniej na razie, a jeżeli Elena nie dostosuje się do wskazań lekarza, to może już na zawsze pożegnać się z operą.

– A co z podpisanymi kontraktami? Za trzy tygodnie muszę wystąpić w Metropolitan Opera – szepnęła Elena trzymając kurczowo lekarza za rękę. – Błagam pana, niech mi pan pomoże! Zapłacę każdą sumę, ale musi mi pan pomóc!

– Nie ma takiego sposobu, droga pani, a to co przekazałem, jest moim zdaniem naprawdę konieczne. Może specjaliści powiedzą pani coś więcej, w każdym razie spokój i odpoczynek zalecą z całą pewnością.

Zaaplikował jej środek uspokajający i obiecał, że skonsultuje swoją diagnozę ze znanym laryngologiem z Wiednia. Ten niespodziewanie zjawił się u słynnej śpiewaczki już nazajutrz, ale w zasadzie tylko potwierdził zalecenia salzburskiego internisty. Kazał natychmiast zarzucić morderczą dietę i przybrać na wadze, podkreślając przy tym dobitnie, że jest to być może dla niej jedyna szansa na uratowanie głosu.

Elena była załamana. Z narastającą wściekłością odpowiadała szeptem na dociekliwe pytania grubej Mety, aż w końcu syknęła, by dać jej święty spokój, a przede wszystkim nikomu nie

mówić o krachu. Następny występ ma dopiero za cztery dni, a ci głupi doktorzy mogli się przecież pomylić, więc po co wywoływać niepotrzebną sensację.

Niestety, lekarze mieli rację, a wciąż szepczącej Elenie nie pozostało nic innego, jak poprosić sławnego dyrygenta do siebie i odwołać następne występy. Staruszek przejął się bardzo i choć niezbyt zachwycony koniecznością zmian w czasie festiwalu, pocieszał Elenę i zalecał cierpliwość. W czasie swojej długoletniej pracy już nieraz spotykał się z podobnymi przypadkami i obiecywał, że natychmiast nawiąże współpracę, gdy tylko Elena odzyska siły, bo jest pewien, że będzie śpiewała jeszcze piękniej niż dotychczas.

Nie wyglądała na przekonaną. Słowa i tylko słowa, a tu trzeba coś robić. Chcąc nie chcąc posłucha rad obu lekarzy. Gdzie tu jednak w środku lata znaleźć chłodne i wilgotne miejsce? I wtedy przypomniał jej się dawno zapomniany rodzinny dom w Boorstenhaus.

Poczuła się nagle jak przelotny ptak, który raz w roku instynktownie wraca do swojego gniazda. Wysłała telegram do siostry, choć normalnie zapominała wysłać do niej chociażby życzenia noworoczne. Nagle skromny dworek wydał jej się poszukiwanym zamkiem Graala, przypomniała sobie łagodny plusk fal o brzeg zatoki, czuła niemal smak rzeńskiego, wilgotnego powietrza, które przywróci jej zdrowie.

I wysłała telegram, a nie zastanowiła się, jak przestraszy tych prostych ludzi, żyjących tam nad zatoką, na jakie kłopoty narazi nieśmiałą siostrę, zmuszając ją do dalekiej podróży i przyjazdu do miasta, gdzie odbywa się akurat światowej rangi festiwal.

Jak zwykle myślała tylko o sobie, zadbała wyłącznie o swój interes. Z niecierpliwością wyglądała przyjazdu siostry, której nie widziała od wielu lat.

Nazajutrz po przyjeździe do Salzburga, Ingrid spytała właścicielkę pensjonatu, jak trafić do sal, gdzie odbywa się festiwal, bo tylko tam spodziewała się znaleźć siostrę, która oczywiście, nie pomyślała, żeby jej podać adres swojego hotelu. Jej zdaniem, każdy salzburczyk powinien wiedzieć, gdzie w jego mieście zatrzymała się sławna diva. Zresztą, nawet gdyby wiedział, to nieśmiała Ingrid nie przyznałaby się, do kogo przyjechała, i była pewna, że siostrze będzie to na rękę.

Odważnie zapuściła się w przepelnione kolorowo ubranymi ludźmi miasto, nie zwracając zupełnie na nich uwagi. Większość dziewcząt chodziła w dżinsowych spodniach, kolorowych, obcisłych bluzkach i sandałach z kilku rzemyków, a ona wśród nich przemykała jak zjawą z poprzedniego stulecia.

Nie było człowieka, który by się za nią nie obejrzał, nikt jednak, zobaczywszy niezwykle śliczną twarz i cudowne oczy „dziwaczki”, nie ośmielił się głośno żartować z jej stroju.

Zanosilo się na burzę. W parnym, nagrzanym powietrzu Ingrid ubrana w ciężką lnianą bieliznęomal się nie udusiła. Całe szczęście, że cuchnący miksturą Klary kapelusz zostawiła w pensjonacie, bo mając go teraz na głowie, na pewno by zemdląla, a tak przynajmniej jej śliczne, jasne włosy poruszając się dawały choć trochę powiewu.

Jakimś cudem bezbłądnie trafiła na wielki plac przed gmachem, gdzie odbywały się

przedstawienia. Wczesnym przedpołudniem był niemal pusty, jedynie przed wejściem dla artystów tłoczył się tłumek łowców autografów, tych najwytrwalszych, którzy gotowi byli na każdym kroku uprzykrzać życie swoim idolom, dopóki ci nie obdarzą ich swoim podpisem. Ingrid podświadomie wolała nie podchodzić do nich i rozglądała się, czy do wielkiego gmachu nie ma dogodniejszego wejścia. Było, nieco z boku i nikt się tam nie tłoczył. Trudno, poczeka, aż ktoś się zjawi.

Stała z boku i rzeczywiście po chwili podjechała zdezelowana nieco taksówka, z której wysiadł dziarski, drobny staruszek i szedł prosto w stronę nie obłożonych drzwi. Podejrzliwie popatrzył najpierw na dziwaczny strój dziewczyny, potem na jej twarz i uśmiechnął się życzliwie. Ingrid nie miała pojęcia, że stoi o krok od najślawniejszego dyrygenta na świecie i niejeden łowca autografów dałby cały majątek, gdyby mógł teraz znaleźć się na jej miejscu. Ośmielona jego gestem odezwała się:

– Przepraszam pana bardzo. Gdzie mogłabym się spytać o adres jednej śpiewaczki, która występuje na festiwalu?

– Gdyby mi pani powiedziała jej nazwisko, może mógłbym pani pomóc. W końcu nie jestem tu kimś zupełnie obcym.

– Och, tak się cieszę! Szukam mojej siostry, Heleny Gerber – rzekła patrząc swoimi cudnymi oczyma na dyrygenta, który usłyszawszy nazwisko, nie ukrywał zdziwienia. Zaraz jednak uśmiechnął się i rzekł: – A nie mówiłem, że będę mógł pomóc?! Pani Elena Gerber mieszka w hotelu „Mirabellenhof”.

– Bardzo panu dziękuję – ukloniła się niezgrabnie i zdobyła na jeszcze jedno pytanie: – Mógłby mi pan powiedzieć, jak tam trafić? Nie znam zupełnie miasta.

Starszy pan zastanawiał się chwilę.

– Najlepiej niech pani weźmie moją taksówkę. Do hotelu jest stąd dość daleko, a jak mi się zdaje, pani Gerber bardzo na panią czeka. Pani wie, że jest chora?

– Właśnie dlatego przyjechałam. Nie wie pan, czy to coś poważnego? Siostra przysłała tylko telegram.

Wziął ją pod rękę i zaprowadził do podniszczonej taksówki, z której korzystał, by zmylić polujących na niego łowców autografów i dziennikarzy. W jego prywatnym luksusowym samochodzie nie mógłby się swobodnie ruszyć na krok. Szoferowi podał adres, pomógł Ingrid przy wsiadaniu i znowu uśmiechnął się serdecznie:

– Proszę przekazać siostrze pozdrowienia ode mnie, a także życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Domyślam się, jak pani przyjazd ją ucieszy – podał jeszcze swoje sławne nazwisko i dziarskim krokiem pobiegł do wejścia, gdzie nikt go nie oczekiwał.

Ingrid dopiero teraz przypomniała sobie, że zna to nazwisko z gazet i z transmisji radiowych, których słuchała niedawno z Salzburga. A więc ten słynny człowiek pospieszył jej z pomocą! Rozsiadła się wygodnie w starym wehikule i pomyślała, że są jeszcze porządni ludzie na tym świecie.

Taksówka zatrzymała się przed głównym wejściem nowoczesnego hotelu; Ingrid zapłaciła za kurs i już zupełnie odprężona wbiegła do recepcji. Wszystkie oczy natychmiast skierowały się w jej stronę, ale ona nie zważając na nikogo podeszła prosto do dziwacznie ubranego młodzieńca w kolorowym uniformie i ze śmieszną spiczastą czapą na głowie.

– Czym mogę szanownej pani służyć? – spytał naburmuszony dziwak.

– Proszę powiedzieć, czy mieszka tu moja siostra. Oczekuje mnie.

– Musiałbym najpierw wiedzieć, jak ta dama się nazywa – burknął.

– Pani Helena... ach nie: Elena Gerber. Moja siostra jest śpiewaczką.

Boy poczerwieniał, ukłonił się nisko, poszeptał coś portierowi na ucho i zaprowadził Ingrid do windy. Otworzyły się drzwi, a ona zawahała się, co ma robić. W życiu nie jechała windą, ale skoro boy wsiadł, jej nie pozostało nic innego, jak pójść za nim. Drzwi zamknęły się bezszelestnie, a ją nagle jakaś siła wbiła w ziemię. Zakreśliło jej się w głowie i gdyby nie złapała boya za rękę, byłaby upadła.

– O Boże! Co to się dzieje?

– Cierpi pani na klaustrofobię? Następnym razem radzę korzystać ze schodów – uśmiechnął się z miną światowca. Machina szarpnęła i zatrzymała się. Ingrid z ulgą wyskoczyła przez uchylone drzwi, a odchodząc, jeszcze raz obrzuciła je podejrzliwym spojrzeniem. Polubić windy na pewno nie polubi! Boże, jak tu wszędzie pięknie i elegancko! Na korytarzu miękkie kolorowe dywany, w rogach antyczne meble albo wielkie wazony z cudnymi kwiatami, a wszędzie, gdzie spojrzeć, drzwi i jeszcze raz drzwi.

Boy zastukał do jednych z nich. Po kilku sekundach szczęknął zamek. Weszli do przedpokoju, a lokaj zameldował przez uchylone drzwi, że do pani Gerber ktoś przyszedł z wizytą. Ukłonił się i zostawił Ingrid samą. Nagle opuściła ją odwaga i najchętniej pobiegłaby za boyem nawet do tej nieszczęsnej windy.

W szczelinie drzwi ukazała się jednak czyjaś niezbyt sympatyczna, niemłoda już twarz.

– Czego pani chce? Od razu mówię, że żadnych autografów dziś pani Gerber nie rozdaje.

– Ja... ja chciałam...

– Wiem, że pani by chciała, ale rtic na to nie poradzę. Proszę przyjść za dwa, trzy dni.

Ingrid nagle oprzytomniała uświadomiwszy sobie, że ma do czynienia z urzędniczą bezduszością, której od dawna nie potrafiła zrozumieć. Wyprostowała się dumnie, podeszła krok do przodu i oświadczyła stanowczym tonem.

– Nazywam się Ingrid Boorsten. Proszę zameldować mojej siostrze, że właśnie przyjechałam.

– Co?! Jak się pani nazywa? – zdziwiła się tamta, obrzucając ją pogardliwym spojrzeniem od stóp do głów.

– Ingrid Boorsten, a teraz proszę zejść mi z drogi. – Od tej chwili, niechcący, Ingrid stała się po wsze czasy przeciwniczką grubej Mety, która poczuła się przez nią poniżona. Teraz jednak usłużnie otworzyła drzwi i wprowadziła ją do maleńkiego saloniku.

– Proszę tu zaczekać – warknęła i popatrzyła jak na złodzieja. Po chwili jednak wróciła cała czerwona i nieco zmieszana rzekła: – Madame panią prosi. Rzeczywiście na panią czekała, tylko że ja o niczym nie wiedziałam.

Ingrid nie uważała za stosowne odezwać się do tej niesympatycznej kobiety. Szła za nią i za kolejnymi drzwiami stanęła naprzeciwko Heleny.

Nie widziały się od lat. Helena zmieniła się nie do poznania, nie tylko dlatego, że była przeraźliwie chuda i wymalowana na twarzy. Przecież rozstały się, gdy obie były właściwie dziewczynkami, a dziś spotkały się jako dorosłe kobiety. Patrzyły na siebie w milczeniu, potem Elena wyciągnęła ręce przed siebie, a Ingrid natychmiast podbiegła, a widząc, że siostra płacze, mocno przytuliła ją do siebie.

Elena wypędziła gestem ręki gapiącą się na nie Metę, wskazała Ingrid miejsce, a sama usiadła blisko obok niej, by szeptem powiedzieć, po co ją tu wezwała. Ingrid słuchała przytakując ze zrozumieniem głową i poklepując ze współczuciem siostrę po ręku. Z trudem udało jej się ukryć, że jest przerażona stanem jej zdrowia, ale uśmiechnęła się i rzekła spokojnym tonem:

– Dobrze, że mnie wezwałaś, Heleno. Wyjedziemy stąd natychmiast, a zobaczysz, że w Boorstenhaus szybko staniesz na nogi. Teraz jest tam cudownie, ale ty chyba już zupełnie zapomniałaś, jak wygląda twój rodzinny dom? – stwierdziła raczej niż spytała i szybko przekazała pozdrowienia od dyrygenta, które od razu poprawiły Helenie humor. Musimy uzgodnić, co trzeba zabrać i czym pojedziemy. Zupełnie nie wiem, jak ty teraz żyjesz, ale wnet się rozejrzę.

– Nie musisz się o mnie martwić, Ingrid, od tego jest Meta. Nie odchodź i opowiedz mi o sobie. Wyglądasz zdrowo i jesteś taka radosna – rzekła Helena głaszcząc siostrę po rękach z taką siłą, jakby chciała jej tę radość i zdrowie zabrać.

Ingrid zrobiło się strasznie żal załamanej i znerwicowanej kobiety. Z pewnością nie był to odruch miłości – Helena była już dla Ingrid właściwie obcą osobą – a jedynie litości i woli pomożenia komuś, kto ją o pomoc prosił. Nie wiedziała biedaczka, czego się podejmuje! Cieszyła się, że może pomóc, pocieszyć i wesprzeć słynną śpiewaczkę, a nie dostrzegła, że ta kieruje się tylko własnym interesem i jest miła, gdyż po prostu nie ma innego wyjścia.

Wieczorem tego ciężkiego dla Ingrid dnia czekała ją jeszcze rozmowa z lekarzem, który szczegółowo poinformował ją, co Elenie wolno robić, a czego nie. Patrzył początkowo z niedowierzaniem na dziwnie ubraną dziewczynę, ale szybko przekonał się, że ma do czynienia z osobą inteligentną i niezwykle uczciwą. Zdobył się więc na szczerą rozmowę o zdrowiu swojej pacjentki i ostrzegł, że istnieje wielka szansa na odzyskanie głosu, ale tylko pod warunkiem, że zostaną ściśle spełnione wszystkie zalecenia określone przez profesora z Wiednia, pokrywające się zresztą z tymi, które on podał od razu. Ingrid notowała prawie każde słowo doktora, a na koniec serdecznie mu podziękowała za opiekę nad siostrą.

I zaczęły się zmagania z kapryсами Heleny oraz głupotą i złośliwością grubej Mety, Podróż samochodem nie wchodziła w rachubę, samolot powodowałby zbyt duże napięcie nerwowe u

chorej, więc sławna gwiazda musiała zadowolić się pociągiem, tym samym, którym kilka dni temu przyjechała niedoświadczona Ingrid. Tym razem obu siostronom towarzyszyła jeszcze garderobiana i góra walizek, które nie zmieściły się do ogromnej limuzyny podążającej do Boorstenhaus równoległe z pociągiem. Szofer miał taką minę, jakby go skazano na wygnanie na Kamczatkę.

Człowiek w potrzebie potrafi przejść samego siebie. Nic więc dziwnego, że Ingrid radziła sobie z nowymi obowiązkami, jakby całe życie nie robiła nic innego, tylko opiekowała się chorymi i przewoziła ich pociągami. Meta protestowała raz po raz, że jej pani cierpi niewygodę – właściwie miała na myśli siebie – ale niczego nie wskórała u Ingrid. Ta uśmiechała się tylko chłodno i robiła, co uważała za stosowne.

Po kilku przesiadkach i noclegach w hotelu wszystkie trzy, tak różne od siebie kobiety, dotarły do Wolgraben, gdzie czekał już na nie wielki samochód Eleny.

IX

W Boorstenhaus zawrzało jak w ulu, gdy pewnego dnia stary Ginding przywiózł telegram, że należy przygotować pokoje rodziców na piętrze dla Heleny oraz dawny domek gościnny dla szofera Krausa.

Doris zabrała się ostro do roboty i tak przeganiała powolną z natury Klarę, że biedna staruszka rąbkami fartucha raz ocierała pot z czoła, a raz łzy, ale mimo to we dwie nie dawały rady. Trzeba było wynająć kobiety z wioski, a żeby nie traciły czasu na dojście Ginding przywoził je i odwoził rozklekotaną bryczką.

Najpierw cały dom tonął w obłokach kurzu, potem pokrył się mydlaną pianą, aż wreszcie błysnął nieskazitelną czystością. Tylko po sto diabłów trzeba było szorować oba pokoje rodziców? Helena nie mogła się zadowolić jednym? A do tego ten kram z szoferem... Postawi swoją śmierdzącą maszynę na podwórku i poleci do wsi uwodzić dziewczęta, a to dopiero zaczną się plotki i kłótnie! Doris była pewna, że cała okolica stanie na głowie i skończą się ciche, spokojne dni w Boorstenhaus. Narzekała i marudziła, ale co jej kazano, musiało być zrobione.

Przyjazd Heleny bardziej przypominał pożar niż radosne powitanie. Światowa dama załamała ręce na widok rodzinnego domu i uderzyła w rozdzierający płacz. Raz, że przypomniał jej się rygor, jaki tu panował i pewnie panuje nadal, a dwa, że nie zazna luksusu, do jakiego przywykła, bo dom nie zmienił się na pierwszy rzut oka wcale. Dodatkowym powodem mogła też być wyjątkowo chłodna i wietrzna pogoda. Tak czy inaczej, Ingrid i szofer musieli wielką damę wnieść, a ta nawet nie przywitała się z Doris, z Klarą, ani też z Gindingiem.

W niskim pokoju na piętrze Helena rzuciła się na twarde łóżko i z wtuloną do poduszki twarzą zaczęła histeryzować, ale ponieważ zawiódł ją głos, nie mogła krzyczeć ani przeklinać, więc kwiliła jak dziecko, któremu odebrano wszystkie zabawki.

Gruba Meta wgramoliła się po stromych schodach, a zobaczywszy swoją panią rozpaczającą, złapała się za głowę.

– Co?! Pani ma tutaj mieszkać? W tej folwarcznej izbie? A gdzie kanapa i toaletka? Łazienka? To wąskie lusterko? Boże, tu nie ma nawet lampki nocnej!

Tego było już dla Mety za wiele. Zaszlochała głucho, usiadła obok Heleny i zaczęła ją głaskać.

Ta nagle zerwała się i chrypiącym głosem warknęła: – Zamknij się, tłusciochu! Jeżeli mnie tu niczego nie brakuje, to tobie też musi wystarczyć. Chciałam przyjechać, więc rób, co do ciebie należy.

Opadła zmęczona na poduszkę i kurczowo chwyciła za rękę Ingrid, która bezradnie patrzyła na obie szlochające damy.

– Pomóż mi, siostrzyczko! Ja tu nie wytrzymam! Ja nie przeżyję!

– Musisz wytrzymać, jeśli chcesz wyzdrowieć, Heleno. – Ingrid pochyliła się nad nią i odgarnęła jej włosy z czoła. – Spróbuj teraz zasnąć, 'a jutro zobaczysz wszystko w jaśniejszych kolorach. Tylko spokój! Pamiętasz, co powiedzieli lekarze?'Meto, proszę pomóc pani Gerber rozebrać się, a potem przyjść na dół po kolację dla niej. Myślę, że w tej sytuacji najlepiej będzie, jeżeli przejmie pani obowiązki pokojówki pani Gerber.

– Co?! Ja nie jestem pokojówką! Moja pani nigdy się na to nie zgodzi!

– O tym podyskutujecie, kiedy będzie zdrowa. Teraz jesteście w Boorstenhaus, a tu rozkazuję ja, żeby nie było wątpliwości!

Zapadła grobowa cisza, a słowa Ingrid zdumiały nie tyle Metę czy Helenę, co starą Doris. Takiego tonu u swojej pani jeszcze nie słyszała, jak długo żyje! Co to się porobiło?! O tę tłuściochę już można się nie martwić, bo gdy będzie bezczelna, to Ingrid utrże jej nosa – pomyślała Doris zacierając ukradkiem rękę.

Zaraz potem Elena, ubrana w cienką, jedwabną koszulę nocną, po zażyciu środków uspokajających leżała w łóżku swojej matki i wdychała głęboko rześkie powietrze dolatujące znad zatoki przez otwarte na oścież okno.

W starym salonie na dole zasiadły Ingrid i Doris, i do późnej nocy opowiadały sobie o wszystkim, co zdarzyło się w ciągu kilku ostatnich dni.

– Wierz mi, Doris, ogromnie się cieszę, że jestem już w domu. Nigdzie na świecie nie jest tak pięknie jak w Boorstenhaus. Cisza, spokój i poczucie bezpieczeństwa.

– Dla kogoś, kto lubi swój ojczysty dom – westchnęła staruszka. – Nie mogła to Helena zostać z nami? Nic tylko w świat! I co z tego ma? Mówić nie może, śpiewać też nie i jest na pół zwariowana!

– Jest chora i nie możesz jej mieć niczego za złe. Pomyśl tylko, z jakiego ona świata wróciła: była ubóstwianą gwiazdą, spotykała się ze sławnymi ludźmi. Ma więc sławę i pieniądze, o których tobie się nawet nie śniło. Może sobie kupić dosłownie wszystko.

– Ale dziecka sobie nie kupi, nawet nieślubnego, męża też nie. I to ma być życie?

– Za mąż jeszcze nie wyszła, ale chyba ma kogoś bliskiego. Byłam przy niej, gdy zasypiała po zażyciu proszków nasennych i słyszałam, jak w półśnie wymawiała czyjeś imię. O ile dobrze rozumiałam, wołała jakiegoś Herberta. Kiedy trochę ochłonie, spytam, czy nie chciałaby, żeby tu przyjechał.

– Jeszcze jeden gość?! Boorstenhaus nie jest z gumy!

– Ale się nie rozpęknie z przeludnienia!

– O rety! Panienska po tej podróży zupełnie zmieniła zdanie. Napatrzyła się na inne życie i nasze stare, spokojne, już jej nie odpowiada, tak? – przestraszyła się Doris.

– Co też ty pleciesz, kobieto! Za nic w świecie nie zamieniłabym się na tamto życie. Wyobraź sobie, że tam dziewczęta biegają w spodniach, zupełnie podobne do chłopców, a ci wystawają przed lustrami i czeszą długie kędziory, jakby byli dziewczynami. To powiedzmy młodzież, ale widziałam na przyjęciu w hotelu starsze, poważne damy, wydekoltowane prawie do

pasa, za to w spódnicach do samej ziemi! A jedna to miała na nogach jedwabne buciki na wysokim, zupełnie przezroczystym obcasie jak ze szkła. Mówię ci, ilu tam dziwaków widziałam... Można by opowiadać całą noc.

Ingrid uśmiechnęła się, przygładziła włosy i poprosiła: – Przynies mi, proszę, szklanę herbaty i jedną kanapkę. Zjem coś i zaraz uciekam do łóżka; okropnie jestem zmęczona. Aha, przypomnij rano Gindingowi, żeby pojechał do doktora Burgera. Chciałabym, aby on też zbadał Helenę.

– Wątpię, czy nasza wielka dama pozwoli się zbadać.

– Potrzebuje pomocy, więc zgodzi się na wszystko, a nasz dobry doktor na pewno coś jej poradzi.

– A jest w ogóle jakaś szansa?

– W Salzburgu lekarz mówił, że niewielka, a nawet profesor z Wiednia nie potrafił powiedzieć nic konkretnego.

– Jak ona mogła doprowadzić się do takiego stanu?!

– Przecież to widać gołym okiem: skóra i kości! Od lat stosowała jakąś drakońską dietę odchudzającą, piła jakieś soczki owocowe i jadła jak wróbelek, a do śpiewania potrzebna jest siła. Skąd niby ją miała brać, z tych soczków? No i rzuciło jej się na struny.

– To rzeczywiście głupota, tak siebie zniszczyć. A jak przytyje i będzie tak gruba jak ja, to będzie mogła znowu śpiewać?

– Tego nikt nie potrafi przewidzieć, Doris. Ale chodźmy już spać, jutro też jest dzień.

Nazajutrz Elena Czula się znacznie gorzej – miała gorączkę, nie mogła mówić nawet szeptem. Ze strachu prawie odchodziła od zmysłów i dopiero zastrzyk uspokajający, zaaplikowany przez doktora Burgera sprawił, że zasnęła.

Kiedy jednak otworzyła oczy, w domu natychmiast zaczęła się bieganina. Raz chciała to, za chwilę coś innego, a ponieważ nie mogła mówić, ze złością wypisywała swoje życzenia koślawymi literami. Meta biegała to na dół, to na górę. Szofer musiał z samego rana pojechać do Hamburga, gdzie Elena miała jedną ze swoich luksusowych willi, a gdy wrócił wieczorem i zaczął wyładowywać z samochodu puchowe kołdry, poduszki, dywaniki, zasłony i Bóg wie co jeszcze, stara Doris złapała się za głowę i przecierała oczy ze zdumienia.

Za to gruba Meta tryumfowała – wreszcie trochę luksusu dla pani, a przy okazji także dla niej. Doris zaś najbardziej zżymała się nad srebrnym serwisem do herbaty i pościelą, tak cienką, że – jak twierdziła – można było przez nią czytać gazety. Jedwabne poduszki, orientalne dywaniki i cudowna różowa aksamitna narzuta od razu poprawiły nastrój naburmuszonej Mecie. „Chłopskie łoże” – jak się wyraziła – wreszcie nabrało przyzwoitego wyglądu.

Cóż, kiedy luksusowe dodatki wcale nie pomogły Elenie. Gorączka utrzymywała się i stary doktor przyjeżdżał już do Boorstenhaus dwa razy dziennie swoją rozklekotaną bryczką, zaprzęzoną w kościstą kobyłę. Na propozycję Mety, że szofer będzie go przywozić samochodem, doktor niemal się obraził. Całe Wolgraben wzięłoby go na języki i nikt już nie miałby zaufania

do „unowocześnionego” doktora.

Ingrid opiekowała się siostrą cały czas, rzadko kiedy pozwalała się wyręczyć Doris lub Mecie. Podjęła się tego i nie myślała wymigiwać od obowiązków. Niestety, stan chorej – pogarszał się, co wieczór powracała wysoka gorączka, a niecierpliwa i rozhisteryzowana gwiazda zadrezczała siebie i innych swoimi wybuchami złości, trwającymi nieraz godzinami. Ingrid była u kresu sił.

Pewnego wieczoru, gdy chora zasypiała po kolejnym zastrzyku uspokajającym, – zerwała się nagle, złapała Ingrid za rękę i szeptała w kółko: – Herbert... niech przyjedzie! Chcę, żeby był ze mną. Zawołaj go, Ingrid, on musi przyjechać! – mamrotała coś jeszcze, ale prawie natychmiast zasnęła.

Ingrid zastanawiała się, co robić. Nie chciała się radzić niesympatycznej Mety, więc nie pozostało jej nic innego, jak przeglądnąć dokładnie kasetkę z dokumentami siostry. Wysypała zawartość na stół i po kolei przeglądała wszystkie koperty, szukając adresu mężczyzny, który miałby na imię Herbert.

I znalazła. W pliku starej korespondencji, zdjęć i notatek była koperta z adresem nadawcy: „Dr Herbert Sanders, Kronberg k/Frankfurtu”.

Szybko pobiegła na dół do salonu i napisała list, który potem, po długim czasie, Herbert odebrał w Konakri w Gwinei.

X

Wcześniej niż się wszyscy spodziewali, udało się zarezerwować miejsca w samolocie do Paryża i Herbert z resztą ekipy mogli wreszcie odlecieć z Dakaru. Do nowych zatargów na szczęście nie doszło, choć Horst zauważył, że Gwido wciąż szuka okazji, by zbliżyć się do Gundi; ale nie miał szans, skoro aż trzech rycerzy troszczyło się o jej bezpieczeństwo na każdym kroku, jaki stawiała na Czarnym Łądzie.

Wszyscy odetchnęli z ulgą na wieść, że już nazajutrz lecą do ojczyzny.

Doktor Berger zdecydował, że odłączy się od wyprawy w Dakarze, a przy okazji poprosił Herberta o wypłacenie specjalnej premii za skuteczną opiekę medyczną. Umowa takiej premii nie przewidywała, ale Herbert, chcąc pozbyć się wreszcie uciążliwego kompana, wypłacił mu co do grosza.

Z Horstem siedzieli całymi godzinami nad porządkowaniem i uzupełnianiem wyników swoich badań, bo obaj byli pewni, że już więcej do Afryki nie wrócą.

– Choćby na pustyni wszędzie zamiast wody znajdowano ropę naftową, a zamiast złota czysty wolfram, mam to w nosie. Nic a nic już mnie to nie obchodzi – zaklinał się Horst.

– Nie rozumiem, jak przyszłego profesora może nie obchodzić, co stanie się z tak wielkim kontynentem jak Afryka? – drażniła się z nim Gundi, zdmuchując kropelkę potu, która łaskocząc spływała jej po nosie. – Ja tam przyznaję się bez bicia, że spieszno mi do domu, bo cieszę się na nowe menu Jochena, który w Afryce już na pewno nie wymyślił żadnej jadalnej potrawy.

– O, to jest dobry powód! Jak mi ktoś w ciągu najbliższego roku zaproponuje kurczaka z ryżem, to marny jego los. Powetuję sobie dopiero w październiku, na dorocznym święcie piwa w Monachium.

Gundi z Herbertem prowadzili tę rozmowę, odpoczywając w ogromnych wiklinowych fotelach, w gaju palmowym przy hotelu w Dakarze. Upał był tak nieznośny, że oboje starali się nie wykonywać żadnych zbędnych ruchów, toteż Gundi nie patrząc na Horsta rzekła jakby do siebie:

– Pozostaje mi się domyślić, że następny postój nasz Horst zaplanował w Monachium.

– Zgadza się.

– A twoja praca w Heidelbergu?

– Poczeka.

– A ja?

– Również.

– Co? Nie zabrzmiało to zbyt zachęcająco.

– Czekać.

– Można wiedzieć na co?

– Na Horsta, aż znajdzie dla ukochanej żony domek ze skrzynkami pelargonii w oknach.

– Do tego czasu mała Gundi osiwieje i jedynym jej kłopotem będzie wypadająca sztuczna szczęka.

– Nie będzie.

– Czego nie będzie?

– Żadnej szczęki.

Horst nie dał się zmusić do najmniejszego wysiłku. Przełożył tylko na wierzch prawą nogę, którą dotychczas trzymał pod lewą.

– Upał jak w piekle, a tobie chce się żartować. O, na szczęście wraca już Herbert. Nie sądzisz, że jest bardzo zmęczony i cały czas chodzi spięty? – Gundi wyprostowała się i patrzyła na brata jakby powłóczącego nogami. Widać po nim było nie tylko trudy wyprawy, ale też niepokój, który go dręczył po otrzymaniu wiadomości o Elenie.

Pomachał z daleka blankietem telegramu.

– Od Eleny, braciszku? – zawołała Gundi.

– Nareszcie! Mój telegram widać doszedł, a odpowiedź przysłano po francusku, żeby ktoś przypadkiem nie przekreślił treści. Posłuchaj: „Elena czuje się lepiej. Czekaj na Pana u mnie. Ingrid Boorsten”. A pod spodem jeszcze dokładny adres. Cieszę się, że wraca do zdrowia, ale do Boorstenhaus i tak pojedę, gdy tylko wrócimy do domu.

– Mam tylko nadzieję, że nie jest to kolejna sztuczka słynnej śpiewaczki, by zmusić cię do wyjazdu z nią na tournée – burknął pod nosem Horst, a Herbert natychmiast zaprotestował:

– Ona dobrze wie, że podstępem ze mną nic nie wskóra. Poza tym, to nie ona pisze, ale jej siostra, a zresztą... za trzy, cztery dni wszystko się wyjaśni.

– A gdzież to reszta naszego bractwa? – ziewnęła Gundi.

– Jochen pakuje skrzynie, które wyślemy statkiem. Szkoda pieniędzy na drogi fracht lotniczy. Sven spotkał swojego rodaka i nie może się z nim nagadać, zaś doktor Berger flirtuje tuż obok was z jakąś ślicznotką, nie widzicie?

. – Śmiechu warte! Doprawdy nie rozumiem, dlaczego te kobiety tak na niego lecą? Oszust matrymonialny i żaloszny Casanová!

– Nie wiem, czy takie postępowanie można nazwać śmiesznym, skoro widać w nim żelazną logikę. Moim zdaniem Berger jest wyrafinowanym i bardzo praktycznym egoistą. Nawiasem mówiąc, mnie też pociągnął za portfel – zaśmiał się Herbert. – Wyplaciłem mu wszystko, co przewidywała umowa, a nawet więcej, choć powinienem to zrobić we Frankfurcie. Ale mam nadzieję, że lekarz już nie będzie nam potrzebny i dlatego pozbyłem się go już teraz.

– Na pożegnanie zrobię krzyżyk za facetem, żebyśmy się przypadkiem znów nie spotkali. – Horst zdecydował się na pierwszy poważniejszy wysiłek i wyprostował się w fotelu.

– Czyżbyś miał jakiś szczególnie ważny powód? – zdziwił się Herbert.

– Powiem ci przy innej okazji. Nie chcę się denerwować, a poza tym chętnie napiłbym się whisky z lodem, oczywiście bez wody.

– Sądziś, że to pomaga przetrwać upał? – wtrąciła się Gundi.

– Niektórym on w ogóle nie przeszkadza. Spójrzcie, jak nasz doktorek uwija się wokół tej suchej brunetki – Horst pokazał brodą na Bergera szepczącego coś na ucho eleganckiej damie przy barze letniej kawiarenki. W pewnej chwili pocałował ją w policzek i z uśmiechem zadowolenia podszedł do swoich towarzyszy.

– Pan znowu w akcji, doktorku? – przywitał go Herbert. Gwido rozsiadł się wygodnie i burknął arogancko: – Wielkie nieba!

Miałem powiedzieć nie, kiedy dama ma ochotę poflirtować?

– Dżentelmen nigdy damie nie odmawia, prawda? Gundi, chodź ptaszyno, zobaczmy, jak Jochenowi idzie pakowanie.

Horst zerwał się ze swojego wygodnego fotela, porwał Gundi za rękę i pociągnął do hotelu. Nie mógł znieść lubieżnego spojrzenia, jakie Berger utkwiał w wyciągniętych na całą długość szczupłych i zgrabnych nogach panny Sanders. Żeby nie wywołać awantury, wołał usunąć Gundi z jego pola widzenia.

Następnego dnia wieczorem siedzieli już w samolocie, a pozbywszy się Bergera, czuli się swobodnie i bawili jak nigdy dotąd.

Herbert, Gundi i Horst cieszyli się jak dzieci, gdy wreszcie znaleźli się w Kronbergu, w willi niedaleko hotelu zamkowego, wśród bujnej soczystej zieleni. Wreszcie mogli odetchnąć świeżym, czystym powietrzem, zamiast dusić się w gorącu i kurzu, oganiając się przy tym przed moskitami i przeróżną jadowitą gadziną.

Gundi najbardziej ucieszyła się widokiem śnieżnobiałej pościeli i miękko sprężynującego materaca. Czekala ją rozkosz, której nie zaznała od wielu miesięcy.

Herbert próbował się dowiedzieć o możliwość telefonicznego połączenia z Boorstenhaus koło Wolgraben, ale okazało się, że w żadnej z wiosek nad zatoką nie ma jeszcze telefonów. Nie pozostało mu nic innego, jak wybrać się tam osobiście.

Kiedy zgłosił się urząd pocztowy w Wolgraben, Herbertowi natychmiast stanęła przed oczyma twarz tej pięknej, niezwyklej kobiety, którą kiedyś spotkał w miasteczku. Niemalże czuł jeszcze spojrzenie jej wyrazistych, ciepłych oczu. Czy los pozwoli mu spotkać ją jeszcze raz? Dziwne, co też za myśli przychodzą mu do głowy, akurat w chwili, gdy wybiera się do ciężko chorej Eleny – bliskiej być może obłędu, kochającej i tęskniącej za nim.

Horst, który w dalszą podróż wybierał się pociągiem, zabrał się z Herbertem, gdyż aż do Lubeki jechali w tym samym kierunku. Rozmawiali głównie o sukcesach i rozczarowaniach ich ostatniej wyprawy. Obaj byli bardzo zadowoleni ze zgromadzonych materiałów naukowych, nad którymi będą mogli pracować jeszcze przez długie lata. Oczywiście, oceniali też zachowanie pozostałych członków ekipy. Svena zgodnie określili jako dobrego przyjaciela, uczciwego i zaradnego młodego człowieka, natomiast Gwido Berger zasłużył – ich zdaniem – na zdecydowaną krytykę: niesympatyczny, krępujący, nie wzbudzający zaufania. W żadnym wypadku tej znajomości nie będą podtrzymywać, a gdyby Berger sam się narzucał, zostanie

odprawiony z kwitkiem.

– Wiesz, Herbercie, skoro już się pozbyliśmy faceta i żyjemy w normalnym świecie, mogę ci powiedzieć, że w ciągu naszych ostatnich dni w Afryce o mało co nie ukatrupiłem Bergera. Pamiętasz, jak wrócił do obozu podrapany i posiniaczony?

– Oczywiście. To było w górach, przed naszym przyjazdem do Konakri.

– To ja go tak urządziłem – uśmiechnął się Horst, jeszcze dziś zadowolony ze swojego wyczynu.

– Jak mogłeś to zrobić, Horst? Przecież was prosiłem, żebyście osobiste porachunki odłożyli do czasu, aż znajdziemy się w cywilizowanym świecie. – Herbert obserwując drogę nie patrzył na Horsta, więc nie widział jego tryumfującej miny.

– Facet za bardzo się rozzuchwiał i za dużo sobie pozwalał.

– W stosunku do ciebie?

– Skądże! Zaczepiał Gundi.

– Do licha, Horst, czemu mi tego nie powiedziałeś od razu? Przecież może jeszcze teraz dojść do jakiegoś nieszczęścia!

– Spokojna głowa. Po tym, jak mu wtedy dołożyłem, Berger będzie się od nas trzymał z daleka. Pamiętasz, kąpaliśmy się pod mizernym wodospadzikim, a ja w pewnym momencie usłyszałem, że Gundi krzyczy. Pobiegnęłam za zbroczę i zobaczyłem Bergera napastującego szamoczącą się z nim dziewczynę. Nawet nie wiem, kiedy zdzieliłem go w żołądek i dołożyłem parę ciosów, dopóki nie upadł. Ale to był widok! Musiał go także zapamiętać, bo potem ilekroć pożerał Gundi wzrokiem, wystarczyło moje spojrzenie, by się opamiętał.

– A Gundi jak się zachowała?

– Bohatersko! Kiedy podbiegłem, kopnęła go z całej siły po łydkach.

Może wreszcie czegoś się nauczy. Co za człowiek?! Ma żonę w Monachium, kochankę w Lizbonie, a jeszcze czepia się mojej Gundi! – Horst aż kipiał ze złości na samo wspomnienie Gwido Bergera.

– Twojej Gundi? Ty chyba się przejęzyczyłaś.

– Nie, ale o błogosławieństwo poproszę cię trochę później. Na dziś zamknijmy ten temat, bo nie lubię rozmawiać o rzeczach jeszcze nie przygotowanych. Najpierw zajmę się moją profesurą, a później resztą, zwłaszcza że u Gundi mam jakby sprawę zaklepaną. Życzę ci, abyś doczekał takiej samej satysfakcji, choć wiem, że ze słynną Gerber nie pójdzie ci tak gładko, jak mnie z małą Gundi.

– Obawiam się, że masz rację. Najgorsze, że wciąż nie wiem, co tam naprawdę się zdarzyło.

– A mogę ci zadać nietaktowne pytanie?

– Skoro uprzedzasz, nie będzie nietaktowne – Herbert rzucił krótkie spojrzenie na Horsta i dodał: – Zapal mi, proszę, papierosa i wal, bo do Lubeki niedaleko, a tam wywalę cię i tak z mojej bryki.

Horst zapalił papierosa i włożył go ostrożnie Herbertowi do ust.

– Ożenisz się z Elena? – spytał jakby ociągając się.

– Zaczynasz z wielkiego kalibru, mój drogi! Na to pytanie jednak nie odpowiem ci, dopóki nie wiem, jak wygląda sytuacja. Nie wiem też, co na taką propozycję odpowie Elena, gdyż dotychczas nie miała jeszcze ochoty wiązać się na stałe. Jej krótki związek z Egonem Gerberem nie należał do udanych, a ponadto jej temperament dorównuje chyba arogancji, tak charakterystycznej dla gwiazd światowego formatu.

– Tak myślisz? Moim zdaniem, są więksi od niej artyści, a przy tym niezwykle skromni. Postawię więc moje pytanie inaczej: kochasz Elenę?

Herbert wyraźnie zwlekał z odpowiedzią.

– Prawdę mówiąc, zdecydowanie przytaknąć nie mogę. Kiedyś kochałem ją bardzo i traktowałem tę miłość poważnie, ale – możesz mi wierzyć albo nie – często czułem się wystrychnięty na dudka, bo Elena tolerowała moją obecność tylko, gdy dopisywał jej humor. W takiej sytuacji nawet najbardziej namiętna miłość zaczyna przygasać.

– Rozumiem. Przyjmuję to jako odpowiedź, ale pozwolę sobie zadać ci następne pytanie, równie nietaktowne jak poprzednie: po co właściwie jedziesz do tej zabitej deskami wioski, choć nie wiesz, czy tam Elenę jeszcze zastaniesz?

– Tym razem odpowiem ci bez żadnych wątpliwości: bo uważam to za swój obowiązek. Kochałem Elenę i darzę ją szacunkiem, więc nie widzę powodu, żeby do niej nie pojechać, skoro sobie tego życzy.

– Czy mam rozumieć, że teraz, kiedy wielka Gerber przykuta na długi czas do łóżka, kiwnie małym palcem, ty od razu polecisz z nią do ołtarza?

– Tak daleko jeszcze myślami nie sięgałem, ale to co mówisz, na pewno się stanie. Teraz zależy mi tylko na spełnieniu tego, co ktoś ode mnie oczekuje. Masz jeszcze inne kłopotliwe pytania na składzie?

– Jedno, ostatnie. Jak wyobrażasz sobie stosunki między Gundi a Elena Gerber? Są jakby z innych światów, a jedno co łączy te dwie kobiety, to chyba tylko zazdrość o ciebie.

– Wytaczasz coraz cięższe armaty. Teraz odpowiem ci jednak żartem: w tej sprawie liczę na pomoc mojego przyjaciela Horsta!

– Aha, rozumiem. To jeszcze jedno: sądzisz, że Elena będzie zadowolona z twojej przytulnej, ale wiekowej willi?

– Nie spodziewaj się innej odpowiedzi niż ta, którą usłyszałeś na pierwsze pytanie; po prostu trzeba czekać. Dziękuję ci, stary, że swoimi pytaniami zmusiłeś mnie do refleksji nad stanem moich uczuć. Dotychczas odkładałem te myśli do czasu, aż Elena podejmie jakąś decyzję i niebawem się przekonam, jak jest naprawdę. Kto wie, czy nie powita mnie z uśmiechem tryumfu na ustach, że jeszcze raz udało jej się narzucić mi swoją wolę. I co wtedy?

– Wlepisz jej solidnego klapsa tam, gdzie trzeba!

– Nie posłucham twojej rady, ale porozmawiam z nią zupełnie inaczej, bo skoro nie jest chora i załamana, mogę zerwać z nią raz na zawsze.

– W każdym razie nie zostawiaj mnie bez wiadomości. Przez tydzień będę w Augsburgu u mojej matki, a potem zastaniesz mnie w Monachium. Zresztą, Gundi będzie wiedziała, gdzie jestem, bo obiecała przysyłać mi seriami listy miłosne.

– Nie chciałbym cię denerwować, ale w to nie uwierzę. Gundi zrobi dla ciebie wszystko, ale w życiu nie napisze listu miłosnego. Na tyle zdażyłem poznać moją siostrzyczkę – Herbert roześmiał się chyba po raz pierwszy w ciągu ich wspólnej podróży.

Pożegnali się w Lubece, ale przez cały czas Herbert rozmyślał nad sprawami, które poruszył jego przyjaciel. Rozwiały się w nim wszystkie wątpliwości i był zupełnie pewien, że nie kocha już Eleny Gerber, a to co do niej czuje, można nazwać jedynie uwielbieniem, albo nawet tylko przywiązaniem. Musi jej pomóc, skoro jest chora, skoro chce, żeby przy niej był.

XI

Cisza i spokój wyprowadziły się z Boorstenhaus na dobre, zagościły za to nerwowość i bieganina, nastroje których tu nigdy nie znano. Histeryczne napady Eleny stawiały cały dom na nogi, dopiero gdy ta zasypiała ze zmęczenia, albo po zażyciu proszków nasennych, Ingrid, Doris i Klara mogły na chwilę zająć się swoimi sprawami.

Stary Ginding urządził się najlepiej, bo po prostu przy każdej nadarzającej się okazji uciekał z domu. Klął szpetnie i wcale nie po cichu, gdy tylko zobaczył grubą Metę toczącą się po schodach z pretensjami, a ostatnio wręcz z rozkazami! Wtedy z całego serca życzył jej, żeby pośliznęła się i upadła na to swoje wielkie... no tak, jako dworski stangret wiedział, że pewnych słów nie należy używać, ale był pewien, że i bez tego jego życzenie kiedyś się spełni.

Ingrid cały czas upominała domowników, by trzymali nerwy na wodzy, zwłaszcza, że stan zdrowia Heleny nie poprawiał się od kilku tygodni, mimo że lekarz przyjeżdżał do niej co dnia. Dziwne, że kapryśna gwiazda zaakceptowała starego wiejskiego doktora i kiedy Ingrid spytała kiedyś, czy nie należałoby sprowadzić specjalisty, kategorycznie pokręciła głową. Przestrzegała dokładnie zaleceń lekarza, aż wreszcie po długich tygodniach przemówiła, po cichu, ale bardzo wyraźnie.

Pierwsze co zrobiła, to zrugła Metę za ciągle narzekanie i przynoszenie przedziwnych plotek. Garderobianej nie podobało się w Boorstenhaus i miała pretensje do Eleny, że nie odesłała jej z szoferem, któremu poleciła wykorzystać urlop.

Niestety, kończyło się lato i pierwsze chłodne wiatry znad zatoki dobijały się już do okien starego domu, zwiastując nadchodzącą jesień. Wychowana w mieście osoba nie była przyzwyczajona do chłódów, ba, nawet nie miała ciepłych ubrań. Na domiar złego, jej farbowane włosy musiały ustąpić odrostom, szminki i pudru szkoda było marnować „wśród pospólstwa” – jak się wyraziła – i biedna grubaska wyglądała jak wyświechtane na wietrze straszdyło.

Elena za to czuła się wyśmienicie[^] Kazała otwierać okna na ościerz i z lubością wdychała głęboko rześkie, wilgotne powietrze. Gruba Meta trzęsła się jak galareta, a Elena bawiła się do rozpuku.

Gorączka ustąpiła, a wrócił apetyt. Meta znów miała powód do rozpacz, bo pani strasznie przytyje, ale tym razem Elena zbywała jej uwagi pogardliwym machnięciem ręki. Właściwie była już zdrowa, a mimo to lekarz nie pozwalał jej jeszcze wychodzić z łóżka, ku wielkiemu niezadowoleniu domowników, bo od tej pory wszyscy mieli ręce pełne roboty.

Ktoś zawsze musiał być z nią, gdyż zostawszy choćby na chwilę sama, od razu wpadała w panikę i histeryzowała. Kobiety ustaliły dyżury, ale Elena płaczem i złością zawsze stawiała na swoim i prędzej czy później zmuszała Ingrid do przyjscia. Obecność spokojnej i zrównoważonej siostry działała jak balsam na jej skołatane nerwy, ale i tak nie szczędziła Ingrid złośliwych,

wręcz aroganckich uwag.

Po ustąpieniu gorączki Elena już ani razu nie wymieniła imienia Herberta i Ingrid miała wątpliwości, czy słusznie postąpiła wysyłając do niego list. Już się cieszyła, że być może nie doszedł, i kiedy po wielu tygodniach odebrała telegram z Konakri, przestraszyła się, bo rozumiała, dlaczego tak długo nie dostawała odpowiedzi. Więc jednak temu mężczyźnie zależało na Helenie, skoro odpowiedział aż z Afryki. Odpisała natychmiast kilką uspokajających słów i z niepokojem czekała, jaka będzie jego reakcja, zaś siostrze postanowiła o niczym nie mówić, dopóki on nie przyjedzie. Gdyby nie przyjechał, Elena martwiłaby się jeszcze bardziej.

Stary doktor Burger siedział z Ingrid w salonie przy aromatycznej kawie i pysznych ciastkach z wypieków Doris. Musiał dziś zaaplikować Elenie większą dawkę środka uspokajającego, gdyż wpadła w straszną histerię po otwarciu listu, który szofer przywiózł z Hamburga. Francuska agencja koncertowa niepokoiła się, dlaczego madame Gerber nie potwierdziła dotychczas udziału w przygotowywanych koncertach.

Na stanowcze żądanie Eleny wiadomość o jej chorobie została utrzymana w ścisłej tajemnicy i nie przedostała się do prasy. Występy w Metropolitan Opera odwołano jakoby z powodu grypy artystki, a więc w Paryżu nikt się nie domyślał nawet, że słynna Elena Gerber już nie istnieje.

Właśnie te słowa powtarzane w rozpaczy zmusiły doktora Burgera do zastosowania silnego środka uspokajającego.

– Mimo to, drogie dziecko, dzisiejsze zachowanie Heleny bardzo mnie podbudowało na duchu – rzekł stary doktor do Ingrid. – Słyszałaś, jak wrzeszczała ze złości? Ona znowu umie wrzeszczeć! To śpiewać też będzie. Zobaczysz, nabierze jeszcze z pięć kilo sadła i struny głosowe zaczną działać jak naoliwione.

– Doktorze, mówi pan poważnie?

– Nie martw się, dziecko, niedługo się jej pozbędziemy i w Boorstenhaus znowu będzie cicho i spokojnie jak u Pana Boga za piecem.

Ingrid zerknęła ukradkiem na doktora i szybko spuściła wzrok. Siedziała jak zwykle na podwyższeniu przy oknie, z rękoma złożonymi na kolanach, z rozpuszczonymi blond włosami. Tylko na jej twarzy widać było ogromne zmęczenie.

– Jak dawniej to już nigdy nie będzie, doktorze – westchnęła. – Zobaczyłam, jak ludzie żyją gdzie indziej, i obawiam się, że nie będę nawet chciała żyć tak jak dawniej.

– Ależ to nie ma nic wspólnego ze spokojem, o którym mówiłem, nie sądzisz?

Ingrid zastanawiała się, a po chwili odezwała się po cichu:

– Doktorze, kiedy Helena rzeczywiście wyzdrowieje i wyjedzie, będę mogła pana o coś poprosić?

– Oczywiście, dziecko. Po to tu jestem.

– Chciałabym przeprowadzić rozwód – szepnęła.

– Ach tak! Widzę, że znowu dotknęłaś piekającej rany – popatrzył uważnie na Ingrid i spytał: – Powiedz, dziecko, masz jakiś szczególny powód ku temu?

Szybko odwróciła twarz do okna, aby czujny staruszek nie zauważył, że się zarumieniła. Natychmiast przed oczyma stanął jej mężczyzna, którego spotkała w Wolgraben długo przed przyjazdem Eleny. Odebrał jej spokój i sprawił, że myśl o jej niby-małżeństwie nagle stała się nie do zniesienia.

– Doktorze, będę mu płaciła jak dotychczas, byleby tylko zgodził się na rozwód.

– Tego by tylko brakowało, abyś utrzymywała mężczyznę, który właściwie nigdy nie był twoim mężem. Już teraz powinien wstydić się brać te pieniądze, a on jeszcze ma czelność się upominać! Doris ma świętą rację, że nazywa go wieprzem. Niech tylko kiedyś dostanę go w swoje ręce, to długo mnie popamięta. Nie wiesz przypadkiem, gdzie teraz się obraca?

– Kilka miesięcy temu prosił bank o wypłacenie mu zaliczki, bo wybierał się w daleką podróż. Co dalej, zupełnie nie wiem.

– A niechby go krokodyle pożarły, łajdaka! Muszę sobie całą tę sprawę przemyśleć jeszcze raz. Porozmawiam z dyrektorem banku i zobaczysz, co my dwaj starzy spryciarze wymyślimy. Dawno powinniśmy to zrobić i wy plewić takiego chwasta od razu. Ale my tu na uboczu zawsze coś ważnego przegapimy. – Poglaskał Ingrid po jej ślicznej główce. – Uważaj, dziecko, żebyś nie przegapiła też swojego szczęścia, które przemknie któregoś dnia obok ciebie. Ci tam na górze już na pewno dostali rozkazy od Pana Boga i szykują ci w nagrodę jakąś niespodziankę. Prawdę mówiąc, będzie nam ciebie brakowało, gdy odfruniesz z naszej okolicy... Ale dość już gadania na dzisiaj, w domu też trzeba trochę pomieszkać.

Po przyjeździe do Wolgraben doktorowi od razu rzucił się w oczy wielki, nowoczesny samochód, sunący niemal bezgłośnie po wybrukowanym rynku. Siedzący za kierownicą młody mężczyzna wychylił się przez opuszczoną szybę i spytał o coś piekarza Schulza. Doktor nie był ciekawy, ale lubił o wszystkim wiedzieć. Zatrzymał konia i wyraźnie usłyszał, że piekarz tłumaczy nieznanemu jak dojechać do Boorstenhaus. – Aha, znowu jakiś ważniak chce widzieć się z wielką śpiewaczką! – pomyślał doktor z przekąsem. – Może poprawi jej humor, a ona zacznie jeść i przybierać na wadze. Bez sadła nie ma głosu! Tak długo to powtarzałem, aż wreszcie chyba ta szurnięta gwiazda to zrozumiała.

Herbert słuchał uważnie wyjaśnień piekarza, jak trafić do Boorstenhaus i nie zrażał się specjalnie, gdy ten ostrzegał go, że wąską polną drogą nie przejedzie tam tak wielkim samochodem. Jechał powoli szosą, aż do miejsca, gdzie wymalowany z wielką fantazją drewniany drogowskaz pokazywał ścieżkę wiodącą do Boorstenhaus. Była wąska i wyboista, przeznaczona w zasadzie dla konnych zaprzęgów, więc Herbert zdecydował się zostawić samochód na przydrożnej łączce i pójść dalej piechotą.

– Widok starego domu, jaki nagle ukazał mu się zza drzew, zrobił na Herbercie ogromne wrażenie. Nie dlatego, że pierwszy raz w życiu zobaczył niską, wiejską budowlę, ale jej kryty gontem dach i rzeźbione w drewnie końskie łby na jego szczycie budziły jakieś dziwne zaufanie. Nieco z boku połyskiwała tafla zatoki, kołysały się na wietrze wysokie trzciny i głośno krzyczały mewy zlatujące się na wieczorny żer.

Herbert otworzył sobie furtkę od ogrodu i ledwo widoczną ścieżynką podszedł do domu. Nikt nie wyszedł mu na spotkanie. Doris i Klara zajmowały się w kuchni przygotowaniami do kolacji, Ginding pojechał do sąsiedniej wioski po świeże jajka, zaś gruba Meta zdrzemnęła się w pokoju Eleny.

Ingrid siedziała przy oknie w salonie z założonymi na kolanach rękoma, a opadającą ze zmęczenia głowę oparła o zagłówek przepastnego fotela. W takiej pozycji zobaczył ją Herbert, gdy po chwili wahania zdecydował się wejść do domu.

Chrząknął głośno w hallu, nieśmiało zawołał „halo!”, ale nikt się nie pojawił. Rozejrzał się po wyciszonym domu, a zobaczywszy, że jedna z klamek jest bardziej błyszcząca od pozostałych, zdecydował się ją nacisnąć. Pięknie rzeźbione stare drzwi uchyliły się bezgłośnie i odsłoniły widok, którego Herbert nie zapomni do końca życia.

Przy otwartym oknie, na tle zachodzącego nad zatoką słońca, siedziała samotnie blondwłosa kobieta, którą spotkał wtedy w Wolgraben i choć zamienił z nią zaledwie kilka słów, do dzisiaj nie mógł jej zapomnieć.

Wrzask latających za oknem mew był tak wielki, że nie usłyszała, kiedy ktoś wszedł. Herbert czuł się jak intruz i nie wiedział co powinien zrobić. Odezwał się niezbyt głośno, ale wyraźnie.

– Dobry wieczór! Przepraszam, że bez pozwolenia wszedłem aż tutaj, ale nikt nie wyszedł, by mi udzielić informacji.

Lekko przestraszona spojrzała w jego stronę i nagle poczerwieniała. Podniosła się powoli i dumnym krokiem podeszła do Herberta.

– Dobry wieczór panu! Chciał pan zapewne spytać o drogę do Wolgraben? Zaraz poproszę kogoś z personelu, żeby panu objaśnił.

– Ponownie muszę się usprawiedliwić, ale nie szukam drogi do Wolgraben, bo właśnie stamtąd przyjechałem. Nie pamięta mnie pani? Już się kiedyś spotkaliśmy. Ja w każdym razie poznałem panią od razu.

Zmarszczyła lekko czoło i spokojnie patrzyła mu prosto w oczy.

– W takim razie co pana sprowadziło do Boorstenhaus?

– Na pewno nie to, co pani sobie przed chwilą pomyślała. Dostałem od pani list i depeszę. Nazywam się Herbert Sanders.

– Och! – Ingrid nie potrafiła powstrzymać jęku zawodu, który cisnął jej się na usta. Szybko jednak opanowała się i spytała:

– Przyjechał pan do Heleny? To się siostra ucieszy, choć ostatnio nie wspominała już pana tak często.

– Mogę spytać, jak czuje się Elena?

– Proszę usiąść, panie doktorze – poprosiła go do stołu, a usiadłszy naprzeciwko rzekła: – Dziś mogę już panu przekazać lepsze wiadomości niż poprzednio. Helena czuje się znacznie lepiej. Chce pan pójść do niej od razu, czy też woli pan najpierw usłyszeć, co właściwie się stało?

– Byłbym pani bardzo wdzięczny za informacje, bo oprócz tego, co mi pani napisała, nie

wiem nic. Przebywałem w głębi Afryki i nawet gdyby były jakieś wiadomości w gazetach, nie miałbym do nich dostępu.

– Prasa o niczym nie wie, panie Sanders. Spróbuję panu krótko opowiedzieć, co tu się stało.

Bez specjalnego wzruszenia Ingrid opowiedziała o swojej podróży do Salzburga, o przyjeździe Heleny do Boorstenhaus i skutecznej kuracji doktora Burgera, po której wielka gwiazda prawie już odzyskała swój cenny głos.

– Przyznaję otwarcie, że dla mnie było to wielkie przeżycie, bo nigdy w życiu nie wyjeżdżałam tak daleko od Boorstenhaus, ale na szczęście jakoś mi wszystko wyszło – uśmiechnęła się tak cudownie, że Herbert patrzył na nią jak urzeczoną. Zrobiła na nim jeszcze większe wrażenie niż wtedy, gdy spotkali się pierwszy raz.

– Nie pozna pan Heleny. Podkarmiliśmy ją trochę – uśmiechnęła się znowu. – Na początku buntowała się i wyzywała doktora Burgera, ale kiedy przekonała się, że to pomaga i może już przynajmniej rozmawiać, przestała protestować.

– Cały czas jej tłumaczyłem, że wyniszczając dietę przyplaci kiedyś zdrowiem, ale ona złościła się i nie przyznawała mi racji.

– No, zmieniła się pod wieloma względami! – Ingrid zmrużyła swoje śliczne, niebieskie oczy. – Na przykład nie maluje się, nie przykleja sztucznych rzęs i znów wygląda tak jak wtedy, gdy mieszkała tu ze mną i rodzicami.

– Elena Gerber bez makijażu? Aż trudno mi to sobie wyobrazić. Był on równie sławny w świecie jak jej głos! Jak pani sądzi, czy na mój widok Elena nie zdenerwuje się za bardzo?

– Nie słyszałam, żeby miła niespodzianka komuś zaszkodziła, ale na wszelki wypadek pójdę i uprzedzę siostrę – rzekła i wstała od stołu, a Herbert odprowadzał ją wzrokiem, jakim jeszcze nigdy nie patrzył na kobietę.

Nie była ubrana ani elegancko, ani zbyt strojnie, wręcz przeciwnie – prosto, niepozornie, w suknię z grubego materiału, nieporadnie skleconą przez wiejską krawcową.

Poruszała się za to dostojnie, dumnie wyprostowana, niezwykle powabna i piękna, z czego sobie prawdopodobnie zupełnie nie zdawała sprawy. Wyszła nie obejrzawszy się, a Herbertowi nie pozostawało nic innego jak rozejrzeć się po pokoju. Okazał się nadzwyczaj interesujący. Ciężki, pięknie rzeźbiony kredens, stylowe fotele wokół okrągłego stołu, aksamitne zasłony w oknach i stara porcelana oraz kryształowe naczynia poustawiane na półkach przy ścianie, stwarzały doskonałą wręcz harmonię z całością wystroju wnętrza.

Tymczasem piętro wyżej, w pokoju Heleny, jakby strzelił piorun z jasnego nieba.

Gruba Meta zaczęła biegać w kółko, szukać czegoś, przesuwając, wyjmować, znowu coś chować, zdejmować lustro ze ściany i stawiać go przed łóżkiem, na którym Elena wysypała całą swoją kosmetyczkę i gorączkowo poszukiwała jakichś drobiazgów. W końcu ze złością zgarnęła wszystko na podłogę i kazała Mecie pozbierać to do skórzanego kuferka.

– E, to zupełnie nie ma sensu! Jestem graba jak beczka, a zmarszczek wokół oczu i ust i tak nie ukryję. Włosy rozczochrane... Nie, nie chcę nikogo widzieć, w każdym razie nie w takim

stanie. Meta, grubasie, nie stój tak i rób coś! Posprzątaj choć trochę. Tu nie garderoba w teatrze! Wrzuć ciuchy do szafy i popraw mi poduszki. Szminka, gdzie jest moja szminka?

– Heleno, czemu się denerwujesz? Wyglądasz znakomicie, a poza tym niczego nie zauważyłaś? – spytała Ingrid, uśmiechając się radośnie.

– Co? Czego nie zauważyłam? – burknęła Helena próbując umalować sobie usta trzęsącymi się rękoma.

– Że z radości i strachu przed niespodziewaną wizytą zaczęłaś głośno i wyraźnie mówić!

Przerażona Elena złapała się za usta i zdziwiona patrzyła na siostrę. – Ty... ty! O Boże! Ja naprawdę mogę mówić jak dawniej! Ingrid, czy tak już zostanie?

– Myślę, że jak będziesz rozsądna i posłuchasz dobrych rad naszego doktora, wrócisz do pełnej formy.

– Chciałaś powiedzieć, że będę mogła śpiewać?

– Poczekaj, nie tak szybko. Gdy ktoś odłoży kule, to jeszcze nie znaczy, że już ma zdrową nogę. Ale jest nadzieja. Czy w tej sytuacji mam odprawić twojego gościa, czy też poprosić go na górę?

Helena opadła bezradnie na poduszkę, zamknęła oczy i nerwowo przebierała palcami po jedwabnej kołdrze.

– Znowu będę śpiewać... Ingrid, znowu mogę śpiewać! O Boże, daj mi szansę, a ja... no cóż, tyle razy już obiecywałam, a potem nie dotrzymywałam słowa. Jestem głupia i lekkomyślna, i Pan Bóg ma rację, kiedy ostrzega mnie po raz drugi. Teraz jednak wiem, co zrobię, jeśli mi pomoże. – Ostatnie zdanie Helena powiedziała szeptem, a udając, że znów odebrało jej głos, dodała: – Poproś tu Herberta.

– Dobrze, a potem przekaz mi przez Metę, co dalej – Ingrid uśmiechnęła się i opuściła pokój nafaszerowany tyloma dziwnymi i niepotrzebnymi rzeczami. Ledwo zamknęły się za nią drzwi, na nowo rozgorzało piekło.

Meta szybko przebierała poduszki, pomagała Elenie ubrać się w rezedowo-zieloną podomkę, czesała i szczotkowała jej włosy, trzymała lustro, szukała pudru, a potem pomagała nałożyć na pogrubiałe palce dwa brylantowe pierścionki. Jakoś się udało.

– I widzisz, Meto, jak przytyłam? Paznokcie nie polakierowane... Jak ja pokażę takie ręce?!

– Manikiuru robić pani nie będę! – uprzedziła Meta ze złością.

– Nie bądź bezczelna, bo ani się nie obejrzysz, a znajdę sobie inną garderobianą – warknęła Elena przeglądając się uważnie w lustrze. Do blasku dawnej gwiazdy było jej jeszcze daleko, ale za to twarz wygładziła się i wyglądała jakby młodziej.

Szybkim ruchem zgarnęła do tyłu swoje czarne włosy, związała je żółtą wstążeczką, potarła dłońmi policzki i wciągnęła głęboko powietrze. Ze zboląłą miną oparła się o poduszki i szepnęła:

– Powiedz tam na dole, że doktor może przyjść.

– Może przygotować jakiś poczęstunek? W tym domu nikt nie ma pojęcia, jak podejmować gości.

– Zamknij się i przestań krytykować. Zjeżdżaj i nie pokazuj mi się na oczy, póki cię nie zawołam.

Meta mruknęła coś w rodzaju „ot mi wdzięczność”, ale na szczęście Elena tego nie słyszała. Z niespodziewanym dla niej samej napięciem oczekiwała na spotkanie z Herbertem. Czegoś podobnego nie przeżywała jeszcze nigdy, gdyż zawsze traktowała mężczyzn jak jeden z przedmiotów, które jej towarzyszyły w karierze. Czyżby coś się zmieniło? A może zakochała się w Herbercie? Właściwie nigdy się nad tym poważnie nie zastanawiała. Podobał jej się i tyle, ale żeby się od razu zakochać? Gdyby kazano jej wybierać między szczęśliwym życiem u jego boku, a – o Boże, to chyba niemożliwe! – a powrotem na scenę i do burzliwego życia wielkiej artystki... Och, nie miała wątpliwości, którą możliwość by wybrała! Śpiewać, śpiewać i jeszcze raz śpiewać! A co właściwie stało na przeszkodzie, by odzyskałszy głos, zatrzymać Herberta dla siebie? Nic, a więc warto się zastanowić!

Elena rzucała kolejne wyzwanie losowi i dziwnie szybko zapomniała o swoich poprzednich zobowiązaniach. Gdy szczęście znów do niej się uśmiechnęło, solenne obietnice poszły w ką.

XII

– Nie, mammo, tam gdzie byliśmy, dziewczęta nie tańczą hulagula ani też nie noszą spódnic z dojrzałych bananów. Znowu coś pokręciłaś i wprowadziłaś szanowne panie w błąd.

Horst siedział w staromodnie urządzonym salonie swojej matki, w gronie jej przyjaciółek, specjalnie dziś zaproszonych, by posłuchały opowieści jej bywałego w świecie syna. Wił się jak piskorz, a nie chcąc rozczarować matki, ani też zawieść starszych dam, dodał na poczekaniu:

– Banany, oczywiście, są.

– A ja myślałam, że w Afryce nie rosną, panie doktorze.

– Rosną, rosną, wielce szanowna pani sędzino! – przekonywał Horst bacząc pilnie, by nie pomieszać tytułów niezwykle czujnych, starszych dam. – Tylko w tych stronach gdzie byliśmy, kobiety nie używają ich jako ozdób.

– A co noszą?

– Zupełnie nic!

– Chyba pan nie chce powiedzieć, doktorze, że chodzą nago? – sucha panna nauczycielka groźnie zmarszczyła brwi.

– Och, nie dosłownie, droga pani! Wokół bioder mają przepasany sznur, do którego z tyłu przyczepiają kawałek skóry przysłaniający ich tłuste pośladki. W buszu na co dzień nikt nie zwraca uwagi na strój i wszyscy chodzą nago.

– Och, doprawdy wszyscy?

– No, prawie. Im bliżej wybrzeża tym więcej ubranych ludzi.

Matka skarciła go wzrokiem i szybko zmieniła temat uznając, że poprzedni zmierzał w niebezpiecznym kierunku: – A opowiedz no nam o polowaniu na lwy.

– Już ich nie ma.

– Co, w Afryce nie ma lwów? – zdziwiły się chórem.

– Obraziły się po ostatniej wizycie filmowców i pochowały się w dżungli.

– Słyszałyśmy, że podróżowała z wami pewna młoda dama.

– Oczywiście. Ale mogę panie zapewnić, że nie zemdlą ani nie piszczą ze strachu, kiedy pierwszy raz zobaczyła nagich jak palec Murzynów.

– O mój Boże, ale musiała się czuć, biedaczka! Ja chyba spaliłabym się ze wstydu.

– Ależ Gundi nie musiała chodzić tam nago! Może tak byłoby najwygodniej, ale miejscami było tyle pcheł i moskitów, że zjadłyby człowieka na amen. W innych okolicach mieliśmy od nich spokój, jednak atakowały nas polne wszy i wieczorami, przy ognisku, iskalimy je jeden drugiemu, jak robią to małpy, z tą różnicą, że wszy nie zjadaliśmy. Mówię wam, jest to zajęcie o wiele ciekawsze niż brydż.

Horst zmyślał i kłamał, byleby tylko spełnić oczekiwania pań, ale w końcu przestało go to

bawić. – Resztę opowiem wam kiedy indziej. Chce mi się potwornie spać – dodał, pocałował matkę czule w przedziałek, uklonił się podeksycytowanemu gremium i zniknął.

Wieczorem, przy kolacji, matka sięgnęła do jego gęstej blond czupryny: – Ależ z ciebie łobuz, Horst! Ty wiesz, co ja się teraz od tych bab nasłucham? Mnie jednak nie zbędzisz bajkami, więc czekam na rzetelną i prawdziwą relację z twojej wyprawy.

Horst pocałował ją w obie ręce, usiadł na podłodze, a położywszy głowę na jej kolanach opowiadał o wszystkim, co chciała wiedzieć.

– Mówisz, że ta dziewczyna bez sprzeciwu dzieliła z wami trudy wyprawy? Naprawdę ją podziwiam.

– Gundi jest wyjątkowo dzielna, twardsza niż niejeden mężczyzna. Ani razu nie słyszałem, żeby skarżyła się na upał, czy na niewygody w obozie, których przecież było bez liku. Bardzo kocha swojego brata i żeby się z nim nie rozstawać, zdecydowała się na tułaczkę po Afryce. Spisywała się znakomicie – utkwiał rozmarzony wzrok w kwiecistym dywanie i po chwili ożywił się: – Wiesz, kiedy pewnego razu jeden z naszych zachował się wobec niej agresywnie – co w tamtym klimacie wszystkim się zdarza – Gundi rzuciła się na niego jak furia i tak skopała po łydkach, że nieszczęśnik kulał jeszcze przez tydzień.

– Gdybyś się przy tym nie uśmiechał, pomyślałabym, że sytuacja dla tej małej musiała być niewesoła.

– Oj, na pewno nie! Sprawcą tego incydentu był lekarz, którego Sanders zaangażował ze względu na znajomość chorób tropikalnych. Zdolny facet, ale podpadł mi od razu, gdy zaczął lubieżnym wzrokiem wodzić za Gundi. Byłbym go sprzął zawczasu, ale Herbert prosił, żeby w czasie wyprawy nie wszczynać awantur. Dopiero kiedy Gwido, to jest doktor Berger, przesadził i zaczął Gundi, zapomniałem o wszelkich zakazach i dobrym wychowaniu. Tak mu przyłożyłem, że przez moment nie wiedział, czy jest na pustyni, czy za kołem podbiegunowym. Natychmiast mi ulżyło – uśmiechnął się na samo wspomnienie nauczki, jaką dał Bergerowi.

– Jakie to było nazwisko, które wymieniłeś?

– Czyje?

– Zejdźże na ziemię, chłopcze! Przecież pytam o tego człowieka którego pobiliś.

– Ach! Niejaki doktor Gwido Berger.

Matka podrapała się po nosie i spytała po chwili: – Jak wygląda ten twój doktor Berger?

Horst opisał mniej więcej dokładnie sylwetkę i twarz doktora. Pani Kriiger klasnęła w ręce i zawołała:

– A to ci historia! Posłuchaj: tu w sąsiedztwie mieszka od lat pewna wdowa, bogata, ale już niemłoda. Jakoś tak przed Nowym Rokiem zaręczyła się właśnie z doktorem Bergerem. Tak mi go przynajmniej przedstawiła, kiedy dumna jak paw zaprosiła mnie na herbatę. Prawdę mówiąc, nie bardzo mi się spodobał, ale ona jest w nim zakochana po uszy. Ostatnio chodziła markotna, bo jej narzeczony wyjechał na dłużej za granicę.

– Chwileczkę, coś mi tu nie gra. Doktor Berger, o którym ja mówię, jest żonaty i przedstawił

mi w Monachium swoją żonę, tuż przed naszym wyjazdem do Afryki. Nie może więc być to ten sam człowiek, któremu porachowałem kości.

– Na pewno zbieżność nazwisk jest tu zupełnie przypadkowa. A spytam cię z innej beczki... Może mi się zdaje, ale zmienia ci się głos, kiedy mówisz o tej małej Gundi Sanders.

– Ty pewnie słyszysz także, jak trawa rośnie! Na razie nic więcej ci nie powiem, a jak dojdzie do wesela, to zaproszenie na pewno ci przyślę.

Pani Kruger uśmiechnęła się zadowolona i nie pytała już o nic.

Kilka dni później napisała mu do Monachium, że narzeczony jej przyjaciółki, wdowy, wpadł z krótką wizytą, opalony jak Murzyn, gdyż właśnie wrócił z wyprawy do Afryki.

Horst przeczytał tę wiadomość z zainteresowaniem i nie miał już wątpliwości, że chodzi o „jego” Bergera, który – jak widać – lubi jeść chleb z kilku pieców na raz. W końcu to jego sprawa, więc niech się nie martwi. Spotkać się już więcej nie spotkają. Nie zasługuje na to. Rachunki wyrównali.

Po rozmowie z Heleną Ingrid zeszła na dół do salonu. Herbert stał przy oknie i patrzył na zatokę, a gdy usłyszał otwieranie drzwi, odwrócił się i ponownie ze zdziwieniem musiał przyznać, że ta śliczna blondynka robi na nim coraz większe wrażenie. Była w niej jakaś niezwykła szczerłość i serdeczność, tyle wdzięku, że w niczym nie przypominała swojej sławnej siostry. Tamtej jakby brakowało kobiecości, tego ciepła, które dostrzegł już wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy, a do którego tęsknił w gorącej Afryce, jak chyba tęskniłaby tamtejsza palma, gdyby posadzono ją tu, nad Bałtykiem.

Ingrid też cały czas myślała o tamtym spotkaniu i żal jej się zrobiło, gdy dowiedziała się, że tajemniczy nieznajomy jest narzeczonym Eleny i zapewne bardzo ją kocha. Szybko jednak pogodziła się z tym faktem i starała się odpędzić uparcie powracające wspomnienie. Cóż, kiedy w jej sercu powstała ogromna luka i poczucie strasznego osamotnienia. Z wielkim wysiłkiem zdobyła się teraz na uśmiech i obojętny ton głosu.

– Panie doktorze, może pan być pewny, że czeka pana radosne przyjęcie. Wiadomość o pańskim przybyciu wywołała tam na górze prawdziwą burzę.

Machnął ręką i uśmiechnął się ironicznie: – Znam, znam te burze przechodzące przez pokoje Eleny. U niej nic nie może odbyć się spokojnie, zawsze musi być wiele szumu, ale taka już jest i chyba nigdy się nie zmieni. Domyślam się, że czuje się dobrze i będę mógł z nią porozmawiać.

– Oczywiście. Co najciekawsze, właśnie w czasie naszej rozmowy Helena pierwszy raz przemówiła czystym, donośnym głosem. Nieznośna chrypka ustąpiła jak ręką odjął!

– Bardzo się cieszę, bo obawiałem się, że choroba strun głosowych, może mieć podłoże psychiczne, a wtedy byłaby nieuleczalna.

– Przyczyną było bez żadnej wątpliwości wyczerpanie organizmu. Tak twierdzili obaj austriaccy lekarze, a ich diagnozę podtrzymuje także doktor Burger. Wszyscy trzej zalecają tę samą kurację – Helena musi przybrać na wadze. Nawet pan sobie nie wyobraża, doktorze, jaki ciężki bój stoczyliśmy, zanim udało nam się ją do tego przekonać. Teraz nie ma kłopotów, a tu i

ówdzie widać już wyraźne zaokrąglenia – dodała Ingrid uśmiechając się wesoło.

– Mój Boże, w takim razie, co się stanie z obcisłymi kreacjami prosto z Paryża?

– Może z dwóch da się zrobić jedną!

– Och, panno Boorsten, to pani nie wie, jak Elena potrafi grymasić?

– W przeciwieństwie do mnie, gdyż ja w ogóle nie znam się na modzie – powiedziała szczerze, bez cienia żalu. Usiadła przy oknie, wzięła robótkę i popatrzyła na Herberta. – No, teraz może już pan iść do Heleny, bo na pewno bardzo się stęskniła.

Herbert chciał coś powiedzieć, ale nastrój powagi, jaki wytworzyła blondwłosa kobieta, zupełnie odebrał mu mowę.

– Gdyby pan chciał napić się kawy lub herbaty, doktorze, to proszę przysłać Metę. Ona pana obsłuży.

– Dziękuję, panno Boorsten. Pozwoli pani, że wpadnę jeszcze na słówko przed wyjazdem?

– O ile będę wtedy w domu, doktorze, bo za jakąś godzinkę wyjdę na spacer.

Nie wiedział co odpowiedzieć, zacisnął tylko usta i wyszedł.

W wyłożonej ceglami sieni czekała Doris, która na polecenie Ingrid miała zaprowadzić gościa na górę. Tam w szeroko otwartych drzwiach czekała już Meta, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Och, doktorze! Co za radość dla nas, że możemy pana powitać w tym zaścianku! Madame tak się stęskniła i codziennie pana wspominała. Pani może odejść, Doris. Tu na górze ja zajmę się gościem – machnęła pogardliwie na staruszkę.

Herbert zmarszczył czoło, wyraźnie niezadowolony z wylewnego powitania. Po prostu nie znosił spoufalającej się służby. Ostentacyjnie uklonił się Doris i podał jej rękę. – Dziękuję, że pofatygowała się pani aż tutaj – rzekł, a stara Doris nie zapomni mu tego do końca życia.

Herbert wszedł za garderobianą do dużego, ale niskiego pokoju, rozejrzał się i zdecydowanym krokiem podszedł do staromodnego łóżka, nakrytego kosztowną, jedwabną narzutą. Elena ze zboląłą miną leżała na koronkowych poduszkach, na jej bladej twarzy błąkał się uśmiech zaprawiony cierpieniem. Jedną ręką trzymała się za gardło, które jakoby wciąż bardzo bolało, a drugą uniosła z trudem podając mu ją do pocałowania.

Mimowolnie Herbertowi przypomniawszy jej rolę w „Traviacie” Verdiego i scena z ostatniego aktu, gdy śmiertelnie chora Traviata żegna się z ukochanym leżąc w luksusowym łóżu. Po odśpiewaniu wzruszającej arii bohaterka umiera.

Z trudem powstrzymywał się od uśmiechu, kiedy całował dłoń Eleny, pogłaskał ją po włosach i usiadł na podsunętym przez Metę krześle.

– Przyjechałem, Eleno, najszybciej jak tylko mogłem i cieszę się, że zaczynasz zdrowieć.

Machnęła ociężale ręką, próbowała się podnieść, a zdziwiona, że nie rzucił się „ciężko chorej” na pomoc, szepnęła ledwo słyszalnym głosem:

– Prawdziwy cud, że zastałeś mnie przy życiu... było już ze mną bardzo źle. Strasznie się wycierpiałam. Opuścił mnie mój głos, czy ty rozumiesz, jaka to dla mnie tragedia?

– Doskonale rozumiem, kochanie. Ale słyszałem od twojej siostry, że jest nadzieja na całkowite wyleczenie.

– Niby jest, ale trzeba mieć dużo cierpliwości – przytuliła się lekko do niego i zobaczyła Metę, niby czymś zajęta, ale pilnie przysłuchującą się ich rozmowie.

– Nie powiedziałam ci, że masz czekać za drzwiami? – Tym razem jej głos zabrzmiał już bardzo wyraźnie, a ręce błyskawicznymi ruchami sięgały po poduszkę. – Wynoś się stąd, grubasie! – usłyszał Herbert krzyk i obejrzał się za wirującą w powietrzu poduszką.

Pokiwał głową: Tak, to wciąż była ta sama Elena. Pewnie spostrzegła, że źle zagrała swoją rolę, bo nagle wyczerpana opadła na poduszkę, uśmiechnęła się boleśnie i rzekła szeptem:

– Wyobraź sobie, że po premierze w Salzburgu nagle nie mogłam wydobyć z siebie głosu. To było straszne przeżycie, ale wszyscy starali się podtrzymać mnie na duchu, dosłownie tonęłam w kwiatach. Dwaj lekarze, w tym jeden profesor, radzili, bym natychmiast zmieniała klimat na zimniejszy i wilgotniejszy. I takim zrządzeniem losu wróciłam do rodzinnego domu, jak jakiś przelotny ptak.

– A w domu, jak to w domu, należy przytyć i nabrać trochę ciała. Pamiętasz, jak wtedy, gdy spotkaliśmy się we Frankfurcie, mówiłem ci, że ta nieszczęsna dieta ci zaszkodzi? W twoim zawodzie potrzeba dużo sił, a skąd je miałaś brać?

– Aleja nie chcę być gruba! Popatrz na moją twarz, już wyglądam jak pucułowaty bobas.

– To akurat ma najmniejsze znaczenie. Najważniejsze, że wyzdrowiejesz, a być może wkrótce zaczniesz próby i znowu gwiazda Eleny Gerber zabłyśnie na scenie.

– Och, Herbercie, słucham twoich słów jak bajki! Błagam cię, nie zostawiaj mnie już samej. Potrzebuję miłości, twojej wiary w wyzdrowienie. Musisz zostać przy mnie.

Głaskał ją delikatnie po rękę i kręcił lekko głową.

– Wiesz przecież, Eleno, że to niemożliwe. Po pierwsze, mam obowiązki zawodowe, a po drugie, nie mogę być stałym gościem w Boorstenhaus. Ale obiecuję, że będę przyjeżdżać bardzo często i spełniać każde twoje życzenie, aż znowu staniesz się sławną Eleną Gerber.

– Tak mówisz, a mojego pierwszego życzenia już nie chcesz spełnić: Tak postępujesz zawsze. Dlaczego nie pojechałeś ze mną do Salzburga? Gdybyś tam był, ta straszna przygoda na pewno by mi się nie przydarzyła – pociągnęła nosem. – I nie wylądowałabym w tym okropnym domu, w tej ponurej okolicy.

– Nie bądź niesprawiedliwa, Eleno, bo sama chciałaś, by cię tu przywieziono. Mnie ten dom się podoba, a okolica wręcz zachwyca.

Klimat jest doskonały i dzięki niemu twoje zdrowie szybko wraca do normy. Tak przynajmniej uważa twoja siostra.

– Phi, ona i ten głupekowaty doktor! Zmówili się i razem mnie maltretują. A przy okazji: jak podoba ci się Ingrid w tych niemiłosiernie staromodnych sukniach?

– Nie zmieniałaś się ani trochę, Eleno. Uważam, że twoja siostra jest bardzo ładną dziewczyną, w typie, jaki chyba można znaleźć tylko tu, nad Bałtykiem. Zupełnie nie jesteście do

siebie podobne.

Przymrużyła swoje wielkie czarne oczy.

– Twoim zdaniem, Ingrid jest ładna? Kwestia gustu. W każdym razie jest na swój sposób zarozumiała i cały czas mną komenderuje.

– Wszystko robi dla twojego dobra, kochanie. Masz jednak wybór i kiedy wyzdrowiejesz, wyjedziesz i zapomnisz o tym domu, choć prawdę mówiąc, będzie szkoda. Powroty do rodzinnego domu są zawsze bardzo wzruszające.

– To już nie jest mój dom. Ojciec wypłacił mi należną część spadku, kiedy uczyłam się śpiewu w Paryżu. Mogę się tu czuć co najwyżej jako gość Ingrid.

– Więc korzystaj z gościny i zdrowiej jak najprędzej. Życzę ci tego z całego serca.

– Dziękuję. Ty zawsze potrafisz być tak straszliwie poprawny, że czasami aż nudny. Mimo to chcę, żebyś poświęcił mi każdą minutę wolnego czasu, albo znowu stanę się nieznośnie nerwowa.

– Nie potrzebujesz mnie straszyć, Eleno, dopóki odczuwam wewnętrzną potrzebę częstego i długiego przebywania blisko ciebie. Co zamierzasz robić dalej, kiedy już wyzdrowiejesz całkowicie? Podpiszesz nowe kontrakty?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Naprawdę uważasz, że powinnam już teraz tym się martwić? Tak bardzo wierzysz, że znów będę mogła śpiewać?

– Oczywiście, Eleno! I ty też musisz w to uwierzyć?

– Cóż, w razie czego wezwę mojego sekretarza, korepetytora i oczywiście agentów. Boże, dlaczego właściwie ja leniuchuję? Widzisz, do czego mi jesteś potrzebny?! Musisz po prostu zawsze przy mnie być!

– Nie muszę, kochanie, ale chcę! Daj mi jednak trochę czasu na zastanowienie, a znajdę jakieś wyjście, które zadowoli wszystkich.

Pamiętaj, że nie mogę stale siedzieć na karku twojej siostrze i będę musiał znaleźć jakąś kwaterę. Dotyczy to także wszystkich, których chcesz zaprosić tu, do Boorstenhaus.

– Herbercie, tu nie ma fortepianu! – przypomniała sobie nagle Elena. – W tym okropnym domu nigdy nie było fortepianu! – krzyczała zrozpaczona, aż Herbert musiał się uśmiechnąć.

– Widzisz, kochanie?! Potrafisz już krzyżeć i mówić całkiem wyraźnie – głąskał ją po głowie jak rozpieszczone dziecko. – Sama przyznasz, że wracasz już do formy. Niedługo zaczniesz śpiewać i cieszyć swoim głosem miłośników muzyki na całym świecie. Tylko błagam cię: nie stosuj żadnych diet i nie pij więcej tych obrzydliwych soków z warzyw zamiast normalnych posiłków. Ciężko pracujesz i twój organizm potrzebuje sił, nie zapominaj o tym.

– Ale wtedy będę gruba jak ta Albicci.

– Jak będziesz pięknie śpiewać, to publiczność wybaczy ci tych kilka fałd tu i tam.

– A ty nie przestaniesz mnie kochać?

– Uważasz, że miłość i uwielbienie mierzy się na wagę? Jak na pierwszą wizytę, to chyba

rozmawiamy już za długo, nie uważasz, pacjentko? Z tym fortepianem spróbuję coś załatwić, ale najpierw muszę porozmawiać z twoją siostrą.

– Niepotrzebnie traktujesz Ingrid tak poważnie, w końcu to czysty przypadek, że Boorstenhaus należy do niej, ^a nie do mnie.

– Pozwól, że zostanę przy swoim zdaniu – rzekł zaskoczony takim postawieniem sprawy. – Zależy ci na konkretnym instrumencie dobrej marki, czy też jest ci to obojętne?

– W tym klimacie nawet najlepszy instrument po kilku dniach będzie skrzeczał jak wrona.

– Na ciebie jednak ten klimat podziałał jakby w odwrotnym kierunku. Nie bądź zgryźliwa, Eleno. Skontaktujesz się ze swoimi ludźmi sama, czy też chcesz, żebym ja to zrobił?

– Jak ja, chora osoba, mam się zabrać za pisanie listów? – załamała ręce w teatralnym geście.

– Wyślij depezę, to nie wymaga wielkiego wysiłku! – uśmiechnął się całując Elenę w obie ręce. Pocałował ją czule w usta, a gdy wstał, rzekła: – Czuję chłód, mój drogi. Kiedyś całowałeś mnie bardziej namiętnie.

Poczuł się dotknięty, ale zdobył się na uśmiech i odpowiedział:

– Tylko że ty nie byłaś wtedy chora, moja biedna ptaszyno!

– Uważasz, że jestem śmieszna? Trudno, muszę się z tym pogodzić, skoro nie mogę się bronić. Pamiętaj, Herbercie: bardzo cię teraz potrzebuję.

Patrzyła na niego pożądliwym wzrokiem chciwca próbującego wyłowić kufer złota porwany mu przez wzburzoną rzekę, a Herberta aż przeszły ciarki. Ukłonił się jeszcze raz, a w drzwiach odwrócił się i rzekł: – Zrobię to, co ci obiecałem, Eleno. Bywaj zdrowa i do zobaczenia wkrótce.

– Znowu odezwał się ugrzeczniony chłopczyk?

– Nie wszystko ode mnie, zależy, pamiętaj! – pomachał jej i zamknął za sobą drzwi.

Gruba Meta stała tuż obok i nie ulegało wątpliwości, że cały czas podsłuchiwała. By nie przejść bez słowa, Herbert polecił, żeby dobrze opiekowała się panią.

– A może mogłabym przygotować panu coś do zjedzenia, panie doktorze?

– Proszę sobie nie robić kłopotu – rzekł schodząc szybko po schodach.

Przez otwarte drzwi do kuchni zobaczył krzątającą się tam Doris. Wsadził głowę i uśmiechnął się. – Nie wie pani, gdzie mógłbym znaleźć pannę „Boorsten”?

– Spaceruje nad zatoką, gdzieś niedaleko domu. A nie napiłby się pan gorącej herbaty, panie doktorze? Mamy dziś wyjątkowo chłodny dzień.

– Chętnie, jeśli nie sprawię pani za dużo kłopotu.

Doris machnęła tylko ręką i sięgnęła po tacę, by poukładać na niej sztuczki i talerzyki.

– Niech pani niczego nie przygotowuje. Usiądę w kuchni, a jeśli się pani nie pogniewa, to poproszę o kawałek tego apetycznie wyglądającego ciasta.

Za takie wyróżnienie stara Doris gotowa była nosić Herberta na rękach. Cała w skowronkach usługiwała mu, gdy zasiadł przy wielkim kuchennym stole z sosnowych desek.

– Ja tam nie mam nic przeciwko, panie doktorze, ale jeśli panu nie przeszkadza skromna kuchnia...

– Droga pani Doris, niedawno wróciłem z Afryki, gdzie z kolegami i moją siostrą wędrowaliśmy po buszu. Zapewniam panią, że jedliśmy posiłki w znacznie skromniejszych warunkach.

– Ta Afryka! To prawda, że tam wszyscy ludzie są czarni?

– Prawda! Ale jak tam słońce praży przez cały rok... Już dawno nie piłem tak smacznej herbaty. Ta, którą parzył nam Jochen, zawsze zalatywała denaturatem.

– Dziwię się ludziom, że im się chce włączyć w upale i znosić same niewygody.

– Badacze i naukowcy to lubią, ale mojej siostrze, która pojechała dla rozrywki, też się spodobało.

– Lubię takie odważne kobiety, a nie znoszę rozpieszczonych, co to same nie wiedzą, jak zmarnować dzień, który im Pan Bóg dał.

Doris znacząco wskazała nożem kuchennym na sufit, a Herbert, wiedząc, kogo ma na myśli, wołał się nie odzywać. Podziękował za herbatę i ciasto, a potem poprosił o pokazanie ścieżki, po której spacerowała panna Boorsten.

Doris stała w drzwiach, obie ręce – tę, w której trzymała nóż również – oparła na biodrach i pokiwała ze smutkiem głową. Szkoda, że panna Ingrid nie trafiła wcześniej na tego doktora. Na pewno ten wieprz Berger nie miałby u niej żadnych szans!

Herbert szedł wskazaną przez Doris ścieżką i rozkoszował się czystym, wilgotnym i rześkim powietrzem znad zatoki, jakby chciał wyrzucić z płuc to ciężkie i przesycone zapachem perfum, którego nawdychał się w pokoju Eleny.

Ta kobieta nie zmieniła się ani trochę. Kapryśna, przewrotna, nieszczerą wobec siebie i innych, zakłamaną i zupełnie nie panującą nad swoim pełnym temperamentu charakterem. Czy on wciąż jeszcze ją kocha, jak przed laty, gdy oślepiła go gorąca namiętność do słynnej śpiewaczki? Nie, z całą pewnością nie! To, co kiedyś było miłością, przerodziło się w poczucie przyjacielskiego obowiązku. Wypełni go, żeby jej nie urazić, ale tylko do czasu, kiedy ona znów stanie na nogi i znów odstawi go na boczny tor, jak robiła to dotychczas.

Uświadomił to sobie teraz, gdy w jego życiu pojawiła się kobieta, dla której gotów byłby oddać wszystko, gdyby tylko mógł.

A nie może... Herbert pocierał czoło, zastanawiając się co robić. Spotkać się z tą uroczą blondynką, czy też wyjechać bez słowa, nie bacząc na konsekwencje? Nie, tego nie robi. Musi... chce jeszcze raz ją zobaczyć, a co zrobi później, zależy od tego, jak ona się zachowa.

W tym momencie zauważył Ingrid wychodzącą zza drzew, idącą mu naprzeciw. Porywisty wiatr dmuchał jej w twarz i dokładnie napinał grubą suknię i płaszcz na jej ciele, a Herbert dopiero teraz mógł dostrzec, jaką miała zgrabną i szczupłą sylwetkę. Jasne blond włosy fruwały na wietrze jak wiązki złocistej pszenicy. Smukłymi palcami przytrzymała szal okręcony wokół szyi.

Ingrid także myślała o sobie i o mężczyźnie, który teraz rozmawia z Heleną. Jakże on musi ją kochać, skoro przyjechał do niej aż z drugiego końca świata.

Nagle podniosła oczy i zobaczyła tego mężczyznę stojącego naprzeciwko i przyglądającego jej się w milczeniu. Patrzyli na siebie przez chwilę, jakby zasłuchani w muzykę dzikiej, współzależnej przyrody. Wiatr wściekał się na las, który nagle stanął mu na przeszkodzie, gdy rozpedzał się nad zatoką. Trzciny, ścieląc się niemal po powierzchni wody, pojękiwały i groźnie posykiwały, zmagając się z nawałnicą przy wtórze głośniego krzyku mew, które tnąc wiatr ostrymi dziobami, próbowały odpędzić intruza.

A ci dwoje stali jak niemi świadkowie rozgrywającej się bitwy. Ingrid z półotwartymi ustami patrzyła na Herberta, zupełnie nie wiedząc, że pokazuje mu jak na dłoni swoje zakochane w nim serce.

Dostrzegł to od razu i miał ochotę krzyknąć z radości, ale ona jakby się ocknęła, odgarnęła włosy z czoła i rzekła przepaszającym tonem:

– Marznie pan tu u nas, doktorze. Wrócił pan dopiero co z gorącej Afryki.

– Czuję się znakomicie, a afrykańskiej suszy i upałów mam już naprawdę dosyć. Ma pani pół godziny czasu, bo chciałbym o czymś ważnym porozmawiać?

– To może pójdziemy do domu?

– Jak pani sobie życzy, bo ja chętnie przejdę się kawałek wzdłuż zatoki. Człowiek zwiedził już pół świata, a nie ma pojęcia, że u nas są tak urocze zakątki jak tutaj.

– Ja znam tylko ten zakątek, a ponieważ tu się urodziłam, podoba mi się najbardziej. Pan chyba też lubi swoje rodzinne strony?

– Oczywiście. Góry Taunus, gdzie mieszkam z siostrą w willi naszych rodziców, są piękne, ale brakuje tam tej przestrzeni, która tutaj daje mi poczucie swobody. I to powietrze... lecznicze, rzekłbym, co widać na przykładzie Eleny.

– No właśnie, co sądzi pan o stanie jej zdrowia?

– Próbuje dramatyzować. Niby tak słaba, że ledwo porusza rękoma, ale kiedy się złości, natychmiast odzyskuje siły.

Ingrid uśmiechnęła się.

– Helena zawsze taka była. Pamiętam, gdy byliśmy dziećmi, a nawet później, zanim położyłyśmy się spać, ona zawsze musiała odegrać jakąś rolę. Raz była lwem i ryczała tak groźnie, że przerażona Doris bała się wejść do naszego pokoju, innym razem miauczała pod drzwiami jak kotka, albo udawała srokę, wprowadzając służbę i domowników w błąd. Kiedyś, już znacznie starsze, byliśmy w Lubece w teatrze i od tamtego czasu co wieczór musiałam oglądać moją siostrę w roli Desdemony, podczas gdy ja odczytywałam jej rolę Otella. Traktowałam to jako zabawę, natomiast Helenie ktoś powiedział, że ma talent aktorski. To tego czasu było wiadomo, że nie zostanie w Boorstenhaus. – Ingrid zamyśliła się przez chwilę i ciągnęła dalej: – Sprzeczki z ojcem były już nie do wytrzymania, a Helena, wyjątkowo uparta jak na swój wiek, doprowadziła do tego, że ojciec wypłacił jej należną część posagu, a ona jako siedemnastoletnia dziewczyna uciekła do Paryża i zapisała się na naukę śpiewu. Jak widać, nie zmarnowała szansy. Ja w każdym razie nie miałabym dość odwagi, żeby przeciwstawić się ojcu,

ani tym bardziej, by uciec sama do nieznanego świata.

Szli powoli obok siebie, a Herbert zerknął na Ingrid i rzekł jakby mimo woli: – Moim zdaniem, dobrze pani zrobiła. Elena to przeciwieństwo pani, panno Boorsten. Ale, jeżeli pani pozwoli, chciałbym powrócić do sprawy, dla której tu do pani przyszedłem. Mówiłem już o decyzjach, które przedstawiła mi Elena, a w których następstwie czekają panią wizyty nie zawsze sympatycznych ludzi, w tym także i moje.

Ingrid popatrzyła na niego ze spokojem i uśmiechnęła się:

– Naprawdę pan uważa, że zaliczę pana do grona niesympatycznych gości? Chcę, żeby Helena była zadowolona, a poza tym w Boorstenhaus jest dosyć miejsca dla wszystkich.

Herbert już miał na końcu języka pytanie, czy ona też będzie zadowolona z jego wizyt, ale w tym momencie Ingrid podniosła rękę i pokazała zabudowania stojące w pobliżu dworku.

– W tamtym domku dla gości, zawsze było gwarno, kiedy ojciec prowadził interesy z przedsiębiorcami przyjeżdżającymi nieraz z bardzo daleka.

– A dziś ten domek nadaje się do zamieszkania? Pytam nie bez powodu.

– Meble stoją tam jak dawniej, ale luksusów raczej niech pan się nie spodziewa.

– Wie pani, nagle przypomniała mi się moja siostra. Tułała się z nami po Afryce i tak sobie pomyślałem, czy nie przydałoby się jej kilka tygodni odpoczynku w tym pięknym miejscu. Byłby to dla pani wielki kłopot, gdyby tu przyjechała?

Mile zaskoczona, kręciła głową i szybko odpowiedziała:

– Ależ skąd! Żaden kłopot, wręcz przeciwnie – będzie mi miło poznać pańską siostrę. Przyjmę ją chętnie w Boorstenhaus, bo domek dla gości nadaje się raczej dla mężczyzn.

– Wspaniale! Znam nawet dwóch takich, którzy też potrzebują wypocząć i byłiby zachwyceni, gdyby mogli także przyjechać. Ale dla pani to byłaby już prawdziwa inwazja! – zaśmiał się i opowiedział o Svenie, który przed wyprawą na wieloryby musi przyzwyczaić się do ostrego klimatu, a także o Horście, bliskim przyjacielu jego i Gundi. – Mogłaby pani przyjąć całą trójkę?

– „Gość w dom – Bóg w dom” – jak mawiał mój ojciec, gdy ktoś zapukał do drzwi. Bardzo jestem panu wdzięczna za podesłanie mi gości. Czasami czuję się tu okropnie samotna, zwłaszcza po powrocie z Salzburga, gdy zobaczyłam, jak żyją inni ludzie.

Herbert chwycił jej zwisającą bezradnie rękę i mocno uściśnął ją w swoich dłoniach.

– W tym towarzystwie na pewno pani nie będzie czuła się samotnie. A co do kosztów ich pobytu, to pozwoli pani, że porozmawiam z Doris, bo te dwa żarłoki spustoszyliby Boorstenhaus w dwa dni.

Przez chwilę Ingrid zwlekała z odpowiedzią.

– Na wszelki wypadek wolę się zgodzić, ale tylko co do wyżywienia obu mężczyzn. Natomiast pańska siostra będzie wyłącznie moim gościem. Domyślam się, że chce pan zafundować odpoczynek wszystkim uczestnikom pańskiej wyprawy do Afryki?

– Owszem, prócz jednego, który odłączył się w Dakarze, a teraz pewnie przebywa w

Lizbonie. Był naszym lekarzem, specjalistą od chorób tropikalnych. Niestety, nie układało nam się najlepiej i zdecydowaliśmy się nie podtrzymywać tej znajomości. O jednego gościa będzie pani miała mniej, chyba że doliczyć jeszcze fortepian, który obiecałem przysłać Elenie.

Ingrid załamała ręce: – Fortepian w Boorstenhaus?! W naszym staromodnym domu pasuje jak kwiatek do kożucha!

– Proszę nie krytykować tego starego domu, panno Boorsten. Sam chciałbym w takim mieszkać. Cóż, to chyba omówiliśmy już wszystko. Aha... jeszcze adres tego doktora, który opiekuje się Eleną; muszę z nim porozmawiać.

– Nasz stary doktor na pewno się ucieszy. Ale jaki on ma adres? Nigdy się nie zastanawiałam! Mieszka w każdym razie w domu na lewo obok ratusza.

– Pamiętam ratusz. A czy nie jest to ten dom, z którego pani wychodziła, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz?

Zaczerwieniła się i ze schyloną głową wpatrywała się w czubki swoich butów, ale odpowiedziała wyraźnie, obojętnym tonem:

– Nie, ja wychodziłam z domu po prawej stronie. Musi pan przejść obok ratusza, a następny dom to będzie ten, w którym mieszka doktor.

Dochodzili już do Boorstenhaus, ale Herbert szedł prosto do samochodu.

– Ależ to monstrum! – zawołała Ingrid. – Elena ma jeszcze większy i wszyscy w okolicy przychodzili go oglądać. Tutaj rzadko się widzi takie cuda.

– No, nie powiem! Sam zobaczyłem coś, co mnie zaskoczyło, a mianowicie konie w zaprzęgu! W miastach się koni nie widuje wcale, a bryczki młodzież ogląda w muzeach i dziwuje się, że ich dziadkowie podróżowali czymś takim.

– To były spokojne czasy. Myślałam, że zwariuję w Salzburgu od tego ruchu samochodów, a przez ulicę przechodziłam zawsze z duszą na ramieniu. Dokąd ci ludzie tak się wszyscy śpieszą?

– Takie to czasy! Ludzie już nawet nie wiedzą, że można żyć spokojnie i bez stresów. Cóż, pożegnaj się już z panią, bo i tak zmarnowała pani przeze mnie dobrą godzinę.

– Tutaj nikt nie liczy godzin, doktorze. Czas płynie tu niemiłosiernie powoli i aż się boję tej nudy, która znowu powróci, kiedy Helena wyjedzie z Boorstenhaus.

Herbert odruchowo chwycił ją za rękę, popatrzył jej w oczy i rzekł:

– Jakiś czas będzie pani miała towarzystwo mojej siostry, a gdzie jest Gundi, tam nie ma miejsca dla nudy. Dziękuję jeszcze raz, panno Boorsten za wszystko, co pani zrobiła dla Eleny, a także za zaproszenie moich hałaśliwych przyjaciół. Mam nadzieję, że obie z Gundi jakoś sobie z nimi poradzicie.

– Już się cieszę na ich przyjazd – rzekła cicho i delikatnie oswobodziła rękę z jego uścisku. Pomachała i spokojnym, dumnym krokiem odeszła w stronę domu.

Patrzył chwilę za nią i był pewien, że nie zapomni jej nigdy. Dlaczego los nie zetknął go z tą kobietą wtedy, gdy nie miał jeszcze żadnych zobowiązań? Zakochałby się w niej od razu, a może już jest zakochany? Nie wolno mu się zakochać, to nie miałyby sensu. Związał się z Eleną i nie

może jej zostawić, zwłaszcza że ona go potrzebuje.

Taki los – ślepy i nieodwracalny.

W Wolgraben Herbert odbył długą, ale rzeczową rozmowę z doktorem Burgerem, który ostrzegł, że jeżeli pacjentka nie posłucha jego zaleceń i znowu zacznie się odchudzać, to ani się obejrzy, kiedy jej głos diabli wezmą, a wtedy już nikt i nic nie będzie w stanie jej pomóc. Herbert mógł tylko obiecać, że wykorzysta wszystkie swoje wpływy, by Elenę przekonać i umożliwić jej pełny powrót na scenę. Chciał pomóc jej, ale myślał też o sobie. Zapowiedział, że przyjedzie znowu i przy okazji chętnie wprosi się na dłuższą pogawędkę do sympatycznego doktora.

XIII

– Jak myślisz, Gundi, czy nasz Horst mógłby wziąć kilka dni urlopu? – spytał Herbert siedząc z siostrą w salonie ich willi.

Gundi popatrzyła z niedowierzaniem.

– Masz jakieś ukryte zamiary?

– Oczywiście.

– I oczywiście, nie masz ochoty mnie wtajemniczać.

– Chyba, że moje plany spełnią się co do joty.

– A do ich spełnienia potrzebny ci Horst?

– Sven Holm również.

– Jeszcze tylko powiedz, że potrzebny ci też ten wredny doktor.

– O nie! Jego nie chcę już widzieć na oczy. Ale dobrze by było, gdyby ci dwaj mieli jeszcze trochę urlopu.

– Wystarczy sięgnąć po telefon i zadzwonić do Monachium.

– Rzeczywiście! Jestem jednak zmęczony długą jazdą i nie miałbym nic przeciwko temu, żeby wyręczyła mnie w tej czynności moja sympatyczna siostrzyczka.

Uśmiechnęła się wyraźnie zadowolona.

– Od razu wiedziałam, że nie bez powodu postawiłeś przed chwilą podchwytliwe pytanie. Cóż, poświęcę się i zadzwonię do tego zarozumiałca Krugera – Gundi jeszcze nie skończyła mówić, a już sięgnęła po aparat i z pamięci wykręciła numer w Monachium. – Wyobraź sobie, że przy pożegnaniu posunął się do tego, iż zażądał, abym codziennie pisała do niego list miłosny. Czy on nie przesadza?

– Pewnie, ale już go uprzedziłem, że na list od ciebie raczej niech nie liczy.

– O, ktoś się zgłasza! – Na jej twarzy pojawił się nagle rozmarzony uśmiech, przymrużyła oczy i odezwała się miłym tonem.

– Szczęść Boże, doktoru, jak leci?

Na drugim końcu linii Horst z płomiennym uśmiechem spytał:

– Czyżbym usłyszał głos mojej najdroższej Gundi?

– Owszem, ale nie wyobrażaj sobie, że usycham z tęsknoty i dlatego dzwonię. To Herbert chce z tobą rozmawiać.

– Szkoda, wolałbym posłuchać kogoś bardziej stęsknionego. Jest u mnie nasz Szwed; przesyła wam pozdrowienia i pyta, czy ciągle jesteś tak ładna.

– Powiedz mu, że jeszcze wyładniałam.

Herbert jednak odebrał jej słuchawkę i spytał wprost, czy obaj ze Svenem nie zechcieliby się wybrać na urlop nad Bałtyk, tam, gdzie aktualnie przebywa Elen Gerber. Uzgodnił już wszystko

z właścicielką Boorstenhaus i mogą wyjechać natychmiast.

– Mój szósty zmysł podpowiada mi, że bardzo chciałbyś nas tam wysłać.

– Racja, ale nie wbrew waszej woli.

– Cóż, jeżeli nie oczekujesz od nas, że będziemy zabawiać wielką divę rozmowami o muzyce, to jakieś dwa tygodnie urlopu bym wyskrobał. Szwedziak może zostać dłużej, ale wiem, że nie zostanie. Mów więc, o co chodzi.

– Właśnie zamierzałem to zrobić. Przede wszystkim wasza zgoda sprawiłaby mi wielką przyjemność. Pokrywam wszystkie koszty pobytu, a jak wypoczniecie, to już wasza sprawa.

– Od tego trzeba było zacząć, stary. Szwed podsłuchuje i aż zaciera ręce. Czerpanie z twojego portfela podoba mu się również, więc mów szybko: jak, kiedy i gdzie?

Herbert przedstawił wyczerpująco swoją propozycję.

– Jeżeli dobrze zrozumiałem, to mamy spakować tylko szczoteczki do zębów i kupować bilety lotnicze do Frankfurtu, oczywiście, na koszt doktora Sandersa.

– Wszystko pokrywam, przecież powiedziałem.

– Niech mnie kaczka kopnie, jeśli domyśle się, o co tobie chodzi.

– Nie szukaj zaczepki wśród kaczek. Przebieraj się i wsiadaj do samolotu, a nad zatoką ptactwa jest tyle, że kopniaków nabierasz nie tylko od kaczek. Przynajmniej wypoczniecie obaj ze Svenem na świeżym i rześkim powietrzu. Należy wam się to po Afryce.

– Dziękujemy! Pozdrów od nas małą Gundi. Wkrótce się zobaczymy.

Herbert odłożył słuchawkę i zobaczył wielkie oczy Gundi utkwione w jego twarzy.

– Proszę cię, Gundi – uprzedził ją. – O nic nie pytaj, niczego nie podejrzewaj, a bez szemrania spełnij moją prośbę. Mogę na ciebie liczyć?

Wstała, podeszła do okna i bawiąc się włosami, rzekła jakby do siebie: – Jestem więcej niż pewna, że nie ma to nic wspólnego z Eleną, ale obiecuję, że zrobię wszystko, czego ode mnie oczekujesz. Opowiedz mi więc szczegółowo, co mam w Boorstenhaus robić, bo nie chciałabym palnąć jakiegoś głupstwa lub być nietaktowna.

– Jesteś wyjątkowo wyrozumiałą przyjaciółką, Gundi, co od razu wprawia mnie w zakłopotanie. Zacznę od tego, że ty będziesz gościem w Boorstenhaus, w domu siostry Eleny, natomiast obaj panowie zamieszkają w domku gościnnym, powiedzmy, jako letnicy.

– Jaka jest ta siostra Eleny? Podobna do niej? Herbert zwlekał trochę z odpowiedzią.

– O nie! Panna Boorsten jest zupełnie inna: miła blondynka, bardzo spokojna i zrównoważona. Ubiera się trochę staromodnie, ale prawie nie opuszcza Boorstenhaus, więc skąd ma wiedzieć, co teraz się w świecie nosi?

Gundi słuchała i po tonie wypowiedzi brata od razu zorientowała się, że coś go gnębi.

– Mówiłeś, że istnieją duże szanse na całkowite wyleczenie Eleny, a to oznacza, że wyjedzie z tamtego pustkowia i wróci do swojego świata teatru.

– Życzę jej tego z całego serca.

– Twoja sytuacja nie zmieni się nic a nic, bo Elena Gerber, jako wielka gwiazda światowej

sławy, nigdy nie zostanie twoją żoną. Dalej wszystko pozostanie między wami po staremu.

– Masz rację, ale jestem na „to przygotowany.

– Po co więc wysyłasz tam mnie?

– Chciałbym urozmaicić i umilić trochę życie pannie Boorsten. Jest straszliwie samotna i nie ma dosłownie nikogo bliskiego.

W tej chwili Gundi była absolutnie pewna, że Herbert tę Ingrid Boorsten po prostu kocha i miota się między tym nowo odkrytym uczuciem, a zobowiązaniami wobec Eleny, wynikającymi z ich wieloletniej znajomości. Zobowiązaniami od których nie może się teraz uwolnić z dnia na dzień. Potrzebuje pomocy i prosi o nią właśnie siostrę.

Gundi była z siebie dumna, ale za Boga nie powiedziała by bratu, że rozszyfrowała jego zamiary. Popatrzyła na niego, zrobiła kwaśną minę i mruknęła:

– Trudno – pojedę. I znów przyjdzie mi się użerać z tymi dwoma nicponiami, jak nie w upalnej Afryce, to nad chłodnym Bałtykiem! Tym razem będę musiała wziąć ze sobą chyba całą szafę ubrań, by przy eleganckiej Elenie nie wyglądać jak smoluch.

– Nią możesz się nie przejmować – cały czas leży w łóżku, a panna Boorsten ubiera się bardzo skromnie, więc śmiało możesz zabrać tylko stroje sportowe. Koniecznie pamiętaj o ciepłych sukniach, bo wiatr jest tam silniejszy i bardziej przenikliwy niż u nas w Taunusie. Jest tam zimno, ale bardzo pięknie.

Upłynęło kilka dni, i Boorstenhaus przypominało przydrożny zajazd w dniu targowym, gdy zaczęła się tam zjeżdżać cała świta Eleny, podniecona, że wielka diva wraca do pracy.

Pierwszy został sprowadzony z Hamburga sekretarz wraz z aktami, dokumentami i maszyną do pisania, później stary korepetytor i wieziony na ciężarówce wielki fortepian. Trudno sobie wyobrazić Elenę dyrygującą tą całą „menażerią” z łóżka! Z dnia na dzień zdrowiała i za nic w świecie nie pozwoliła się zapędzić pod kołdrę.

Stary doktor był jednak nieustępliwy i nie zgodził się na rozpoczęcie żadnych prób, dopóki nie zasięgnie opinii specjalisty laryngologa.

Biedny sekretarz nie zdążył się jeszcze rozpakować, a już siedział w samochodzie i jechał do Heidelbergu z poleceniem znalezienia najlepszego profesora i przywiezienia go do Boorstenhaus. Koszty nie odgrywały żadnej roli, zwłaszcza, że w szufladzie leżały kontrakty z wypisanymi fantastycznymi honorariami za występy i czekały tylko na podpis Eleny.

Próżno doktor Burger prosił o zachowanie umiaru. Elena już czuła się jedną nogą w wielkim świecie. Z radosnym uśmiechem objęła staruszka, wycalowała go po policzkach, łysinie, i gdzie popadło, i zapowiedziała, że do łóżka nie wróci, ale zgodnie z jego zaleceniami będzie jeść wszystko, choćby po powrocie na scenę miała wyglądać jak najgrubsza z walkirii.

O spokoju w Boorstenhaus można już było tylko pomarzyć. Ledwo wyprowadzono Elenę na słońce, ona już chciała, żeby wnieść ją do domu. Biedna Meta dwoiła się i troiła. Najwięcej nabiegała się po schodach, gdy Elena siedząc przed domem, zażyczyła sobie, by korepetytor grał przy otwartym oknie na piętrze poszczególne partie. Raz grał za szybko, innym razem nie tę arie,

a Meta biegła...

Elena zaś śledziła każdą nutę, odtwarzała gesty i poruszała wargami, nie wydając jednak najmniejszego choćby dźwięku.

Wieczorami obie z Metą obmyślały nowe kostiumy, bo stare nadadzą się tylko do wyrzucenia, skoro artystka tak bardzo przytyła. Teraz trzeba będzie zwracać uwagę, aby przypadkiem stroje jeszcze jej nie pogrubiły.

– Telefon, Ingrid, jeszcze raz telefon! Jak ty możesz tu żyć bez tak potrzebnego urządzenia?
– rozpaczła Elena, gdy Ingrid jak uosobienie spokoju zjawiała się u niej regularnie z przepisanyymi przez doktora Burgera lekarsstwami lub posiłkami. Bez słowa sprzeciwu Elena połykała wszystko, co jej podano. Czuła, że zdrowieje, że ma szansę odzyskać głos.

– A po co mi na tym pustkowiu telefon? Nawet nie wiem, do kogo mogłabym zadzwonić...
Może gdybym była sławną śpiewaczką? – uśmiechnęła się życzliwie, na co Helena zareagowała ostrym spojrzeniem znad czarki dymiącego rosółu z kury. Z grymasem na ustach rzekła:

– Jesteś kukłą bez żadnego temperamentu, a przy tym bardzo ładną dziewczyną. Nigdy nie przypuszczałam, że z brzydkiego podlotka, jakim cię zapamiętałam, wyrośnie tak piękna kobieta.

– A ja nie przypuszczałam, że ty mi to powiesz – Ingrid zaczerwieniła się.

– Miałam na myśli, że przy odrobinie wysiłku, dopiero można by z ciebie zrobić piękność, chociaż w nowoczesnych sukniach chyba jednak nie byłoby ci do twarzy. Straciłabyś swój styl.

– Co ty pleciesz, Heleno, ja nie mam żadnego stylu. Od dziecka suknie szyje mi Schulzowa ze wsi i jestem z nich zadowolona. Dopiero ty pokazałaś mi, jak wygląda elegancka suknia.

– Zobaczymy, co da się zrobić. Część moich sukien będę musiała wyrzucić, ale wątpię, czy któraś z nich nadaje się do koloru twoich włosów, oczu, do twojej staromodnej sylwetki.

– Na litość boską, dajże mi spokój z twoimi sukniami! Nie chcę niczego zmieniać. Było mi z tym dobrze dotychczas, będzie i później.

– Dziewica Orleańska! Czy tobie nigdy nie zależało, aby podobać się mężczyznom?

Ingrid schyliła się szybko, by podnieść ręcznik, który wypadł jej z rąk, kiwnęła przecząco głową i podeszła do drzwi.

– Powoli! Gesty czasami wyjaśniają więcej niż słowa... A więc masz kogoś?

– Ingrid stanęła i zastanawiała się, co robić. Wreszcie, nie wiedząc dlaczego, odpowiedziała szeptem: – Kiedy się w domu trochę uspokoi, opowiem ci o wszystkim – wzięła tacę i wyszła z pokoju.

Elena patrzyła za nią przymrużonymi oczyma. A więc ta cicha myszka ma kogoś, albo raczej miała! Przy nadarzającej się okazji trzeba będzie pociągnąć ją trochę za język.

Po obiedzie Ingrid weszła do pokoju Eleny z telegramem w ręku, przywitała się uprzejmie z korepetytorem, który zawsze z niezwykłą powagą kłaniał się jej do ziemi, jak prawdziwej królowej.

– To dla mnie, Ingrid? – spytała Elena.

– Nie, tym razem do mnie. Doktor Sanders zapowiada przyjazd jego siostry i dwóch

przyjaciół. Oczywiście, rozmawiał o tym ze mną podczas pobytu w Boorstenhaus.

– Ho, ho! Mała Gundi... zaraz się weźmiemy za łby, bo nie lubimy się od pierwszego spotkania. Smarkula jest zarozumiała i straszliwie zazdrosna o brata, którego kocha do szaleństwa. Zaludni ci się Boorstenhaus jak nigdy dotąd. Masz przynajmniej dość miejsca w starym domku gościnnym?

– Łóżek piętrowych na razie nie kazałam wstawiać. Bardzo się cieszę, że zapanował tu jakiś ruch, a w pewnym sensie zawdzięczam tę radość tobie, Heleno.

Helena złapała się za skronie i zawołała rozpaczliwym tonem:

– Przestań się do mnie zwracać „Heleno”! Brzmi to pretensjonalnie, staroświecko i przywołuje na myśl święte i dzielne królowe, a ja jestem okropną szelmą, złą, wredną kobietą i pomiatam ludźmi, jakby żyli wyłącznie po to, by mi służyć i spełniać moje zachcianki.

– Och, nie rób z siebie diablity, bo wiem, że nią nie jesteś. Przecież kochasz trochę mnie, a także... – Ingrid zawahała się, a potem szybko skończyła zdanie – ... bardzo kochasz doktora Sandersa. Tak myślę, bo w gorączce cały czas prosiłaś, żeby przyjechał.

– Co?! Ależ ze mnie głupia gęś! Musiałam porządnie bredzić. A swoją drogą, to ładnie z jego strony, że tak szybko się tu zjawił.

– Ty go nie kochasz, Hele... Eleno?

– Kochać? A cóż to znaczy miłość? Ja kocham mój głos i wykonywany zawód, kocham aplauz publiczności, a nawet łowców autografów, choć nie dają mi spokojnie przejść. Natomiast jak kochać pojedynczego człowieka? Ja chyba nie wiem, Ingrid! – zastanowiła się przez chwilę, a później zawołała: – Ależ z ciebie niedobra dziewczyna! Zawracasz mi głowę jakimiś ideałami, które w moim życiu nie liczą się zupełnie. Etyka i sława są dla Eleny Gerber nie do pogodzenia.

Ingrid pochyliła się nad starym fotelem, w którym Helena popijała gorącą herbatę.

– Nie rób z siebie potwora, siostrzyczko. Widziałam, jak się ucieszyłaś z przyjazdu doktora Sandersa, więc na pewno go kochasz i nie mów, że jest inaczej. No, a ja muszę porozmawiać z Doris, aby przygotowała dom na inwazję gości. Panna Sanders będzie mieszkała tutaj, zaś panowie w domku w ogrodzie.

– Rób, jak uważasz, mnie interesują tylko mężczyźni. Kobiety mnie denerwują, no, może z wyjątkiem ciebie, ale ty masz wyjątkowo dobrze poukładane w głowie.

Ingrid pocałowała siostrę w głowę – był to pierwszy gest czułości na jaki się zdobyła – pogłaskała ją po rękę i uśmiechnięta wyszła z pokoju.

– Już dziś współczuję temu mężczyźnie, któremu przyjdzie stopić tę chodzącą górę lodową. Cieszę się, że jakieś nowe męskie twarze pojawią się na tym pustkowi; będzie przynajmniej weselej. Meto, gdzie ty się szwędasz?

– Jestem tu – dobiegł stłumiony głos z pokoiku obok. – Prasuję.

– Przy okazji mogłabyś wyprasować fałdy na mojej skórze. Przynieś no mi lustro. Jak ja wyglądam?! Jutro przyjeżdża ten zarozumialec profesor, który ma stwierdzić, czy już wreszcie wolno mi zacząć próby głosowe. Muszę jakoś uczciwie wyglądać.

– Trzeba będzie przyciemnić trochę włosy i pomalować paznokcie.

– Teraz, kiedy jestem tłusta jak kapłon, nie muszę mieć kruczoczarnych włosów, i mogę sobie pozwolić na prezentowanie własnej osobowości. Kapujesz?

– Nie.

– Nic dziwnego, kapuściany głąbie. Poszerzyłaś mi tę błękitną suknię?

– Na ile się dało, ale ci skąpcy z domu mody prawie nie zostawili zaszewek. Proponuję ubrać pod spód koronkową bluzkę, a górę sukni pozostawić rozpiętą.

– Głupia kozo! Chcesz, żebym wywaliła biust jak dziewica Germania na pomniku w Niederwaldzie?

– O, właśnie tak! Mężczyznom taki biust się podoba.

– Mężczyźni! Tobie tylko oni w głowie, a dla mnie liczy się cała publiczność. Nawet gdy będę grubsza od tej Albicci, ale będę śpiewała tak pięknie jak ona, to na mój biust nikt nawet nie zwróci uwagi. Tego właśnie się tutaj nauczyłam, moja droga, a Hillyayowi pozostawiam problem zrobienia mi odpowiedniej reklamy w prasie.

– O tak! Hillyay jest niewątpliwie najlepszym sekretarzem, jakiego sobie można wymarzyć.

– Niezły z niego drań, to trzeba przyznać.

– Kiedy stąd wyruszymy, madame? – spytała Meta nieśmiało.

– O tym zdecydują nasz okropny, dobry doktor i ten pan • z Heidelbergu. W każdym razie, jeśli dobry Bóg pozwoli, że odzyskam głos, to zaczniemy od Paryża. Francuska publiczność jest bardziej wyrozumiała od niemieckiej, która czepia się każdego drobiazgu. Żabojadom wystarczy pokazać się w jakiejś oszłamiającej kreacji, a nazajutrz w gazetach znajdą się same pochlebne recenzje. No, idź już do tego prasowania, darmozjadzie, chociaż tym zarobisz na pieniądze, które ode mnie wyciągasz.

Meta nie oburzyła się tym razem, wróciła do swojego pokoiku i wywijając żelazkiem marzyła o czekających ją podróżach. Wreszcie opuści tę okropną wiejską chałupę i zamieszka w jakimś porządnym hotelu.

Elena podeszła do okna i przypomniała sobie rozmowę z Ingrid. Nigdy się nie zastanawiała nad swoim charakterem, a teraz musiała przyznać, że wszystko, co nie wiązało się z jej zawodem, traktowała jako nieważne. Wygląda na to, że nigdy w życiu nie pokocha żadnego mężczyzny tak, jak kochają inne kobiety. Czy coś można zmienić?

Zamyśliła się oparłszy głowę o ramę okna. Patrzyła przed siebie i dopiero gdy w kącie ogrodu coś wyraźnie się poruszyło, oprzytomniała i zobaczyła Ingrid szamoczącą się w ramionach jakiegoś mężczyzny. – Patrzcie no! A jednak ktoś interesuje się naszą górą lodową! Jednak na namiętą miłość mi to nie wygląda.

Elena nie lubiła dociekać sama i wolała poczekać na gotowe wiadomości. Usiadła w starym fotelu, wezwała korepetytora i kazała mu grać ostatnią arię z „Madame Butterfly”. Skoncentrowała się wyłącznie na swojej roli.

Kiedy Ingrid wyszła z dusznego od zapachu perfum pokoju siostry, postanowiła zaczerpnąć

świeżego powietrza. Zaglądnęła do kuchni mówiąc, że idzie do ogrodu ściąć kwiaty, bo dziś lub jutro zjadą do Boorstenhaus goście. Trzeba natychmiast przygotować dla panny Sanders pokoik na poddaszu, a dla dwóch panów pokoje w domku.

Doris tym razem nie protestowała, licząc po cichu, że zmieni się nieznośna atmosfera, spowodowana przybyciem Heleny. Nie odwracając się od garnków spytała:

– Panna Sanders jest krewną tego doktora?

Ingrid zaczerwieniła się, ale odpowiedziała obojętnym tonem:

– Jest jego siostrą, Doris, i musimy zapewnić jej wszelkie wygody. Każ Gindingowi wstawić do jej pokoju jeden z tych pięknych foteli, a sama zanieś kilka jedwabnych poduszek z salonu. Ja postaram się o kwiaty.

Wyszła z domu tylnymi drzwiami i spośród jesiennych kwiatów starała się wybierać najładniejsze, nadające się na bukiety. Zazwyczaj poważna, dziś była w wyjątkowo dobrym nastroju. Cieszyła się, że Helena wraca do zdrowia, ale była też zadowolona z telegramu od doktora Sandersa, że tak szybko zdecydował się przysłać tu swoją siostrę. Nie знаła tej dziewczyny, ale miała wrażenie, że ją polubi.

Nuciła jakąś zapamiętaną z dzieciństwa melodię i odkładała ścięte kwiaty na przenośny stolik ogrodowy, gdy nagle zobaczyła stojącego tuż obok Gwido Bergera.

Stała jak wryta, patrząc na niego przerażonymi oczyma i instynktownie wyciągnęła ręce przed siebie.

Pożerał ją wzrokiem z zaciśniętymi w okropnym grymasie ustami, przez które wycedził złośliwie:

– Hm, nie wygląda mi to na serdeczne powitanie.

– Czego pan chce?

– Nie rozśmieszaj mnie, najdroższa. Jesteśmy małżeństwem i powinnaś się zwracać do mnie przez ty.

Machnęła drżącą ze strachu ręką. Bała się, że zaraz stanie się coś, czemu nie będzie w stanie się przeciwstawić.

– . Po co pan tu przyszedł? – powtórzyła, siłąc się na spokój.

– Może po ciebie... może po pieniądze, a może... by tu zostać? Jeszcze nie zdecydowałem. W każdym razie wyglądasz znacznie ładniej niż wtedy, gdy jak głupia szarpałaś się ze mną, kiedy chciałem ci pokazać, po co właściwie wyszłaś za mąż.

– Ani słowa więcej na ten temat! Proszę podać sumę, po którą pan przyszedł i wynieść się stąd natychmiast.

– O, jaka hojna! Prawdę mówiąc, brakuje mi twoich wypłacanych z bożej łaski grosików, a skoro zaczęłaś, porozmawiajmy najpierw o interesach. Otóż teraz dopiero potrzebuję prawdziwych pieniędzy, rozumiesz: pieniędzy, a nie jakichś tam marnych kilkaset marek!

– Ile! – spytała odetchnąwszy z ulgą, że chodzi mu tylko o pieniądze. Wymienił tak wielką sumę, że Ingrid aż się cofnęła i energicznie zaczęła kręcić głową.

– Nie dasz? To w takim razie zostaję tu i będziemy mieszkać razem. A spodziewając się wizyty doktora Sandersa, na pewno nie będziesz tym zachwycona.

– Czemu pan się czepia tego człowieka? – wyrwał jej się dość niezręcznie, podczas gdy on wyjmował z kieszeni pogniecioną kopertę, którą podsunął jej przed oczy.

– O ile się nie mylę, jest to twoje pismo? A dzielny doktor biegł od razu do najbliższego urzędu telegraficznego, by swojej przyjaciółce Ingrid wysłać odpowiedź.

– To wszystko nie tak! O Boże, co ja mam zrobić? – bezradnie rozglądnęła się dookoła szukając pomocy, ale w ogromnym Boorstenhaus jakby wszyscy posnęli.

– Płacić, moja droga, innego wyjścia nie ma! To, że się tu nie pokazuję, już sporo kosztuje, a za to, że moja panna małżonka szuka sobie kochanka, zapłacić trzeba w dwójnasób. Na początek należy mi się pocałunek od żony, zwłaszcza, że od ostatniego razu bardzo wyładniała.

– Ani mowy nie ma! – krzyknęła próbując się wyrwać, ale on mocno trzymał jej prawą rękę.

– To wytłumacz się przynajmniej z tego listu – warknął.

– Kiedy go pisałam, nie znałam doktora Sandersa w ogóle. Jest narzeczonym mojej siostry, która zachorowała i mieszka teraz u mnie. – Ingrid była tak zdenerwowana, że zupełnie zapomniała, iż o chorobie Heleny miała nikomu nie mówić.

– Kłamać piękna Ingrid się nie nauczyła! Nic nie wiem o tym, żebyś miała jakąś siostrę, a kłamiesz, bo masz nieczyste sumienie. Mnie to wystarczy. Tak się dobrze składa, że znam tego Sandersa i nie pozwolę, żeby przyprawiał mi rogi. Basta! Stoję tu jak żebrak i męczę się, bo jesteś naprawdę podniecająca, a przecież mam prawo do pocałunku, skoro jesteś moją żoną.

Rzucił się na nią i próbował pocałować, ale Ingrid z całej siły zapałała się łokciami o jego tors, odchyliła głowę w tył i z przerażeniem stwierdziła, że znalazła się dokładnie w takiej samej sytuacji, jak tamtego krytycznego dnia. Ostatkiem sił wrzasnęła na całe gardło:

– Doris! Klaro! Pomóżcie mi! Nie słyszycie?

Na szczęście z otwartego okna kuchni doleciał głos kucharki:

– Już biegnę, skarbie! Tak myślałam, że skaleczy się pani tym nożem. Trzeba było wziąć sekator!

– Doris... Ratunku!

W tym momencie Gwidfr puścił ją i odepchnął ze złością.

– Głupia gęś! Co ci przyszło do głowy, żeby wołać tę staruchę? Tej jędzy wolę zejść z oczu, ale zapamiętaj: za trzy dni chcę widzieć na moim koncie siedem tysięcy marek, albo masz mnie tu znowu. Ale wtedy porozmawiamy inaczej!

Popchnął ją, a gdy upadła, rzucił się do ucieczki. Zanim stara Doris odnajdzie leżącą w krzakach Ingrid, on będzie już daleko.

Tej sceny jednak już nie widziała patrząca przez okno Elena. Dyskretnie odsunęła się, bo co ją to mogło obchodzić, że siostra rzuca się w ramiona jakiegoś mężczyźnie?

Kiedy Doris zobaczyła leżącą w krzakach i szlochającą Ingrid, złapała się za głowę. – A cóż to, panienko? – spytała pomagając jej wstać na nogi. – Wygląda pani, jakby zobaczyła upiora!

– Doris... Doris, on tu był!

– Kto? Upiór?!

– Berger... Gwido Berger.

– A to wieprz! Odważył się przyjść aż tutaj? Już ja mu pokażę, niech tylko wpadnie mi w rękę. Gdzie on się schował? – stara rozejrzała się dookoła z wojowniczą miną.

– Uciekł, kiedy zaczęłam krzyczeć, ale zdążył mnie popchnąć.

– Już on dobrze wiedział, że ze mną nie poszłoby mu tak łatwo. Co od pani chciał, dziecko? Skrzywdził panią?

– Chciał mnie zgwałcić, Doris... zupełnie jak wtedy. To było straszne!

– Jak ja go znam, to akurat nie o to mu chodziło. Proszę powiedzieć prawdę, bo musimy jakoś sobie z nim poradzić – rzekła Doris czyszcząc suknię Ingrid z ziemi i liści. – Chciał pieniędzy, prawda?

– Tak, Doris, i to bardzo dużo. A na dodatek mi groził.

– Czymże on może pani grozić, wieprz jeden?

– Miał kopertę listu, który napisałam do doktora Sandersa, kiedy zawiadamiałam go, że Helena jest chora.

– Poczekaj, dziecko, tu trzeba się zastanowić. Ja tam temu wieprzowi nie wierzę. Był to na pewno pani list?

– Tak, na pewno.

– To skąd on go wziął? Ten list trafił aż do Afryki; hm, albo pan doktor gdzieś zgubił kopertę, albo też ten drań tam był z nim i mu ją ukradł?

Ingrid ze strachu zakryła rękoma usta.

– Doris, ty chyba masz rację! Doktor Sanders opowiadał mi, że był z nimi lekarz od chorób tropikalnych, którego nie lubili i już nigdy nie chcą o nim słyszeć. Przecież tym lekarzem mógł być Berger! Pamiętasz, że kazał sobie wypłacić zaliczkę za kilka miesięcy do przodu, bo wyjeżdżał w daleką podróż; kto wie, czy nie właśnie do Afryki?

– No, skoro zabrnęliśmy już aż tak daleko w naszych podejrzeniach, to przy następnej okazji musimy spytać doktora Sandersa o to wprost.

– Za żadne skarby, Doris! Zabraniam ci pytać doktora Sandersa, bo wtedy musiałabym przyznać się, że jestem mężatką, a tego bym nie zniosła, rozumiesz? – Ingrid rozplakała się i wtuliła w ramiona starej kucharki, która czule głaskała ją po policzku. – Wiesz, Doris, rozmawiałam niedawno z doktorem Burgerem, żeby mi pomógł uzyskać rozwód, a nie przypuszczałam, że wywołam wilka z lasu.

– I co radził stary doktor?

– Stwierdził, że powinnam była to zrobić już dawno. Chce porozmawiać z dyrektorem banku o tym, jak się pozbyć Bergera.

– Ci dwaj już mu się dobiorą do skóry, możemy obie być o to spokojne. Teraz musimy tylko uważać, aby panienka nie wychodziła nigdzie sama. Dobrze, że będzie tu panna Sanders, bo przy

niej na pewno ten wieprz nie odważy się pani zaatakować, nie mówiąc już o mnie. Niech lepiej schodzi mi z drogi, bo jak go dopadnę, to tylko strzepy po nim zostaną! – Doris pogroziła pięścią w stronę, gdzie – jak przypuszczała – uciekł Berger.

Wzięła Ingrid pod rękę i zaprowadziła do domu:

XIV

– Wybacz, ale nic nie poradzę, że mam tak długie nogi, a w podróż nie powinno się wyjeżdżać mydelniczką – mruknął Sven wierząc się niemiłosiernie na tylnym siedzeniu volkswagena Gundi. Horst prowadził – taki był warunek Herberta. Wyjechali z samego rana, żeby przed zapadnięciem ciemności zdążyć do celu, ale wszystko wskazywało na to, że im się nie uda.

Sven jęczał tak strasznie, że kiedy dojechali do Wolgraben, za żadne skarby nie chciał wsiąść do samochodu i musieli zostać tu na noc. Wszyscy troje zeszywnieli niemiłosiernie, Szwed chodził w kółko, zgięty w pół, Gundi podskakiwała, a Horst bezbłędnie wiedziony zapachem kolacji, pobiegł wprost do hotelu.

Rozładowano walizy i nadaremnie wyglądano, aż zjawi się boy. Gdzie tam! W Wolgraben był tylko jeden kelner do wszystkiego, a ponieważ akurat obsługiwał doktora Burgera, trudno było się spodziewać, że przyjdzie nosić walizki.

– To bierzmy się za nie sami. Tu nie Afryka i nie zjawi się Murzyniátko, więc każdy zanosi sam szczoteczkę do zębów do swojego apartamentu.

– Patrzcie, jesteśmy pod „Złotym Lwem” – zauważyła Gundi, sięgając po swoją torbę w szkocką kratę.

Horst podniósł głowę, a patrząc na lwa szczerzącego groźnie zęby na tarczy herbowej hotelu, uśmiechnął się i rzekł:

– Nasz dzielny Szwed ma wreszcie swojego lwa!

– Mogłem od razu przyjechać do Wolgraben – mruknął Sven, dźwigając ciężki kufer po wybrukowanym kocimi łbami rynku w stronę hotelu. – Ludzie! Coś mi tu pachnie sandaczem w sosie musztardowym! – krzyknął, stojąc u wejścia.

– O rany! Biegnij szybko i zamów dwie porcje dla mnie, a ja zaparkuję gdzieś z boku rasowy samochód naszej Gundi.

– Czemu się wszyscy czepiacie mojego samochodu?

– Ciasny, ale własny, co? No, drzwi pozamykane.

– A kluczyki, oczywiście, w środku – mruknęła Gundi.

– Chciałabyś! – Horst pomachał pękiem zawieszonym na małym palcu.

– Hm, co za zapach! Oni tu chyba smażą na prawdziwym maśle? Byleby tylko mieli normalne łóżka, wanny trochę dłuższe od miednicy, gorącą kawę i chrupiące bułeczki na śniadanie, a zgłoszę do bedekera, żeby „Złotemu Lwu” przyznał jedną gwiazdkę więcej.

Horst chyba wypowiedział te słowa w złą godzinę, bo łóżka dla obu wielkoludów były raczej za krótkie, wanny nie było w ogóle – musieli zadowolić się miednicą – natomiast kawa i bułeczki były bez zarzutu, nie mówiąc już o świeżo pieczonym sandaczu i wybornym sosie

musztardowym.

Przy wejściu do sali restauracyjnej musieli zmrużyć oczy od blasku nieosłoniętej żarówki. Wszystkie stoliki wyglądały na zajęte, ale zgłodniały Sven upatrzył sobie duży stół w rogu sali, przy którym siedział tylko jeden gość. Nagle Horst przytrzymał go energicznie za spodnie i posadził na krześle przy barze.

– Siadaj i nie drzyj gęby... Tam w kącie siedzi Gwido Berger. Nie rozglądaj się, bo gotów tu przyjść, a ja nie mam zamiaru cieszyć się jego towarzystwem.

Gundi i Sven zaniemówili, usiedli przy wyszorowanym do białości kontuarze i wlepili oczy w coś, co miało być jadłospisem. Horst kątem oka zauważył, że Berger skończył jeść, wstał i wyszedł bocznymi drzwiami.

– Lokal już jest czysty, moi państwo. Widocznie ten łobuz dobrze zapamiętał moje pięści. Przesiądźmy się i nie psujmy sobie dobrego humoru. Panie kelner! Jesteśmy głodni, a tu tak nieprzyzwoicie pięknie pachnie.

– U „Złotego Lwa” nie może być inaczej! – pochwalił się kelner.

– Co szanowni państwo sobie życzycie? Proponuję zacząć od kieliszka żytnióweczki.

– Zamiast zupy, czy na przekąskę? __

– Na apetyt, mój panie, bo domyślałam się, że zamówicie państwo pieczonego sandacza.

– To jego zapach nas tu sprowadził!

– A na deser? Może ciastko piwne?

– Jeżeli pan nam zdradzi, co to za dziwna potrawa, to może się zdecydujemy.

– Za czasów pruskich był to zwykły omlet, ale teraz przyrządzamy go na piwie i smakuje znakomicie.

– Gundi, omlet to coś dla ciebie. Bierzemy?

– Mnie tam wszystko jedno, bylebym nie spotkała już więcej tego Bergera.

Horst pochylił się do ucha oberżysty i spytał: – Ma pan jeszcze wielu gości prócz nas?

– Nie, będziecie państwo sami. Był tu jeden przed chwilą, ale wyjeżdża dziś w nocy pociągiem do Lubeki. Nieszczególny gość, a nasz stary doktor wręcz go nie cierpi.

– Zupełnie się z panem doktorem zgadzamy. No, ale niech pan podaje tego sandacza, bo z głodu zjemy panu lwa na emblemacie.

– Już się robi. Szkoda, że tak weseli goście nie przyjeżdżają do nas częściej. O, nawet pan doktor się uśmiecha.

– Możemy wypić za zdrowie pana doktora?

– Zrobicie mu panowie wielką przyjemność.

Horst podniósł kieliszek z żytniówką w stronę doktora Burgera, a ten odpowiedział takim samym gestem podnosząc kufel piwa. Starszy pan wstał i podchodząc z uśmiechem przywitał się:

– Pozwolicie państwo przysiąść się staremu doktorowi? Od razu widać, że jesteście z daleka, a łyk obcego świata bardzo dobrze robi staruszkowi takiemu jak ja.

Sven i Horst wstali na powitanie, a Gundi skinęła głową wskazując doktorowi miejsce przy

stole. Dopiero gdy zjedli sandacza, a przed Gundi stanęła góra piwnego omletu, zaczęła się serdeczna rozmowa.

Doktor pytał, skąd i dokąd jada, a Horst wykorzystał okazję i spytał o drogę do Boorstenhaus.

– No, już na lepszego informatora nie mógł pan trafić!. Jestem lekarzem domowym i opiekuję się tamtejszymi domownikami.

– A nie mówiłem, że mam nosa? – Horst patrzył z dumą na Svena i Gundi. – Chcemy tam pojechać dopiero jutro. Jak pan myśli, możemy zameldować się tam wcześniej rano?

– To zależy, czy chcecie złożyć wizytę Ingrid, czy naszej sławnej divie Helenie.

– To nie jest takie proste, doktorze. Zaprosiła nas panna Ingrid Boorsten, której jeszcze nie znamy, natomiast znamy Elenę, ale jej wolelibyśmy nie spotykać – wyjaśniła Gundi, strojąc minę, którą doktor zrozumiał od razu.

– Tej chwilowo może się pani nie obawiać. O, jeszcze kilka tygodni temu była taka malutka! – doktor pokazał szczelinę między palcami. – Ale ostatnio ożyła i próbuje postawić całe Boorstenhaus na nogi. Odzyska niebawem głos i wyfrunie, bo długo nie wytrzyma bez rozgardiaszu, do jakiego przywykła.

– Właśnie mój brat, Herbert Sanders, wspominał, że ze zdrowiem Eleny wcale nie było tak źle, jak się spodziewał.

– Ach, to pani jest jego siostrą! Porozmawialiśmy sobie z pani bratem i wspólnym wysiłkiem postawiliśmy wielką divę na nogi. Lekarstwa właściwie nie były potrzebne. Musiała przybrać na wadze, a spokój i tutejsze zdrowe powietrze zrobiły resztę. Najgorzej było tego uparciucha przekonać, ale znam ją od dziecka. Uciekła diablina z domu. a dopiero gdy znalazła się w biedzie, przypomniała sobie, gdzie szukać pomocy.

– Sądzi pan, że Elena odzyska na tyle głos, że będzie mogła wrócić na scenę? – spytał Horst.

– Tak myślę, ale musi to potwierdzić specjalista z Heidelbergu. Ja jestem skromnym wiejskim lekarzem i nie ośmieliłbym się postawić ostatecznej diagnozy.

– A jednak to panu udało się wyleczyć wielką gwiazdę! – uśmiechnęła się Gundi pełna podziwu.

– Powiedzmy. Są jednak i tacy, którzy wyśmiewają się z moich umiejętności i metod leczenia. O, choćby ten, co tu siedział przed chwilą. Był niedawno moim asystentem, a cały czas uważał mnie za wyjątkowego nieuka.

Horst i Sven popatrzyli po sobie, a Horst rzekł:

– Może ten pański kolega posiadał wąską specjalizację i nie mógł się odnaleźć w wiejskim środowisku?

Doktor podniósł swoją łysiejącą głowę, szybko nabił fajkę i mruknął ze złością: – Owszem, specjalizował się w medycynie tropikalnej, ale miał pustą kieszeń i postanowił ją sobie tutaj nabić. Narobił tylko sporo zamieszania i odetchnęliśmy z ulgą, kiedy wreszcie stąd wyjechał.

Horst pochylił się i spytał po cichu: – Czy czasami nie mówi pan o doktorze Gwido

Bergerze?

Stary doktor aż uderzył pięścią w stół. – Do licha, skąd pan zna tego człowieka? Przecież nie zdążył pan z nim porozmawiać, kiedy tu siedział przed chwilą.

– Nie, bo jak nas zobaczył, to wolał prysnąć!

– O, czyżby z wami też miał na pieńku? Niestety, nie mogę wam powiedzieć, co tu narozrabiał, bo to nie moja sprawa, ale postąpił wyjątkowo paskudnie.

– Nie musi nas pan przekonywać, doktorze, bo sami wiemy aż nadto.

Wszyscy troje opowiadali na przemian o swoich niemiłych doświadczeniach z Gwido Bergerem, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby wspomnieć o żonie, z którą Horst widział go w Monachium, ani o narzeczonej, z którą czule się żegnał w Lizbonie na lotnisku. Horst zupełnie zapomniał o wdowie w Augsburgu, o której mówiła mu matka. W końcu były to prywatne sprawy Gwido Bergera.

– Aż wierzyć się nie chce, jaki ten świat jest mały – podsumował doktor. – Państwo przyjeżdżacie z Afryki, zajadacie się omletem piwnym w Wolgraben i opowiadacie o moim nieudanym asystencie. Cóż, dał mu pan chociaż porządną nauczkę?

– Jak widać, na razie mu wystarczy.

– Szkoda, że mnie przy tym nie było, nacieszyłbym radością swoje stare oczy. Ale cieszę się, że przynajmniej w Boorstenhaus zrobi się trochę weselej, a biedna Ingrid może wreszcie zacząć się uśmiechać. Jest taka młoda, a radości w życiu nie zaznała.

– Niech mi pan opowie o Ingrid, doktorze. Pytałam brata, ale on niewiele wiedział. Jest bardzo podobna do siostry? – dopytywała się Gundi.

– Ani troszeczkę! To tak, jakby porównywać pełnokrwistego araba z wierzchowcem angielskim, albo kłapouchego teriera z pięknym irlandzkim seterem. Coś mi się płaczą te porównania, w każdym razie sto razy bardziej lubię Ingrid niż Helenę, którą wy znacie jako Elenę. Ingrid jest drobną, zgrabną blondynką; jest spokojna i ma piękne oczy, zaś ta druga...

Gundi machnęła ręką i przerwała doktorowi: – Czarna, oschła, nerwowa histeryczka, bardzo piękna – oto cała Elena, jaką znam aż za dobrze. Nie przepadamy za sobą, być może dlatego, że obie na swój sposób jesteśmy zazdrosne o Herberta.

Nazajutrz z rana wszyscy troje odjechali do Boorstenhaus, a stary doktor cały dzień zastanawiał się, po co Gwido Berger zjawił się u Ingrid. Czyżby chciał zamieszkać u niej na stałe?

Po wczorajszej niemiłej przygodzie w ogródku Ingrid trochę doszła do siebie, chociaż wieczorem była tak zdenerwowana, że długo nie mogła zasnąć i Doris musiała jej podać środki uspokajające. Rano wspomnienia ożyły jakby z większą siłą. Wobec bezwzględności i gróźb tego człowieka czuła się przeraźliwie bezradna i osamotniona. Odechciało jej się żyć.

Jedno, co mogła zrobić, to dać mu pieniądze. Zaraz po śniadaniu wysłała Gindinga do banku z poleceniem dla dyrektora, aby wypłacił Gwido Bergerowi sumę siedmiu tysięcy marek.

Podpisała dokument i odetchnęła z ulgą, ale o niczym nie powiedziała Doris. Ta zresztą i tak

nie miała głowy do rozmów, zajęta nawałem pracy przed przyjazdem nowych gości, a także laryngologa z Heidelbergu. Tym razem trzeba było wysprzątać dosłownie każdy zakamarek.

Ingrid włączyła się do prac i bardzo szybko zapomniała o wszystkich kłopotach. Stara Doris ucieszyła się, widząc swoją panią w dobrym nastroju, a pewnie ucieszyłaby się jeszcze bardziej, gdyby wiedziała, że przyjaciel ich domu, stary doktor Burger rozmawia właśnie z dyrektorem banku. Opowiedział mu o pojawieniu się Gwido Bergera i o zamiarze Ingrid wystąpienia o rozwód.

Obaj panowie uradzili, że tym razem polecenie wypłaty pieniędzy nie zostanie wykonane, jednak Ingrid się o tym nie dowie, żeby się niepotrzebnie nie denerwowała, a co dalej; to się zobaczy.

Kiedy przed południem Ingrid zajrzała do pokoju Eleny, ta popatrzyła i uśmiechnęła się z lekką drwiną.

– Czemu tak mi się przyglądasz, Heleno?

– Rozbawiłaś mnie.

– Czym? Znowu nie podoba ci się moja suknia?

– Oczywiście, też, ale tym razem wzruszyło mnie coś innego. Ingrid patrzyła wyczekująco, więc Helena wyjaśniła:

– Patrę ja wczoraj przez okno i co widzę? Moją siostrzyczkę w ramionach całkiem przystojnego mężczyzny! Właściwie to nie moja sprawa i nie mam zamiaru prawić ci kazań, wręcz przeciwnie – cieszę się, bo wyglądało na to, że zostaniesz starą panną.

Ingrid oparła się o drzwi i z zakłopotaną miną patrzyła na drwiącą z niej siostrę. Szepnęła ledwo słyszalnym głosem:

– To nie tak, Heleno, jak myślisz. Chodzi o zupełnie coś innego.

– Dziewczyno, mam oczy w głowie i wiem, jak wygląda namiętna miłość. Zostawmy jednak ten temat, bo cóż mnie to obchodzi. Ja już nie mogę się doczekać wizyty tego profesora. Jak myślisz, mówię dziś trochę lepiej?

Ingrid wstrzymała oddech, by nie pokazać, jak bardzo jest zdenerwowana, uśmiechnęła się lekko i rzekła:

– Oczywiście, Heleno. Z dnia na dzień głos ci się poprawia, mówisz już głośno i zrozumiale.

Helena podeszła i objąwszy siostrę serdecznie, przytuliła się do jej głowy. – Posłuchaj, ja mogę już śpiewać! – szepnęła i zanuciła półgłosem fragment jednej z arii.

– Nie śpiewaj, proszę cię. Jeszcze nie teraz, Heleno. – Ingrid pocałowała ją w policzek. – Poczekaj kilka dni na decyzję lekarzy, musisz uzbroić się w cierpliwość. O, słyszę, że podjechał samochód, to pewnie moi goście! Twoja szwagierka i dwaj przyjaciele doktora Sandersa. Muszę biec ich przywitać. Chcesz także się z nimi spotkać?

Elena skrzywiła się, jakby niechcący ugryzła cytrynę, machnęła zniecierpliwioną ręką i burknęła: – Jeszcze nie zdecydowałam. Przyjrę się tym ludziom z daleka. Jeżeli ci dwaj to jacyś nudziarze, od razu im powiedz, że jestem ciężko chora i nie chcę nikogo widzieć, rozumiesz?

– a gdy Ingrid nie odzywała się ze zdumienia, dodała: – No, biegnij, dziedziczko z Boorstenhaus, i nie patrz tak na mnie, jakbyś chciała mi podarować połowę tej starej budy. Nie zazdroszczę ci jej, a tylko tytuł dziedziczki bardzo do ciebie pasuje i mnie bawi. Sięgnij do szkatuły i załóż na siebie klejnoty rodowe, będziesz wyglądać jeszcze bardziej staroświecko.

Ingrid wzruszyła tylko ramionami i pobiegła przywitać gości.

Horstowi udało się jakimś cudem przeprowadzić „garbusa” Gundi przez wąską i wyboistą dróżkę do Boorstenhaus. Wysiedli na wybrukowanym dziedzińcu i powitani przez porywisty wiatr znad zatoki, stanęli patrząc z podziwem na stary dom i piękną okolicę.

Sven wciągnął głęboko powietrze i roześmiał się:

– O, czegoś takiego mi właśnie potrzeba! Już czuję zapach wody i ryb.

– Tylko nie mów, że czujesz już wieloryby, i nie rzucaj się przypadkiem od razu do wody. Jest to rzeczywiście urzekające miejsce, byleby tylko łóżka były tu odpowiedniej długości, a oprócz spluwaczek, było coś większego do umycia się. – Horst martwił się na zapas i rozglądał z uwagą, dookoła. – Czyżby nikt nie wyszedł na powitanie?

– mruknął.

– Jestem, jestem! Wybaczcie państwo, że się spóźniłam – usłyszeli głos za swoimi plecami i odwróciwszy się, ze zdumieniem patrzyli na Ingrid, która zaskoczyła ich swoją urodą, jak wszystko wokół tego domu. Podeszła do Gundi z miłym uśmiechem na ustach.

– Witam, panno Sanders. Bardzo się cieszę, że mogę gościć panią i pani przyjaciół w moim domu.

– My również jesteśmy zachwyceni, zwłaszcza że jest tu tak pięknie – rzekła Gundi i ucieszyła się, że ta kobieta jest dla brata kimś bliskim, choć on jeszcze się do tego nie przyznaje.

– To jest doktor Kruger, a ten długi blondas to Sven Holm. Mamy nadzieję, że nasza wizyta nie sprawi pani zbyt dużego kłopotu. A, najważniejsze: jak czuje się Elena?

– Wyśmienicie, ale musimy poczekać na opinię fachowców. Co zaś się tyczy waszej wizyty, to naprawdę nie sprawia mi żadnych kłopotów.

Cieszę się z całego serca, że przyjechaliście. O, nadchodzi Klara. Zaprowadzi panów do domku gościnnego, a panią proszę za mną, pokoik Już czeka. Klara potem zwoła nas wszystkich na obiad. Może dla państwa trochę za wcześnie, ale my tutaj na wsi jemy zawsze koło południa.

– Ingrid starała się zabawiać gości jak najlepiej i cieszyła się, że wszyscy troje od razu wydali jej się bardzo sympatyczni.

– Czy z Eleną mogłabym się zobaczyć od razu, panno Boorsten?

– Radziłabym poczekać, aż siostra sama wystąpi z taką propozycją – 'odpowiedziała Ingrid lekko zakłopotana.

W tym jednak momencie podbiegła zdyszana Meta i wołała już z daleka:

– Madame chciałyby zobaczyć się z panną Sanders już teraz, natomiast obu panów zaprasza na herbatkę o piątej!

– Wielką łaskę nam robi! – mruknął Horst zerkając z boku na Svena. – Gapiała się zza firanki

i uznała nas godnych zaszczytu wypicia z nią herbatki!

– Proszę cię, Horst, zachowuj się porządnie – szturchnęła go Gundi i dodała głośno: – Dziękuję, Meto. Proszę powiedzieć pani Gerber, że przyjdę, gdy tylko będę gotowa. Co do podwieczorku, to chętnie przyjmujemy zaproszenie, jeśli takie są zwyczaje w tym domu” – spojrzała na Ingrid, która z uśmiechem przytaknęła tylko głową.

Chwilę potem obie kobiety weszły do przytulnego, urządzonego w starym stylu pokoiku na poddaszu. Gundi przekazała Ingrid list od Herberta i dodała:

– Myślę, że brat przekazuje w nim pani trochę wiadomości o nas trojgu, zwłaszcza o tych dwóch wielkoludach. Niech pani go przeczyta, a ja pobiegnę do Eleny, bo znowu będzie zła. Wielkie gwiazdy potrafią być bardzo kapryśne.

Ingrid pokazała jej drzwi do pokoju Eleny, a sama zarumieniona, wróciła do salonu z listem od Herberta w ręku. Na dole czekała na nią stara Doris, wyglądając co chwilę z wielkiej kuchni.

– Jak tam goście, panno Ingrid, są mili?

– Oczywiście, Doris! Tak się cieszę, że przyjechali!

– Ja również. Przynajmniej pani zapomni o wczorajszym zdarzeniu, a już ja się postaram, żeby ten wieprz nie pokazał się tu więcej.

Ingrid pomyślała o wysłanym czeku i ze spokojem przytaknęła staruszce, marząc już, by pójść do salonu i przeczytać list od Herberta.

Usiadła na swoim miejscu przy oknie, ale nie otworzyła listu od razu. Trzymała go w palcach mając wrażenie, że przepływa przez jej ciało jakiś prąd nieopisanego szczęścia i do momentu zanim nie uświadomiła sobie beznadziejności swojej sytuacji, była naprawdę szczęśliwa. Spokojnie otworzyła kopertę, żeby jej nie uszkodzić i rozwinęła kartkę pokrytą starannym pismem Herberta.

„Ingrid Boorsten! Inaczej nie potrafię już zwracać się do Pani po tym, jak zobaczyłem Panią, siedzącą samotnie przy oknie w tym starym, przepięknym pokoju. Wiem, że posuwam się do zuchwałości, spoufalając się w ten sposób, ale po prostu inaczej nie potrafię.

Moja siostra jest już u Pani i mam nadzieję, że polubi ją Pani choć trochę, bo na to na pewno sobie zasługuje. Co do tych dwóch nieokrzeszańców, to ręczę, że nie sprawią Pani zawodu, bo są to mili chłopcy i dobrzy moi przyjaciele. Z nimi rozerwie się Pani trochę, bo tygodnie opieki nad Eleną, za które jestem Pani bardzo wdzięczny, na pewno bardzo Panią zmęczyły.

Mam nadzieję, że decyzja specjalisty będzie dla Eleny korzystna i nasz rajski ptak będzie mógł odlecieć z Boorstenhaus w dobrym zdrowiu. Zanim to nastąpi, pozwoli Pani, że to ja będę często przylatywał do Boorstenhaus, choćby na chwilę. Na wypadek, gdyby Pani chciała ten list zachować tylko dla siebie, podałem przez Gundi także kilka słów dla Eleny. Często myślę o pięknym domu w Boorstenhaus, a jeszcze częściej o jego pięknej właścicielce.

Wielce oddany pani przyjaciel Herbert Sanders (o ile pani pozwoli mi tak siebie nazywać)

Ingrid przeczytała list raz, potem drugi i trzeci, i za każdym razem miała wrażenie, że słyszy głos Herberta. Poglaskała czule kartkę papieru i jak relikwię złożyła do szkatułki, do której jeszcze jej matka składała co cenniejsze pamiątki.

Westchnęła głęboko i odruchowo złapała się za głowę. Czy rzeczywiście ma prawo tak się cieszyć z tego listu? Przecież pisze go narzeczony siostry, a ona zgodnie z prawem jest mężatką... O Boże! On nigdy nie może się o tym dowiedzieć. Co jednak sobie pomyśli, gdy cała prawda wyjdzie na jaw? Trzeba przeczekać. Herbert zniknie z jej życia, gdy tylko Helena stąd wyjedzie. Boże, jak tu wtedy zrobi się smutno! Znowu całymi dniami będzie przeraźliwie sama, jeszcze bardziej samotna niż przedtem, gdy nie znała ludzi, których już nigdy nie zapomni.

XV

Kiedy Gundi zapukała do drzwi Eleny, w pokoju panowało jeszcze wielkie zamieszanie. Gwiazda przygotowała się na przyjęcie gości, ubrana jak Mimi z „Cyganerii”, jedynie zamiast mufki, którą trzymała chora Mimi, ona zaopatrzyła się w ogromne pudło z kosmetykami; poza tym, wypisz – wymaluj umierająca Mimi!

Gundi uśmiechnęła się znacząco, gdyż znała już Elenę na tyle, że nie miała wątpliwości, iż znowu odgrywa jakąś rolę. Podała jej list od brata i usiadła na dyskretnie podstawionym przez Metę fotelu.

– No, jak się czujesz, Eleno? Mam nadzieję, że wkrótce wrócisz do pełni zdrowia.

– Dziękuję ci, kochanie, że przyjechałaś – szepnęła Elena ledwo słyszalnym głosem. – Wyładniałaś, malutka.

Gundi groźnie pociągnęła nosem, bo nie znosiła takiego spoufalania się, a w dodatku zdenerwowało ją szeptanie Eleny, skoro Herbert wyraźnie mówił, że odzyskała już głos.

Nie zdążyła jednak wypowiedzieć swoich spostrzeżeń, gdyż Elena dała niespodziewany popis swoich umiejętności głosowych.

– Głupia krowo! – ryknęła ze swojego „śmiertelnego łoża”. – Mówiłam ci, że chcę ubrać żółtą podomkę, a ty wyciągasz z szafy niebieską!

Meta zerknęła z ukosa przez ramię i zrobiła głupią minę. Co to za różnica, w czym gwiazda przyjmie gości w czasie podwieczorku?

– Wynoś się! Zawsze, gdy ktoś przyjdzie z wizytą, ty musisz nadstawiać swoje brudne uszy!

Meta wyszła jak zmyta, aż Gundi musiała się uśmiechnąć:

– Nic się nie zmieniłaś, Eleno. Ty chyba już nie potrafisz traktować ludzi normalnie. Ale jest to pocieszające, bo świadczy, że wróciłaś już do formy. W takim razie spotkamy się wszyscy u ciebie na podwieczorku.

– Bezczelna jak zawsze – skomentowała Elena przymrużywszy swoje ciemne oczy. – Mniejsza z tym, nie powinnam się denerwować. Mam nadzieję, że ci dwaj twoi przyjaciele są bardziej towarzyscy, chociaż wysocy bywają przeważnie głupkowaci.

– Horsta już przecież znasz i nie powiesz chyba, że jest głupi. Sven natomiast powinien ci się spodobać; jest nieśmiały i odzywa się tylko, gdy go o coś spytasz.

– A kim on jest z zawodu?

– Chce zostać łowcą wielorybów.

– Zgłupiałaś?! I ja mam takiego zapraszać na herbatę?

– Myślałam, że zapraszasz mężczyznę, a nie fachowca.

– Żmija! Dobrze, że spieranie się z tobą znów sprawia mi radość.

– Mam nadzieję, że tak będzie zawsze, bo chyba zdajesz sobie sprawę, że Herbert nigdy nie

zostawi mnie samej – stwierdziła Gundi obojętnym tonem.

Elena zastanawiała się chwilę patrząc na swoje polakierowane paznokcie. – To się jeszcze okaże, mała. Co powiesz o moim obecnym wyglądzie?

– Zupełnie znośnie, nie jak zagłodzona mumia. Bez tego wściekłego makijażu wyglądasz o wiele młodziej. Z odrobiną tuszy jest ci też zupełnie do twarzy.

– Ulżyło ci, mała żmijo, że wystrzeliłaś swój jad?

– Och, bardzo! Ale, jeśli sobie dobrze przypominam, zawsze rozmawialiśmy w ten sposób. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

– Zmykaj stąd, zanim nie zacznę rzucać poduszkami – uśmiechnęła się Elena.

– Poduszki to raczej lekka broń. Pamiętam, że rzuciłaś już we mnie partyturę, kiedy ci powiedziałam, że twoja suknia mi się nie podoba. – Gundi posłała jej grymas i szybko wyszła z wyperfumowanego pokoju.

Na korytarzu nabrała głęboko powietrza i wydymając policzki westchnęła: – Och, Herbercie, i ty chcesz to wytrzymać przez całe życie? Nie wróżę ci świetlanej przyszłości!

Zamyślona zeszła na dół, gdzie Doris poinformowała ją, że panna Ingrid czeka w salonie.

Rozmawiały bez końca, odnajdując dla siebie ogromną sympatię, nic więc dziwnego, że szybko porzuciły formalne zwracanie się przez pani i przeszły na ty. Można powiedzieć, że zaprzyjaźniły się już przy pierwszym spotkaniu.

Pora podwieczorku u Eleny już się zbliżała, a Gundi wciąż miała zastrzeżenia do wyglądu obu wielkoludów wybierających się na przyjęcie do wielkiej gwiazdy.

Najpierw kazała im porządnie wyszczotkować włosy, potem odebrała fajki, sprawdziła paznokcie i chusteczki do nosa. Na koniec uprzedziła, że przed drzwiami mają podciągnąć skarpetki, aby nie wisały jak harmonijki.

– Coś jeszcze do poprawki? – spytał Horst marszcząc czoło. Gundi obeszła go dookoła jak posąg w muzeum, dotknęła pod brodą i rzekła: – Golenie, mój drogi!

– Przecież zrobiłem to już rano.

– Widać niezbyt starannie. Sven także zarósł jak druciarz, a na dodatek w jego brodzie połyskują rude włosy.

– Rude? Chyba nie powiesz, że przemieniam się w Rudobrodego! Moja matka zawsze była dumna z moich złotobląd kędziorów i jako chłopca, ubierała mnie w czarne aksamitne ubranka ze sztywnym kołnierzykiem, czym co niedziela psuła mi humor na cały dzień.

– Ja nie zamierzam psuć wam humoru, ale nalegam, żebyście poszli się ogolić. Za pół godziny chcę was tu widzieć gotowych do wizyty – wypchnęła pomrukujących wielkoludów z pokoju i z wypiekami na policzkach podeszła do uśmiechniętej Ingrid. – Z nimi tak zawsze. Gdyby ich nie przypilnować, chodziliby jak oberwańcy.

– Przyjemnie posłuchać, jak przyjaciele się przekomarzają. U nas w Boorstenhaus takich rozmów się nie słyszy. Zawsze obowiązywała powaga. Ojciec nie uśmiechał się prawie wcale, a matka tylko czasami. Dopiero teraz, od kiedy Helena mieszka u mnie, zrozumiałam tak

naprawdę, dlaczego ona przed laty uciekła z domu. Po prostu nie lubiła spokoju panującego w Boorstenhaus.

– Ty, Ingrid, nigdy nie marzyłaś, żeby stąd wyjechać?

– Nie wiedziałam, że można żyć inaczej. Kiedy pierwszy raz stąd wyjechałam – po Helenę do Salzburga – zobaczyłam, jak w świecie jest pięknie i wesoło, nie tak nudno i jednostajnie, jak tu nad zatoką. Ale ty chyba nie narzekasz na życie, jakie prowadzicie oboje z bratem? – spytała nie odrywając oczu od robótki, którą trzymała w ręku.

Gundi zabrała jej igłę, nawinęła nici na kłębek i odłożyła do koszyka. – Przestań sobie psuć oczy przy tym haftowaniu. Dla kogo ty to robisz, dziewczyno?

– Sama nie wiem. Jak człowiek się za młodu przyzwyczai, to potem musi coś robić przez całe życie. A nasza matka nie lubiła, gdy ktoś siedział z pustymi rękoma.

– Teraz jej już nie ma, więc możesz. A odpowiadając na twoje pytanie: dobrze czujemy się oboje z Herbertem w naszej starej willi, którą zostawili nam rodzice. Jesteśmy bardzo zżyci i kiedy Herberta nie ma, od razu dom wydaje mi się jak wymarły.

– To co zrobisz – odezwała się Ingrid po chwili – kiedy brat ożeni się z moją siostrą? Wyjedzie i zostawi ciebie i willę.

Gundi wzruszyła ramionami. – Jeszcze nie tak prędko. Z Eleną nigdy nic nie wiadomo. Był już czas, że omal nie poszli do ołtarza, już niemal były weselne dzwony, a skończyło się na dzwonach w operze „Tosca”, które dla Eleny okazały się ważniejsze. Nawiasem mówiąc, była to chyba jej najlepsza rola. Doskonale zaśpiewana i odegrana, zupełnie jak w życiu: Elena wyłącznie gra.

Ingrid słuchała z przerażeniem w oczach; położyła Gundi rękę na ramieniu i spytała: – Brat nie złości się na ciebie, kiedy tak krytycznie wypowiadasz się o jego narzeczonej?

– Dlaczego miałby się złościć?

– Nie wiem, ale tak mi się wydaje... nie znam się na tym, ale nikt nie lubi słuchać krytyki osoby, którą bardzo kocha.

– Aż tak poważnie to bym tego nie traktowała.

– Czego, Gundi?

– Tej ich miłości. Brr, patrzysz na mnie, jakbym ogłosiła jakąś herezję, a prawda jest taka, że na weselu Herberta i Eleny na pewno tańczyć nie będziemy.

– Chcesz powiedzieć, że twój brat...

– Na pewno nie uschnie z rozpacz, jeżeli Elena da mu kosza i pryśnie gdzieś w świat. Czuje się zobowiązany zaręczynami, zwłaszcza teraz, gdy ona jest chora, ale to chyba wszystko, co go przy niej trzyma. No, wracają nasze świeżo wymyte bobasy. Doskonale, chłopcy, wyglądacie jak półgwiazdorzy!

– Za te „pół” należy ci się nauczka! Jak możesz tak traktować poważnego, trzydziestosześcioletniego mężczyznę?! Zaraz wyrzucę cię przez okno – Horst porwał drobną Gundi na ręce i uniósł ją wysoko jak lalkę.

Wiła się jak piskorz i nie myśląc długo, ugryzła Horsta w ucho.

– Auu! Ta bestia gryzie!

– Każde stworzenie się broni, kiedy pozbawia się go swobody. Chodźmy już do Eleny, bo zacznie się złościć i jeszcze dosypie nam trucizny do herbaty. Idziesz z nami, Ingrid?

– Przyjdę później. Muszę powiedzieć Doris, co ma przygotować na kolację.

– O, a mogę spytać, co będzie? Na świeżym powietrzu zawsze mam wilczy apetyt i obawiam się, że spustoszymy pani spizarnię.

– Doris planuje pieczeń na zimno i sałatkę jarzynową.

– Zamawiam! I proszę dużo sałatki.

– Oj, ty żarłoku! Idziemy i nie przynieście mi wstydu przed Eleną. – Gundi pogroziła obu palcem.

– A co wolno nam robić?

– Najlepiej traktujcie ją tak, jakbyście rozmawiali z ukochaną osobą. Elena bardzo lubi komplementy, więc jej ich nie żałujcie.

Chwilę później siedzieli już w dusznym pokoju, naprzeciwko Eleny, która w udekorowanym fotelu odgrywała kolejną, swoją rolę. Była ogromnie zadowolona, że wreszcie może usiąść w towarzystwie dwóch, nad wyraz przystojnych mężczyzn, a nie ciągle użerać się z tyjącą w oczach, grubą Metą. Ta zresztą też biegła cała w skowronkach, gdyż choć przez chwilę czuła się jak za dawnych czasów. Podała herbatę, podjadała kanapki i przysłuchiwała się interesującej rozmowie.

– Prawda to, panie Holrrt, co powiedziała mi Gundi, że chce pan zostać łowcą wielorybów?

– Od dawna o tym marzę. – Odpowiedź Svena nie należała do najdłuższych.

– Ależ na takim statku musi strasznie/cuchnąć tranem, a poza tym, na pewno nie ma tam kobiet.

– A po co kobiety?

– Nie lubi pan kobiet?

– Lubię, ale nie na statku. Wyprawiają takie głupoty, że lepiej ich nie zabierać w ogóle.

– No tak, nic dodać, nic ująć. A pan co teraz robi, Horst?

– Zaplatam warkoczyki.

– Czy pan zwariował?

– Skądże! Proszę zobaczyć, już siedem zaplotłem. – Horst podniósł rąbek obrusa i pochwalił się warkoczykami z frędzli. Gundi jednak trzepnęła go mocno po palcach i cała praca poszła na marne.

– Cóż, madame, dla biednego doktora chemii nie ma specjalnie ciekawych zajęć. Musi cierpliwie czekać, aż za jakiś oryginalny pomysł ktoś da mu tytuł profesora. Nic lepszego nie przychodzi mi teraz do głowy.

– To po co, u licha, jechaliście do tej brudnej Afryki?

– Gundi zbierała kwiatki, Herbert kamienie, a ja pełzałem po ziemi i szukałem ziółek. Szwed

zaś polował na moskity, bo żaden lew nie nawinął mu się pod lufę.

– Jak to, w Afryce nie ma lwów?

– Są, ale akurat zebrały się na mityngu w dżungli, by zaprotestować przeciwko niskim gazom w filmie. Uważają, że Sophia Loren dostała więcej od nich i są obrażone. – Akurat panu uwierzę! Powiedzcie przynajmniej, po co tu przyjechaliście?

– Aby rzucić się do stóp najpiękniejszej kobiecie świata i wyrazić radość, że wraca do zdrowia – Horst popatrzył na Gundi i spytał: – Dobrze to ująłem?

– Ty okropny łobuzie! Nie gniewaj się, Eleno, ale te dwa dzikusy jeszcze się nie przyzwyczaiły, że nie są już w buszu.

– O ile pamiętam, specjalnie z nami tam pojechałaś, abyśmy nie zdziczeli. Więc jak nas pilnowałaś? – a zwracając się do Eleny, rzekł poważnie: – Proszę mi wierzyć, madame, ale naprawdę się cieszę, że pani wraca do zdrowia. Czym byłaby opera bez wielkiej Eleny Gerber?

Machnęła niedbale ręką, a jej karminowo umalowane usta ułożyły się w triumfujący uśmiech.

– Za wcześnie na radość, drogi przyjacielu. Jeszcze nie wy dobyłam z siebie ani jednego tonu, ale będę cierpliwie czekać na decyzję profesora z Heidelbergu. Jeżeli pozwoli mi śpiewać, to dopiero świat usłyszy, co Elena Gerber naprawdę potrafi! – rozłożyła szeroko ręce i rozejrzała się po obecnych. – Och, śpiewać, słuchać orkiestry, aplauzu publiczności, to jest dopiero raj na ziemi, to jest dla mnie największe szczęście! W tym momencie weszła do pokoju Ingrid, położyła rękę na ramieniu Eleny i czekała, aż ona skończy.

– Ostrożnie, Heleno, mówisz za głośno i za dużo, a jeszcze nie wiemy, co o twoim zdrowiu powie specjalista. Właściwie to przysłałam ' po gości, bo męczą cię już za długo.

Jak na komendę obaj mężczyźni i Gundi wstali, a Elena zrobiła skwaszoną minę.

– Ty zawsze jnuszisz zjawić się ze swoją łyżką, dziegciu, akurat kiedy wreszcie dzieje się coś nowego, co uprzyjemnia mi trochę to więzienie w Boorstenhaus.

– Przyjechałaś tu dobrowolnie, siostró, a poza tym prosiłaś abym się tobą opiekowała. Wywiążę się z tego obowiązku do końca, chyba że mnie wcześniej zwolnisz.

Uśmiechała się głaszcząc Elenę po jej kruczoczarnych włosach, potem ukloniła się i wszyscy razem wyszli z pokoju.

Elena posłała za nimi złośliwy grymas, co Meta odczytała jako sygnał do pożalenia się na surowość obyczajów, panujących w tym domu. Zanim się obejrzała, dostała od Eleny siarczysty policzek.

– Masz i zapamiętaj sobie raz na zawsze, co ci wolno, a co nie. Na krytykowanie mojej siostry jesteś za głupia i zbyt ordynarna.

Goście przebywali już w Boorstenhaus od kilku dni. Ciepła wczesnojesienna pogoda sprzyjała dobremu nastrojowi. Ponadto profesor z Heidelbergu orzekł, że głos Eleny w zasadzie jest uratowany, ale przez kilka tygodni musi ona jeszcze wypoczywać; jeżeli chce rozpocząć próby, to bardzo ostrożnie. Z uśmiechem przyznał, że dobrze byłoby posłuchać rady kolegi

Burgera i przybrać na wadze jeszcze ze cztery, pięć]

funtów. Ostrzegł też, żeby Elena nigdy już nie dała się skusić na żadną dietę odchudzającą, bo struny głosowe drugi raz takiego wysiłku nie wytrzymają. Zalecił, aby za cztery tygodnie, kiedy będzie miała za sobą kilka prób, przyjechała do niego do Heidelbergu na szczegółowe badania.

Śmiejąc się i płacząc na przemian, Elena obiecywała wszystko, czego tylko od niej żądano, byleby móc jak najprędzej wrócić na scenę. Hojną ręką wypisała czek profesorowi i kazała go odwieźć swoim cadillakiem aż do Heidelbergu. Potem obejmowała i obcałowywała każdego, kto nawinął się jej pod rękę.

Tym razem postanowiła wywiązać się także z obietnic, które żarliwie składała w chwilach załamania, i natychmiast przekazała spore kwoty na fundacje opiekujące się domami starców oraz śpiewaczkami chwilowo pozbawionymi angaży.

Zacząła się korespondencja z dyrektorami teatrów i festiwali, postawiono na nogi dziennikarzy, dostarczając im sensacyjnych wiadomości: boska Elena Gerber wreszcie pokonała ciężką chorobę, wkrótce pojawi się na scenie i w salach koncertowych. Niepozorny sekretarz Hillay, pracujący dla Eleny od lat, uruchomił na nowo całą tę machinę, gdy tylko gwiazda dała znak.

Poza tym życie w Boorstenhaus wróciło do normy. Ingrid uspokoiła się nieco po zejściu z Bergerem. Dostał już pewnie pieniądze i na jakiś czas się odczepi. Ponadto doktor Burger powiedział, że wkrótce zgłosi się do Ingrid i omówi z nią możliwości przeprowadzenia rozwodu. Była to pocieszająca wiadomość, która odmierzała przygnębioną ostatnio pannę Boorsten nie do poznania. Po części była to niewątpliwie też zasługa Gundi, którą Ingrid polubiła, jak jeszcze nikogo dotąd.

Nadeszły chłodniejsze dni i całe towarzystwo schodziło się do salonu, gdzie przy kominku słuchano muzyki w wykonaniu korepetytora, którego Elena zmuszała do przegrania niemal całego jej repertuaru. Powoli, bez nadmiernego wysiłku, wielka diva wracała do formy i coraz bardziej z załamanej i znerwicowanej pacjentki wychodziła prawdziwa, pełna temperamentu i zapału do „pracy Elena Gerber, dla której nic prócz śpiewu się nie liczyło.

Pewnego wieczoru, gdy obaj panowie zmęczeni wiosłowaniem poszli spać do domku gościnnego, Ingrid i Gundi siedziały przy kominku same i w miłym nastroju gwarzyły sobie na różne tematy.

Gundi siedziała na niskim podnóżku, z kolanami pod brodą, i chrupiąc herbatniki spoglądała raz po raz na sufit, skąd dochodziły odgłosy śpiewu.

– O, wielka diva wciąż ćwicz.

– Wyobrażam sobie, jak wielką ulgę musi odczuwać Elena wiedząc, że znowu może śpiewać.

– To na pewno! A wszystko, co nie służy jej karierze, zaraz odrzuci na bok. Tak robiła zawsze i dlatego nigdy nie uwierzę w tę jej miłość do Herberta.

– Skąd ci to przyszło do głowy, Gundi?

– Obserwuję. Na pewno jej się Herbert podoba i ona lubi się nim chwalić jako narzeczonym, ale od lat nie może się zdecydować na podjęcie wiążącej decyzji. Moim zdaniem, wyrządza Herbertowi wielką krzywdę, bo powinna mu wyraźnie powiedzieć: nie, mój drogi, o małżeństwie nie może być mowy!

Ingrid nerwowo przekładała swoją robótkę. Siedziała jak zwykle na swoim miejscu przy oknie i zerknęła ze strachem w oczach na Gundi. – Nie wierzę, żeby tak mogła powiedzieć. W gorączce cały czas go wołała, a on też ją chyba kocha, skoro przyjechał do niej prosto z męczącej podróży.

Gundi potarła swój lekko zadarty nos, a udając, że poprawia paski u sandałów, odezwała się półgłosem:

– Na pewno się nie mylę sądząc, że ta jego miłość nie jest aż tak namiętna. Elena prosiła go, by pojechał z nią do Salzburga, a on mimo to wybrał safari. Przez cały czas ani razu o niej nie wspomniał aż do chwili, gdy dostał od ciebie ten list. Tylko że wtedy odezwało się w nim raczej poczucie obowiązku, a nie miłość. Słyszałaś, żeby teraz chociaż jedno z nich wspomniało o ślubie? Nie, czyli nic się nie zmieniło!

– Mam wrażenie, że twój brat przysłał tu ciebie i swoich przyjaciół właśnie dla Heleny.

– Skądże znowu! Po ciężkiej wyprawie chciał nam zafundować odpoczynek w zacisznym miejscu o zdrowym klimacie. Lepszego nie mógł znaleźć. Wystarczy popatrzeć na tych dwóch wielkoludów – czują się tu jak u siebie w domu, a z Gindingiem szwargoczą gwarą, jakby się tu urodzili.

– A ty, Gundi, jak się tu czujesz?

– Doskonale, Ingrid. Bardzo cię polubiłam, podoba mi się ten dom, okolica, zatoka, a nawet ten ustawiczny wiatr. Tylko Eleny nie trawię. Zakłóca spokój i najwyższy czas, żeby już się stąd wyniosła.

– Nie mów tak, Gundi. W końcu jest to jej rodzinny dom, tak samo jak mój.

– Austriackie gadanie! Przecież wiesz, dlaczego tu się znalazła? Gdyby nie zalecono jej zmiany klimatu, nigdy w życiu by tu nie przyjechała, a ty mówisz „jej rodzinny dom”! Nawet sobie nie wyobrażasz, do jakiego luksusu ona jest przyzwyczajona. Szkoda, że Herbert nie mógł przyjechać tu z nami, choćby na kilka dni. Już zaczyna mi go brakować. Dobrze zrobiłam, że nie puściłam go wtedy samego do Afryki.

– Jednak kiedyś będziesz musiała go opuścić.

– Ja?! Niby dlaczego?

– Znajdziesz mężczyznę, którego pokochasz i wyjdiesz za niego.

– Możliwe, ale nie wcześniej, zanim Herbert się nie ożeni, i to z odpowiednią kobietą. Elena na pewno nią nie będzie.

– Chcesz być dyktatorem? A co, jeżeli Herbert mimo to zechce ożenić się z Heleną.

– Zadajesz akademickie pytania. Już ja zrobię wszystko, żeby nie zechciał. Nie da się

przecież połączyć ognia z wodą. Ci dwoje wydrapią sobie oczy, bo Herbert nie będzie chodził na sznurku, jak Elena zechce, a ona mu tego nie daruje. Ja nie krytykuję Eleny dla zasady, nie o to chodzi, stwierdzam tylko fakty; ona po prostu jest taka, a nie inna. Zostawmy ją już w spokoju.

Padam ze zmęczenia. Świeże powietrze i długie spaceru dają mi się we znaki. Nie gniewaj się, ale pójde w ślady moich wielkoludów i też ucieknę do łóżka. – Gundi wstała ociężale, pocałowała Ingrid we włosy i poklepała serdecznie po ramieniu. – Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jaka jesteś piękna?

Zakłopotana, ale też uradowana Ingrid, broniła się niezręcznie:

– Nie pleć głupstw, Gundi. Wcale nie jestem ładna. Poza tym, skąd mam wiedzieć, co dzisiaj w świecie jest ładne?

– Rany boskie! Tylko nie próbuj czasami przebierać się w modne fatałaszkę, bo natychmiast przestanę cię lubić.

Szybko pocałowała ją jeszcze raz i wybiegła z pokoju. Przechodząc obok drzwi Eleny usłyszała odgłos przesuwanych waliz i mebli. Pokazała język w tamtą stronę i mruknęła: – Ta zawsze musi robić dużo szumu wokół siebie.

Ingrid zamyśliła się głęboko, gdy została sama. Czy ta dziewczyna wyciąga prawidłowe wnioski ze swoich obserwacji? Czyżby rzeczywiście jej brata i Heleny nie łączyła wielka miłość? Przecież oboje tęsknili za sobą. Ona wzywała go w gorączce, a on natychmiast przyjechał. Tylko ktoś, kto bardzo pragnie wziąć ukochaną osobę w ramiona, przyleci do niej aż z drugiego końca świata. To wskazywałoby na miłość, ale jeżeli Gundi ma rację? Może on wcale nie kocha Eleny, a jedynie nie chce jej zostawić teraz samej? Wtedy ona będzie nieszczęśliwa przez całe życie, zupełnie tak samo jak Ingrid, która też już go więcej nie zobaczy... Boże, co za myśli ją nachodzą? Kto dał jej prawo, żeby w ten sposób traktować Herberta? Czy słowa, które przy niej powiedział, i te, które teraz napisał, upoważniają aż do tak daleko sięgających planów?

A co ona mu powiedziała? Przemilczała, że zgodnie z prawem jest już mężatką. Skłamała, i to poczucie winy na zawsze oddzieli ją od Herberta.

Dotknęła rękoma rozpalonych policzków i zupełnie załamana zaczęła nerwowo chodzić po pokoju tam i z powrotem. Nie zauważyła, kiedy do pokoju weszła Doris z jakimś zapytaniem.

– Ojej, a cóż to panienka tak galopuje? Ktoś panią zdenerwował? Niech patrzy jak zejść mi z drogi ten...

– Nie Doris, to nie to, co myślisz. Boję się, strasznie się boję.

– Chyba nie tego wieprza? Ten już tu się nie pokaże, póki ja żyję, może być panienka pewna.

– Skąd jesteś tego tak pewna, Doris?

– Kiedyś i tak muszę to pani powiedzieć, więc najlepiej, jak zrobię to teraz. Wtedy po tej awanturze w dniu wesela przyłapałam drania, jak kradł.

– Bój się Boga, Doris, co ty opowiadasz?!

– Za rękę go nie złapałam, ale udowodniłam mu, że zabrał kilka cennych antyków. Dlatego schodzi mi z drogi, bo wie, że w razie czego zaraz doniosę na policję. Co mówi doktor Burger?

Ten rozwód da się szybko przeprowadzić?

Ingrid opuściła bezradnie ramiona.

– Tak szybko, jakbyśmy chciały, na pewno nie. Jeżeli on się nie zgodzi, to będziemy mieć jeszcze sporo kłopotów, ale sprawa jest do załatwienia. Wiesz, Doris, tak sobie czasami myślę, czy dobrze zrobiłam ukrywając, że właściwie nazywam się pani Berger? Chyba powinnam powiedzieć prawdę.

– Po to, żeby wszyscy dopytywali się, gdzie przebywa szanowny małżonek? O nie, dziecko! Dobrze pani zrobiła, że nikt o nim nie wie. A jak się będzie stawiał, to pójdzie do więzienia za kradzież. Już ja tego dopilnuję. Teraz czas do łóżka. Mam nadzieję, że tam rano też się uspokoi. Czy one tam meble przestawiają?

– Może rzeczywiście Helena chce coś przestawić? Poślij no Gindinga na górę, niech im pomoże.

– A broń Panie Boże! Chciałam spytać, co jutro podać na śniadanie, to ta gruba omal mi nosa nie przytrzasnęła drzwiami. Ten, co gra na fortepianie, i pan sekretarz, pojechali samochodem do Wolgraben, a tak się spieszyli, jakby ich czort gonił. Urwanie głowy z tą Heleną! Niech się już wreszcie wyniesie z Boorstenhaus, to znów będzie tu cicho i spokojnie.

– Owszem, ale będzie nam czegoś brakowało. Będzie chyba smutno – rzekła po cichu zapatrzona w ciemności za oknem.

Doris popatrzyła spod oka i mruknęła: – Jest przecież ta mała i te dwa wielkoludy. Robią tyle szumu i wszędzie ich pełno, że nie ma mowy o smutku!

– Ale i oni wyjadą wcześniej, niż bym tego chciała. Nic nie poradzimy, Doris. Z nadejściem pierwszych mrozów znów zapadniemy w sen zimowy, tak samo jak od wielu już lat.

– A gdybyśmy tak, panno Ingrid, spakowały manatki i pojechały do Heleny, zobaczyć jak ona tam w świecie mieszka?

Ingrid machnęła ręką i uśmiechnęła się gorzko.

– Ten świat, to nie dla nas, Doris. Ja czułam się tam tak, jakbym musiała uczyć się stawiać pierwsze kroki. Zostańmy lepiej tutaj – rzekła i odwróciła głowę, żeby ukryć cisnące się do oczu łzy.

XVI

– W ogóle nie biorą! – mruknął Horst, wpatrując się w szałwiarz swojej wędki, usadowiony na kołyszącej się łódce daleko od brzegu.

Z drugiej łódki odezwał się Sven.

– A po co mają brać?

– Rzeczywiście! Po co my w ogóle łowimy? Zmuszamy tylko te biedne rybki, żeby omijały nas z daleka.

– Po to tu są.

– Po co?

– Żeby pływać.

– Jak to? Nic z tego nie rozumiem.

– Bo jesteś tuman i nie znasz się na filozofii.

– Aha! A ty się znasz?

– Oczywiście.

Zamilkli i dalej gapili się w szałwiarze, spokojnie pływające po gładkiej jak lustro tafii zatoki. Jakoś żadna ryba nie miała ochoty na robaki nabite na haczyki.

– Słuchaj, ta twoja wyprawa na wieloryby też ma coś wspólnego z filozofią?

– Naturalnie! Pomyśl tylko, jak to mądrze Pan Bóg wymyślił, że jedno stworzenie umierając, pozwala drugiemu żyć.

– Dla mnie to za trudne. Dobrze by było jednak coś złapać, bo stangret Ginding nas wyśmiej, a Ingrid także. Jak ona ci się podoba, stary?

– Głupie pytanie! Chyba się nie spodziewasz, że powiem coś krytycznego?

– Rozumiem. A jak oceniasz Elenę? Divę i światową sławę?

– Poza tym, że pięknie śpiewa, jest okropna. Ładna, ale czy komuś może się podobać wulkan, który co chwilę tryska gorącą lawą? Nigdy człowiek nie wie, czy dostanie pocałunek czy poduszkę w łeb.

– Sven, do licha, nie wiedziałem, że tak się znasz na ludziach! Dokładnie jestem tego samego zdania i naprawdę nie rozumiem, jak Herbert mógł się w tej diaboliczności zakochać?

– Wcale nie jest w niej zakochany – rzekł ze stoickim spokojem Szwed. – Może był sto lat temu, ale teraz już nie jest.

– To po co tu przyjechał?

– Poczucie obowiązku, czy coś w tym rodzaju. Gdyby ją kochał, byłby tu teraz z nami. Spytaj zresztą Gundi, ona jest tego samego zdania.

Znowu zapadła cisza; obaj zapalili fajki i siedząc na kołyszących się łódkach, wpatrywali się w szałwiarze.

- Po co my tu jeszcze siedzimy?
- Dla zabicia czasu. Kina w pobliżu nie ma.
- Ale będzie, kiedy wywalisz się z tej balii prosto do wody. Przynajmniej bym się uśmieł.
- A dlaczego ja? Może ty byś coś zrobił dla publiczności patrzącej na nas na brzegu?

Wstali równocześnie, gdy Horst wrzasnął: – Bierze! – ale w tym samym momencie stracił równowagę i wpadł do wody. Kiedy po chwili wynurzył się z głupią miną, Sven przyglądał mu się z politowaniem i spytał: – I po co wskakiwałeś?

– Żeby sprawdzić, co mi się złapało, dumniu! Pomóż mi raczej wyjść, bo jest piekielnie zimno i wolałbym mieć na sobie suche spodnie.

Sven zabrał się za wyciąganie rozbitka niezbyt sprawnie, bo zaplątał się w linki obu wędek, a jeden z robaków na haczyku cały czas balansował w pobliżu szeroko otwartych ust Horsta, który to spluwając, to klnąc, wgramolił się wreszcie na burtę. Svenowi pozostało już tylko chwycenie go za spodnie i wciągnięcie do środka.

Horst złapał wielkie, stare wiosło i jak oszalały płynął do brzegu, gdzie stała zadowolona Gundi, przyglądająca się całemu zdarzeniu.

– Jak będziesz się śmiać, to wlepię ci takiego klapsa, że popamiętasz! – burknął omijając ją z daleka. Pędził prosto do domku dla gości, gdzie Ginding akurat rozpałał w piecach. I całe szczęście, bo przynajmniej pomógł Horstowi zdjąć przemoczone ubranie i poradził, żeby poszedł do kuchni, to Doris da mu kieliszek rumu.

– Nie nadaję się na rybaka, Doris. Na korcie tenisowym radzę sobie znacznie lepiej – tłumaczył się Horst przed kucharką.

– Wszystko wymaga wprawy, ale przecież liczą się dobre chęci. Wie pan, ja tam martwię się czym innym.

– A czym to, droga Doris?

Kucharka pokazała sufit nożem, którym kroila właśnie cebulę.

– Coś tam nie gra?

– Sama nie wiem. Jakoś za cicho. Nie słychać, żeby się ruszały, a gruba Meta nie przyszła po śniadanie dla Heleny.

– Może zasnęły?

– Obie? Wygląda to dość podejrzanie, ale nie chcę nic mówić Ingrid, bo biedaczka i tak ma dość kłopotów.

– Gdyby trzeba wezwać lekarza, to nawet nie ma tu telefonu.

– Na pewno nie będzie trzeba. Obawiam się, że zmalowały coś znacznie gorszego.

– Niechże pani mówi po niemiecku, Doris! Nie lubię rozwiązywać zagadek – rzekł Horst nie spuszczać oczu z zatroskanej twarzy staruszki, która wreszcie przełamała nieufność i nachyliwszy się, szepnęła Horstowi na ucho:

– One uciekły, panie!

– Uciekły? Kto? Nic nie kapuję!

– Helena i ta gruba Meta... uciekły z Boorstenhaus!

– Ależ, Doris! Co też pani wymyśliła?! Po co miałyby uciekać? A gdyby nawet, to jak? Na piechotę?

– Już wczoraj się przygotowywały. Cały czas to szuranie, a ta gruba zatrzasnęła mi drzwi przed nosem, gdy chciałam spytać, co chcą na śniadanie, ale zdążyłam zobaczyć wielki kufer stojący na środku pokoju. Mówię panu, że w nocy uciekły – dodała Doris z goryczą w głosie.

– Zaraz się przekonamy, czy rzeczywiście. – Horst nie zważając na błagalne spojrzenia staruszki, wbiegł po schodach i nasłuchiwał pod drzwiami pokoju Eleny. Cisza. Zastukał – brak odpowiedzi. Chyba Elena Gerber nie zachorowała ponownie...

Zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę i znalazł się w zdemolowanym pokoju. Ze staromodnego łóża zniknęły jedwabne prześcieradła i kołdry, nie było koronkowych poduszek ani kufra z kosmetykami.

Horst podparł się pod boki i mruknął sam do siebie:

– Ot i wdzięczność ludzka! Komediantka i tyle. A to co? – popatrzył na zaimprovizowane biurko i zobaczył kopertę zaadresowaną do Ingrid.

– Zwykły tchórz! Mniejsza o nią, ale szkoda Ingrid. Powoli, jakby nie chciał wywoływać hałasu, wrócił do kuchni.

– Zgadza się, Doris. Pozostał po nich tylko ten cholerny zapach perfum i list dla Ingrid. Co teraz zrobimy?

– Biedna Ingrid! Nie zasłużyła sobie na takie potraktowanie, ale moim zdaniem, trzeba jej szybko o tym powiedzieć.

– Może lepiej trochę poczekać?

– Nie, im szybciej tym lepiej, a przynajmniej można będzie od razu posprzątać ten cały teatralny kram. – Zdjęła fartuch, wytarła ręce i pobiegła do salonu.

Ingrid zwijała wełnę, a Gundi trzymała motek między wyciągniętymi rękoma.

– Panno Gundi, pan Horst chciałby z panią porozmawiać, a ja mam sprawę do panny Ingrid.

Słyszając ostry ton w głosie kucharki, Gundi bez słowa odłożyła wełnę do koszyka i wyszła, zaś Ingrid z niedowierzaniem kręciła głową:

– Zbyt uprzejmie tego nie zrobiłaś, Doris. Chyba mogłaś poczekać z tą swoją sprawą, prawda?

Kucharka podeszła do niej, położyła swoje spracowane ręce na jej ramionach i rzekła krótko:

– Helena uciekła!

– Co ty mówisz, Doris? – odezwała się Ingrid po chwili. Doris opowiedziała w kilku słowach, co stwierdził Horst. Ingrid zerwała się i pobiegła na górę. Weszła do pokoju Eleny, wzięła do ręki kopertę i rozejrzała się dookoła. Zbladła, ale bez pośpiechu rozdarła kopertę, gdyż i tak wiedziała, co było w tym liście.

Ingrid! Wiem, że nieładnie postąpiłam, wyjeżdżając bez pożegnania, ale nie cierpię czułych

rozstań. Nie mogłam już tu wytrzymać i jeśli chcę zrealizować moje plany, muszę natychmiast wrócić do normalnego życia.

Nie traktuj mnie jak niewdzięcznicy, która znowu uciekła z Boorstenhaus, bo jestem ci ogromnie zobowiązana. Byłaś moim aniołem. Dziękuję też staremu doktorowi, który przywracając mi głos, właściwie uratował mi życie. Jadę prosto do mojej willi w Lugano i zabieram się ostro do pracy, gdyż za trzy miesiące zamierzam wystąpić w Paryżu w roli Toski. Na pewno o mnie usłyszysz. Jestem Ci wdzięczna, ale już nie jestem jedną z Was. Przekaż Herbertowi list, który zostawiłam, i wykorzystaj czek, który powinien wystarczyć na opłacenie służby i kosztów mojego utrzymania. Zapraszam Cię do siebie przy okazji najbliższych występów w Niemczech. Wiem, że mi wybaczysz. Dziękuję Ci jeszcze raz Helena

Ingrid opadły ręce. Popatrzyła na leżący obok list dla Herberta Sandersa. Jakby mało było goryczy, czeka ją jeszcze spełnienie tej przykrej misji. Dlaczego Helena nie mogła wyjechać zwyczajnie? Chyba nie stało się nic takiego, co uniemożliwiło jej normalne pożegnanie? Ingrid wyszła z pokoju i nagle ogarnęła ją taka wściekłość, że trzasnęła z całej siły drzwiami” choć nigdy tego nie robiła. Czuli się upokorzona i musiała sobie ulżyć, a skoro pod ręką były tylko drzwi...

Doris stała na dole przy schodach, ale nie odezwała się. Ingrid przeszła obok niej, i dopiero przy drzwiach do ogrodu odwróciła się i rzekła:

– Powiedz Klarze, aby wysprzątała pokoje na górze i zamknęła je dobrze na klucz.

Kucharka chciała coś powiedzieć, ale Ingrid odpędziła ją gwałtownym ruchem ręki i wyszła. Przerazona staruszka złapała się za głowę i pobiegła do pokoju, gdzie siedzieli Horst i Gundi. Kiwnęła tylko ręką, a oni bez słowa poszli za nią do ogrodu, z ukrycia obserwując, co robi Ingrid.

Wiał słaby, ale wilgotny i chłodny wiatr, a ona bez ciepłego okrycia biegła na kamienne molo, wcinające się głęboko w wody zatoki, koło przystani na końcu wsi. Chciała być sama, aby wypłakać swoją gorycz z daleka od ludzi.

Było jej strasznie przykro, że Helena postąpiła z nią tak nieludzko. Wydawało jej się, że w ciągu tych kilku tygodni nawiązała się między nimi bliższa więź, o ile nie wręcz siostrzana miłość. Teraz znów zostanie przeraźliwie sama. Wyjadą też pozostali goście, a Herbert Sanders nie przyjedzie już więcej do Boorstenhaus, bo niby po co? Już nie spotkają się nigdy. Na pewno on dowie się z gazet, że Helena jest już w Lugano, i pojedzie tam, zadowolony, że nie musi marznąć nad chłodną i wietrzną zatoką.

Otrząsnęła się, by jak najprędzej odzyskać spokój. Patrzyła przez chwilę na połyskującą tafle wody, na szybujące bądź nurkujące wokół mewy i powoli wracała w stronę Boorstenhaus.

Było jej ciężko, nie wiedziała, co z sobą zrobić, a mimo to uśmiechnęła się blado: ma dużo pracy, a to pozwoli jej szybko zapomnieć o wszystkich kłopotach.

Nie wiedziała, że nagłe pojawienie się Gundi i Horsta uchroniło ją przed kolejnym napadem

Gwido Bergera, który od rana czatował w pobliżu Boorstenhaus, żeby ją zaczepić. Teraz tupnął ze złości, że musi czekać dalej. Znalazł się już w tak krytycznej sytuacji, że nie może wyjechać stąd bez pieniędzy.

Gundi objęła Ingrid i spytała po cichu:

– Bardzo się smucisz?

– Jest mi przykro, ale przecież wiedziałam od początku, że Helena wyjedzie stąd lada dzień.

– Tylko nie musiała tego robić w ten sposób. Ale to cała Elena – zawsze robi tak, aby innym sprawić przykrość – rzekł Horst, ciskając ze złością kamień do wody.

– Może na tym polega specyfika jej zawodu? – próbowała jej bronić Ingrid.

– Skądże! Jest chłodną, wyrachowaną egoistką, choć trzeba przyznać, że niezwykle pracowitą i zdecydowaną zrobić wszystko, by błyszczeć na scenie i śpiewać jak anioł. W życiu zaś jest prawdziwą diabolicą.

– Nic na to nie poradzimy, taka już jest. Słuchaj, Gundi, oprócz listu do mnie, Helena zostawiła także kopertę dla twojego brata. Co z nią zrobimy?

– Najlepiej od razu wrzucić ją do wody. Wiem, co jest tam napisane: albo Herbert ma natychmiast przyjechać do Lugano i towarzyszyć jej w tournée, albo w przeciwnym razie zapomnieć o niej raz na zawsze.

– Nie, aż tak okrutna chyba jednak nie jest.

– Jest, jest! Zobaczycie, co powie Herbert, kiedy się tu zjawi. Znam go dobrze i wiem, jak oceni najnowszy wyczyn Eleny. A nasz stary doktor? Też będzie wściekły.

– Raczej bardzo smutny. Niewdzięczny pacjent to dla lekarza zawsze wielkie rozczarowanie i nie wyrówna go żaden czek z najwyższą nawet kwotą – Ingrid wyjęła z koperty dwa czeki, gdyż w tym momencie weszli akurat do domu. – Musi być bardzo bogata, skoro tak wysokimi sumami chce pokryć swoje tchórzostwo.

Ingrid powiedziała ostatnie zdanie z taką goryczą, że Gundi znów wybuchnęła wściekłością na Elenę.

– Nie zasłużyła sobie na to, że dobry Bóg wyrwał ją z opresji. Nie zasłużyła na to, żeby tak pięknie śpiewać!

– Daj jej spokój, Gundi. I tak niczego nie zmienimy, a możemy porozmawiać o czymś przyjemniejszym. A propos – gdzie podział się nasz drugi wielkolud? – uśmiechnęła się Ingrid.

– Zaraz go poszukam – zaoferował się Horst, zadowolony, że nie musi patrzeć na smutne oczy Ingrid i tłumić przekleństw pod adresem Eleny, które same cisnęły mu się na usta.

Jak gdyby nic się nie stało, Ingrid usiadła na swoim miejscu przy oknie, złożyła ręce na kolanach, i niewidzącymi nic oczami zapatrzyła się w szarą dal zatoki. Gundi przysunęła sobie niski podnózek, usiadła i pogłaskała Ingrid po rękę.

– Nie przejmuj się tym tak bardzo, Ingrid. Elena już taka jest. Może bała się, że przy pożegnaniu z tobą wzruszy się zbyt, a są ludzie, którzy boją się okazać wzruszenie.

– Wiesz, Gundi, tak naprawdę, to ja martwię się czym innym. Boję się przyszłości, bo wiem,

że nie odzyskam już dawnego spokoju ani cierpliwości. Jak ja tu wytrzymam dni, tygodnie, lata całe, w samotności, mając przy sobie tylko starą Doris. Przed przybyciem Heleny nawet nie zdawałam sobie sprawy, że nie mam nikogo bliskiego. Byłam zadowolona, bo nie wiedziałam, że można żyć inaczej. A teraz ogarnął mnie strach.

– Ingrid, dlaczego zapominasz o mnie? Myślisz, że tak łatwo się mnie pozbędziesz, teraz, kiedy naprawdę cię polubiłam?

– Miło mi to słyszeć, ale ty przecież masz brata, który cię bardzo potrzebuje, zwłaszcza, że postępowanie Heleny na pewno go mocno zrani.

– O niego możesz się nie martwić, Ingrid, mówię ci. Łuk nie pęknie, dopóki go nie przegiąć, a Elena właśnie to zrobiła. Herbert będzie wściekły jak ja teraz, ale nic poza tym. No, nie smuć się już i porozmawiajmy lepiej o naszych planach na najbliższą przyszłość. Wielkoludy wkrótce wyjadą. Horst, oferma, nie załatwił sobie urlopu jak należy i musi wracać do Monachium, zaś Sven już za miesiąc wyrusza na tę swoją wyprawę wielorybniczą.

My zaś wyjedziemy stąd razem. Dotychczas ja byłam twoim gościem, teraz ty będziesz moim w naszej willi. Na pewno będzie ci się tam podobało.

– Dziękuję ci, Gundi, aleja nie potrafię żyć gdzie indziej. Tu jest mi dobrze, bylebym tylko nie czuła się tak osamotniona, zwłaszcza w zimie, gdy nawet droga do Wolgraben jest nieprzejezdna.

– Musisz kupić samochód, Ingrid. Nie ma innej rady. Kaź Gindingowi zapisać się na kurs samochodowy, albo najlepiej zdobądź prawo jazdy sama! – Gundi próbowała dodać jej otuchy.

Ingrid uśmiechnęła się. Nie chciała psuć humoru swoim gościom, ale przychodziło jej to z trudem, bo w sercu czuła cały czas wielki żal.

XVII

Herbert jechał do Wolgraben i nie mógł się już doczekać spotkania z siostrą, przyjaciółmi, no i z... Ingrid. O Elenie myślał rzadko i z niechęcią. Był niemal zdecydowany zerwać z nią ostatecznie.

Dojeżdżał do Lubeki, kiedy przypomniał sobie zajazd, w którym podawano bardzo smaczne jedzenie. Powinien się zatrzymać, odpocząć, a przy okazji coś przekąsić. Zdziwił się, kiedy na parkingu zobaczył wielki samochód Eleny. Pewnie znowu wysłała kierowcę po jakieś rzeczy ze swojego luksusowego mieszkania w Hamburgu.

Pokręcił głową na myśl o kapryсах tej kobiety i wszedł do stylowo urządzonej restauracji. W pustawej sali najpierw dostrzegł grubą Metę, a zaraz potem Elenę. Osłupiał.

– Ty tutaj? Eleno, co to ma znaczyć? Jadę do ciebie do Boorstenhaus, a znajduję cię w podróży.

Zaczerwieniła się i patrzyła jak dziecko spodziewające się kary. Nagle jednak machnęła ręką, wysunęła dolną, umalowaną wargę do przodu i burknęła: – Po prostu stamtąd uciekłam. Już dłużej nie mogłam wytrzymać w tym starym, okropnym domu.

Usiadł i zasepił się.

– Nie powiem, żebym był tym zachwycony. Nie powinnaś tak gwałtownie przerywać pomyślnie prowadzonej kuracji. Co na to twoja siostra i lekarz?

– Nic, bo im nie powiedziałam, że wyjeżdżam.

– Wyjechałaś więc potajemnie?

– I co z tego? Uważasz, że nie miałam prawa?

– Nie po tym wszystkim, co dla ciebie w Boorstenhaus zrobiono. Znalazłaś opiekę, pomoc i duchowe wsparcie.

– Brakowało mi jeszcze tylko twoich umoralniających kazań. Czy ty nie rozumiesz, że ja należę do innego świata, że muszę znów być sobą? Mam już dosyć słuchania, że czegoś mi nie wolno, że coś mi szkodzi, że muszę robić to, a nie tamto. Ja chcę żyć! Jestem już zdrowa, Herbercie, rozumiesz? Mogę śpiewać i znów świat należy do mnie!

Patrzył na nią z nieukrywanym smutkiem.

– A komu to zawdzięczasz, że możesz śpiewać, że świat stanął przed tobą otworem? Troskliwości twojej siostry i umiejętnościom, starego pocziwego doktora. Okazałaś im niewdzięczność i to mi się nie podoba.

– Moralista się znalazł! Właśnie temu staremu chciałam zejść z drogi i nie słuchać jego głądzenia. Dlatego wolałam uciec przed światem... Myślisz pewnie, że było mi łatwo wstać tak wcześniej i samej dźwigać dwie walizy do samochodu? Patrz, złamałam sobie przy tym paznokieć!

– Śmiechu warte! A nie pomyślałaś, że zraniłaś czyjeś wrażliwe serce? Twoja siostra na pewno nie oczekiwała takiego podziękowania za to, co dla ciebie zrobiła.

Elena skrzywiła się i przesunęła ręką po obrusie, jakby chciała zgarnąć ze stołu coś obrzydliwego.

– A, idź do diabła i pozwól mi robić to, co uważam za stosowne! Zawsze sama decydowałam o swoich poczynaniach, więc pozwól, że będę robić tak dalej.

– Zapomniałaś jednak o ludziach, którzy bezinteresownie cały czas poświęcali się dla ciebie. Wstyd mi za ciebie, Eleno. – Herbert aż zbladł ze zdenerwowania.

Patrzyła na niego zdumiona, że tak się uniósł.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi?

– Nie pierwszy raz.

– Więc daj mi spokój, bo mam inne sprawy na głowie – mruknęła pod nosem niezadowolona.

– W takim razie nie będę ci przeszkadzać.

– Już raz kazałam ci iść do diabła, więc idź i nie zawracaj mi więcej głowy.

Wstał, uklonił się i rzekł: – Rozumiem, że w ten sposób uwalniasz się ode mnie. Nasze zaręczyny mogę zatem uważać za zerwane. Już mnie nie potrzebujesz, a ja też nie chcę dłużej być z tobą. Twój wyrachowany egoizm po prostu mi nie odpowiada. Być może jest on ci potrzebny do kariery, którą robisz, ale na co dzień nie pozwala ci być normalną kobietą.

Wyszedł, wsiadł do samochodu i szybko odjechał, gwałtownie przyspieszając. Elena patrzyła za nim przygryzając wargi. Spojrzała na osłupiałą Metę, która była świadkiem całej rozmowy.

– Co się tak gapisz? Było, minęło. Przynajmniej to mam z głowy, bo dla tego pedantycznego głupka i tak nie było już miejsca w moim życiu. Rusz się! Zawołaj Kornera i jedziemy dalej!

Meta bez słowa wstała, wiedząc doskonale, że teraz najlepiej zejść Elenie z drogi. Była po prostu wściekła.

Wkrótce wielki cadillac odjechał w przeciwną stronę niż samochód Herberta. Elena pozbyła się niewygodnego, choć bardzo dekoracyjnego dodatku do swojej kariery, a Herbert pozbył się zobowiązań, które ciążyły mu coraz bardziej.

Oboje byli wolni, ale mieli poczucie straconych lat, które poświęcili na próbę spełnienia czegoś, co od początku było skazane na niepowodzenie.

Herbert zatrzymał się na chwilę w Wolgraben, ale nie miał ochoty spotykać się z doktorem Burgerem, bo musiałyby wtedy powiedzieć kilka ostrych słów pod adresem Eleny, a wciąż traktował ją jako osobę wyjątkową, której nie wolno oceniać normalną miarą. Ona nigdy nie będzie szukała szczęścia poza sceną, a całkowite oddanie sztuce poniekąd uprawnia ją do łamania niektórych zasad, obowiązujących normalnych śmiertelników.

Lekko zdenerwowany, przybył późnym popołudniem do Boorstenhaus. Chłodny, porywisty wiatr od razu wywiał mu z głowy gorące myśli, a na ich miejsce napłynęła radość z bliskiego już spotkania z delikatną, jasnowłosą Ingrid. Czy to nie dla niej jechał teraz do Boorstenhaus? Nie dla niej tak ostro potraktował wybryk Eleny? Kochał ją przecież kiedyś, ale teraz nie miał już

wątpliwości, że ona nigdy nie zgodziłaby się na zawarcie małżeństwa.

Ucieszył się, że to Elena zerwała zaręczyny, bo jemu nie przyszłoby tak łatwo wypowiedzieć decydujące słowa. Teraz przynajmniej md będzie miał poczucia winy, kiedy pomyśli o Ingrid, która oczarowała go swoją prostotą, wdziękiem i kobiecością. Była niezwykle naturalna, ani cienia sztuczności tak denerwującej u Eleny. Znał się na kobiecej urodzie i nie miał wątpliwości, że w Ingrid tylko niewiele trzeba było zmienić, by była jeszcze piękniejsza niż jej sławna siostra.

Czy Ingrid rzuci mu się na szyję, kiedy dowie się, że zerwał z Eleną, a raczej, że ona zerwała z nim? Wątpliwe, po tym, co tam się w Boorstenhaus dzieje po niechlubnej ucieczce wielkiej divy... Ingrid na pewno jest przygnębiona, ale wszystko się wyjaśni, kiedy staną naprzeciwko siebie. Wtedy się okaże, czy jest zadowolona z jego przyjazdu, czy nie.

Niepokoił się coraz bardziej, a wyboista droga, jak na złość, nie pozwalała na przyspieszenie. Wkrótce coraz liczniejsze stada mew sygnalizowały, że zbliża się do celu. Zostawił swój szeroki samochód obok ścieżki i piechotą wszedł na teren Boorstenhaus.

Późnym popołudniem Ingrid przypomniała sobie, że nie nazrywała kwiatów do pustych wazonów w salonie. Ochłonęła już trochę po ucieczce Heleny i karciła teraz samą siebie, że zbyt wiele oczekiwała od siostry. Po co przejmować się nią, kiedy można się cieszyć gośćmi, którzy jeszcze przez kilka dni będą przebywać w Boorstenhaus?

Zrywając nieliczne, to żółte, to fioletowe jesienne kwiaty, odkładała je na stolik, a zebrawszy naręcz, niosła je do domu, kiedy nagle stanęła oko w oko z Gwido Bergerem.

Oślupiała jak posąg, serce wyrywało się jej do gardła, i nie mogła oderwać oczu od wściekłego spojrzenia intruza.

– Nie wyglądasz na zbyt zachwyconą. Dziwisz się, że znów tu jestem? Przecież ci obiecałem, że przyjadę, jeśli nie dostanę pieniędzy.

– Złożyłam polecenie w banku, więc musiał pan je dostać...

– Przestań odgrywać przedstawienie, bo i tak nie dorównasz talentowi swojej sławnej siostry. Albo dasz mi natychmiast te pieniądze, albo wracamy razem do domu, w którym, jako twój mąż, mam pełne prawo zamieszkać.

Ingrid, trzymając mocno kwiaty, zbladła jeszcze bardziej i wycodziła przez zęby: – Nigdy! Dałam polecenie do banku. Musi pan tam pójść i wyjaśnić, bo na pewno nastąpiła jakaś pomyłka. Tu nie ma pan nic do roboty i radzę się nikomu nie pokazywać.

– Tak? A co, przeszkadzam? Pewnie nie chcesz, żeby ktoś wiedział o moim istnieniu. Przykro mi, kotku, ale póki co, istnieję! Jesteś panią Berger i czy ci się to podoba, czy nie, musisz się do mnie przyznać.

– Nigdy w życiu!

– Mów, co chcesz. Ostatnie moje zdanie: albo za pół godziny przyniesiesz mi tu pieniądze, albo wieczorem wprowadzam się do Boorstenhaus.

Ingrid wciągnęła głęboko powietrze i zebrała całą swoją odwagę.

– Szczerze to panu odradzam.

– Chętnie dowiem się, dlaczego? – oparł się o drzewo z rękoma wsadzonymi po łokcie w kieszenie.

– Doris od razu wezwie policję, bo widziała, jak pan okradł nasz dom.

– A to stara jędza! Już wypaplała? Ale nic jej to nie da, bo legalnemu mężowi nie można postawić zarzutu, że zabrał coś z domu! – Roześmiał się dumny z siebie i obrzucił Ingrid lubieżnym spojrzeniem od stóp do głów. – Ciekawe, ale podobasz mi się coraz bardziej, droga panno małżonko, choć rzucasz na mnie chłodne i nienawistne błyskawice z tych pięknych oczu. Żałuję, że wtedy nie zapanowałem nad sobą, ale co właściwie stoi na przeszkodzie, żebyśmy mogli teraz wyjechać w podróż poślubną?

Ingrid zobaczyła, że zbliża się do niej i wyciąga swoje wielkie łapska, chcąc wyrwać jej z rąk bukiet kwiatów. Zamurowało ją zupełnie i nie mogła wydobyć z siebie głosu, by zawołać o pomoc. Drżała na całym ciele, patrząc błagalnym wzrokiem na napastnika.

– Proszę odejść! – wyszeptwała wreszcie. – Jutro dam panu te pieniądze. Pojadę do Wolgraben, spotkamy się w banku i wypłacę panu co do grosza, ale teraz proszę odejść i – na Boga! – nie pokazywać się tu więcej!

– Naiwna! Czy ty naprawdę myślisz, że zostawię cię jak zużyte opakowanie? O nie, moja śliczna żono! Najpierw cię pocałuję, przytulę i pokażę, co to znaczy mieć męża.

Złapał ją z całej siły. Szarpnęła się, odwracała twarz, by nie mógł sięgnąć jej ust, ale on przyciągnął jej głowę, i przycisnął do swojego ramienia. Herbert Sanders, który w tym momencie wszedł do ogrodu, zobaczył Ingrid czule przytuloną do ramienia mężczyzny, którego chyba bardzo kochała. Zatrzymał się w pół kroku i z bólu zagryzł wargi. Jak to? Kobieta, do której tak tęsknił, cieszył się na spotkanie z nią, którą uważał za ideał, stała tu teraz w namiętym uścisku z innym mężczyzną? Odwrócił się, by nie patrzeć dłużej na tę scenę, wymknął się z ogrodu i podszedł do domu od strony frontowej. Trzeba stąd natychmiast zabrać Gundi. Przysłał ją tutaj, żeby dostarczyć tej samotnej kobiecie trochę radości, a okazuje się, że było to niepotrzebne, skoro Ingrid Boorsten ma mężczyznę, z którym się spotyka.

Ingrid tymczasem wyrwała się Bergerowi, z całej siły zamachnęła się bukietem twardych jesiennych kwiatów i uderzyła go nim prosto w twarz. Zbaraniał, a ona rzuciła się w stronę domu, gdzie w drzwiach czekała już Gundi.

Ingrid objęła ją z płaczem za szyję i nie powiedziawszy ani słowa wyjaśnienia, uciekła do swojej sypialni. Gundi pokręciła tylko głową i pomyślała, że w Boorstenhaus zapanowała dziś dziwnie nerwowa atmosfera.

Sven dostał odmowną odpowiedź od armatora, który informował go, że angażuje wyłącznie doświadczonych i przeszkolonych wielorybników. Jego plany spaliły więc na panewce.

Horst najpierw cieszył się listem od matki, ale mina mu zrzedła, kiedy przeczytał dołączone upomnienie z uniwersytetu, w którym proszono go o natychmiastowe zakończenie przedłużonego ponad miarę urlopu, albo... To „albo” nie pozostawiało mu innego wyboru, jak wsiąść w pociąg i czym prędzej znaleźć się w Monachium. Gundi oczywiście musiałby tu zostawić, na co nie miał

wcale ochoty. Nie była w stanie rozbawić go nawet najnowsza plotka z listu matki, która donosiła, że ta wdowa, która zaręczyła się z lekarzem od chorób tropikalnych, tym Bergerem, dowiedziała się, że jej narzeczony jest oszustem matrymonialnym, a jego dyplom lekarski został prawdopodobnie sfałszowany. Oczywiście, zaręczyny zostały zerwane. Taką wiadomość trzeba natychmiast przekazać Gundi. Gdzież ona się znowu podziała?

Zajrzał do kuchni. Gundi tam nie było, ale Doris kroїła jabłecznik, który dopiero co wyjęła z piekarnika. Horst porwał kawałek, sparzył sobie język, ale za Boga nie wypuściłby ciasta z ust, bo było znakomite. Wreszcie znalazł Gundi zamyśloną w salonie.

– Halo, skarbie! Tęsknisz za mną?

– Nic o tym nie wiem.

– To nad czym tak głęboko rozmyślasz?

Gundi opowiedziała mu o dziwnym zachowaniu Ingrid.

– Co za dom! Rano uciekła stąd słynna gwiazda, a po południu jej siostra wybucha płaczem. Na dodatek ja sobie sparzyłem dziób gorącym ciastem.

– A dla mnie kawałek? – Gundi wyciągnęła rękę nie patrząc w jego stronę, ale zamiast smakowitego kawałka ciepłego jabłeczniaka, poczuła na dłoni dotknięcie gorących warg Horsta. – O rety, ale mnie przestraszyłeś! Omal nie zemdlałam!

– Z miłości czasami się mdleje, ale nie rób mi tego, kochanie. Co zaś się tyczy tego pocałunku, to próbowałem w ten sposób rozładować moją miłość, która tłucze mi się po sercu.

– I udało się? Co jeszcze mi powiesz?

– Okazało się, że ten facet jest oszustem matrymonialnym. Od początku wiedziałem, że coś jest z nim nie w porządku – rzekł Horst, sadowiac się obok Gundi na parapecie okiennym.

– O kim ty znowu mówisz; Horst?

– O Gwido Bergerze! Już zapomniałaś o naszym ogólnie nie lubianym towarzyszu podróży? Masz, przeczytaj, czego o nim dowiedziała się moja matka.

Gundi wzięła list, ale ledwo zaczęła czytać, otworzyły się głośno drzwi i stanął w nich Herbert.

– O, wielki wódz przyjechał! Musiałeś wybrać akurat dzisiejszy dzień? – Horst wstał od okna i patrzył niezdecydowanie na przyjaciela zdejmującego płaszcz i witającego się z Gundi, która natychmiast rzuciła mu się na szyję.

– Herbert! Świetnie, że jesteś. Tylko się nie złość... Horst, czego sterczysz, jakby ci spodnie pękły? – Gundi, podobnie jak Horst, zupełnie nie wiedziała, jak powiedzieć bratu, że Elena uciekła. Uśmiechnęła się niepewnie. – Wiesz, braciszku? Coś tu się zmieniło.

Herbert potarł ręką czoło, usiadł na najbliższym krześle i rzekł odmienionym głosem: – Jeśli chcesz mi powiedzieć, że Eleny nie ma już w Boorstenhaus, to... już wiem. Przypadkowo spotkałem ją w zajeździe niedaleko Lubeki i rozstaliśmy się bez wielkiego huku, ale na tyle skutecznie, że nic już nas nie łączy. Nie zadawajcie żadnych pytań. Dodam tylko, że będziesz mi potrzebna w Kronbergu natychmiast. Powiedz pannie Boorsten, że przyjechałem i najpóźniej za

godzinę chcę stąd wyjechać.

Horst i Gundi patrzyli na niego jak na wariata. Czyżby aż tak bardzo przeżywał rozstanie z Eleną? To niemożliwe, ale był w tak kiepskim nastroju, że woleli się nie odzywać.

Gundi wyszła bez słowa i zapukała do drzwi pokoju Ingrid. Ta zaś, żeby nie martwić gości, natychmiast otworzyła i z bladym uśmiechem na twarzy spytała:

– Masz taką smutną minę, aż tak stęskniłaś się za mną?

– Przyjechał Herbert i za godzinę muszę z nim wyjechać. Och, Ingrid, jestem zrozpaczona! – rzuciła się jej w objęcia. – Tego się nie spodziewałam. Jest wściekły na Elenę, czuje się zawiedziony, ale co my jesteśmy winni, że ta jędza tak postąpiła?

Ingrid westchnęła ciężko i rzekła po cichu:

– Widzisz, więc jednak on ją kochał bardziej niż myślałaś. Ma prawo czuć się rozczarowany i potrzebuje ciebie teraz bardziej niż kiedykolwiek. Pomogę ci spakować twoje rzeczy.

– Dzięki, tych parę ciuchów sama wrzucę do torby. Jak ja nienawidzę tej idiotki! A co z Horstem i Svenem?

– Jeżeli też zechcą wyjechać, nie możemy ich przecież zatrzymać, Gundi. Szkoda, bo było tak pięknie, kiedy byliście tu wszyscy troje, a teraz znów zostanę sama jak palec. – Ingrid odwróciła głowę, by ukryć cisnące się jej do oczu łzy, podeszła do drzwi i rzekła: – Zawołam Klarę. Sprząta na górze, ale może pomóc ci przy pakowaniu. Pójdę też przywitać się z twoim bratem.

*

Stanąłi naprzeciwko siebie.

Patrzyli jakby zdziwieni, że nie potrafią zapanować nad spojrzeniami przepelnionymi miłością.

Nagle jednak w oczach Herberta pojawiła się nieufność, chłód i wrogość, które aż wstrząsnęły sercem Ingrid. Jak ten człowiek się zmienił?! Czy to z powodu Eleny? Ale dlaczego swój żal wyładowuje tutaj? Nawet jeśli bardzo kochał Helenę i cierpiał, to jeszcze nie powód, żeby zachowywać się niegrzecznie.

Herbert tymczasem próbował rozszyfrować tajemnicę, której był przypadkowym świadkiem. Jak Ingrid może stać teraz spokojnie i śmiało patrzeć mu w oczy, kiedy jeszcze przed chwilą namiętnie przytulała się do innego mężczyzny? Skrzywił się z lekkim obrzydzeniem, przypomniawszy sobie zawsze odgrywającą jakąś rolę Elenę. Nie wiedział, jaki w tym momencie zadał ból przerażonej swoją samotnością dziewczynie.

Horst przyglądał się z boku niczego nie rozumiejąc. Wzruszył swoimi szerokimi barkami i mruknął: – Rozumiem, że się wściekasz po tym, co zrobiła Elena, ale nic na to nie poradzimy i nie ma sensu boczyć się jeden na drugiego. Było nam tu razem dobrze, a wychodzi na to, że ja też będę musiał wyjechać. Szwedziak chodzi zły jak szerszeń, jakby nagle całe zło zważyło nam się na głowy.

Ingrid uśmiechnęła się blado do Horsta i spokojnie, jak tylko potrafiła, zwróciła się do

Herberta:

– Gundi powiedziała mi, że chce ją pan zaraz stąd zabrać, doktorze. Jest mi bardzo przykro, ale sądzę, że ma pan jakiś poważny powód.

– Dla Gundi będzie lepiej, jeżeli wyjedzie ze mną. Pani zaś chciałem podziękować za gościnność okazaną mojej siostrze, natomiast co do Eleny, to myślę, że podziękowała pani sama.

Ingrid wyprostowała się dumnie. Chłód jego wypowiedzi otrzeźwił ją już zupełnie.

– Helena uznała za stosowne zapłacić mi czekiem za gościnę, co ja uważam za obrazę i całą tę sumę przekażę na potrzeby domu starców w Wolgraben. , – Mam rozumieć, że ode mnie nie chce pani żadnej zapłaty za pobyt mojej siostry w Boorstenhaus?

– Cieszę się, że właściwie mnie pan zrozumiał, panie doktorze. Mogę panu zaproponować coś do zjedzenia, zanim pan wyjedzie?

– Bardzo dziękuję, ale nie mam czasu – odpowiedział uprzejmie, ale bardzo chłodnym tonem.

Horst nie wytrzymał już dłużej.

– Co tu jest grane, u licha?! Warczycie na siebie jak dwa psy. Herbert, nie wygłupiaj się! Doris upiekła wyśmienite ciasto, a ty nie masz czasu spróbować?

– Horst, nie mamy prawa zatrzymywać pana doktora. Pójdę, bo może trzeba pomóc Gundi, by szybciej uporała się z pakowaniem. Gdybyśmy się już nie zobaczyli, panie doktorze, to życzę panu wszystkiego dobrego.

Skłoniła lekko głową i wyszła nie spojrzawszy nawet w stronę Herberta, choć kosztowało ją to wiele wysiłku. *

W salonie zaległa grobowa cisza. Horst był zły na Herberta, jak nigdy dotąd. Czy dostanie kosza od narzeczonej mogło go aż tak zmienić?

– Nie gniewaj się, stary, ale zachowujesz się okropnie.

– Postaw mi kreskę, a teraz zdecyduj, w jaki sposób ty i Sven stąd wyjedziecie. Poniekąd czuję się za to odpowiedzialny, bo przyjechaliście tu za moją namową.

– Jeżeli myślisz, że na twój znak zostawimy nawet szczoteczki do zębów i polecimy za tobą jak Gundi, to się mylisz. Nie, mój drogi, wyjedziemy stąd, kiedy będziemy mieli ochotę. Kapujesz?

– Dobrze. W takim razie mam propozycję, abyście wrócili volkswagenem Gundi.

– O. K. Przywieziemy ci „mydelniczkę” do Frankfurtu i odbierzesz ją sobie u znajomego garażysty. Ostrzegam cię – jeżeli przyjadę do was, a ty wciąż będziesz w takim pieskim humorze, to zabiorę Gundi do siebie, a ty złość się sam!

– Przepraszam cię, ale bądź choć trochę wyrozumiały. Wszystko tu jest jakieś niejasne i dla mnie bardzo przykre.

– Na przykład co?

– Chociażby sprawy finansowe. Wolałbym zapłacić i nie mieć wobec panny Boorsten żadnego długu wdzięczności.

– Bredzisz! Tu nie pensjonat, w którym goście płacą za wynajęte pokoje. Ja w każdym razie nie będę próbował wcisnąć Ingrid żadnych pieniędzy, ani też nie wyjadę bez uprzedzenia. Zostaniemy ze Svenem jeszcze kilka dni.

– Twoja sprawa. Gundi jednak powinna wyjechać natychmiast, bo obawiam się, że będzie przeszkadzała panie Boorsten w jej sprawach prywatnych. Są tu zdaje się jakieś układy, o których nie mieliśmy zielonego pojęcia, ale to tylko i wyłącznie sprawa panny Ingrid »Boorsten.

Horst słuchał cały czas kręcąc głową, a ponieważ nic z tego nie zrozumiał, wołał nie odzywać się wcale.

Zanim po chwili nie zjawiała się Gundi, Herbert nerwowo krążył po całym salonie. Weszła Doris, popatrzyła na Horsta, na Herberta i z wypiekami na policzkach złapała płaszcz Sandersa.

– Spakować go także do walizki, panie doktorze? Machnął ręką, odebrał jej nakrycie i rzekł:

– Dziękuję, pani Doris, ale proszę się nie trudzić. Dziękuję też za troskliwą opiekę nad moją siostrą.

– Sprawiało mi to wielką radość, panie doktorze... ale sposób w jaki się rozstajemy nie podoba mi się. Z Boorstenhaus tak się nie wyjeżdża, ani tak jak Helena, ani tak jak teraz pan! – Doris patrzyła z takim wyrzutem, że Herbert zaczerwienił się i spuścił oczy. – Cóż, jakiś powód pewnie pan ma, podobnie jak Helena, ale jestem pewna, że przyczyna leży poza Boorstenhaus. Żal mi tylko Ingrid, która znowu zostanie sama jak palec, a po tylu radosnych dniach ciężko jej będzie się przyzwyczaić do samotności.

– Doris, ja i Sven zostaniemy jeszcze przez kilka dni, jeżeli pozwolicie.

– To dobrze, ale tak wesoło jak przedtem, to już tu nie będzie – odwróciła się na pięcie i wyszła.

Ginding wynosił już kuchennymi drzwiami walizki Gundi, a ona sama zalana łzami i zła na brata, żegnała się serdecznie z Doris.

– Nie trzeba płakać, panno Gundi. W życiu są gorsze chwile, a wtedy łzy na pewno się przydadzą.

– Kiedy tu było mi tak dobrze i wcale nie chcę wyjeżdżać! To wszystko przez Elenę! Zbiłabym ją na kwaśne jabłko, gdyby teraz wpadła mi w ręce. Biedna Ingrid siedzi na górze i też płacze, bo nie może pogodzić się z tym, że Herbert zabiera mnie tak nagle.

– Łzy jej miną, dziecko, ale smutek pozostanie na długo. – Doris ukloniła się Gundi i szybko zniknęła w kuchni.

Horst odprowadził Herberta i Gundi aż do samochodu. Tam ona rzuciła mu się na szyję i rzekła przez łzy:

– Zostań tu jak najdłużej i opiekuj się Ingrid. Powiedz też Svenowi, żeby był dla niej miły.

– Nie martw się, nie zostawimy jej. Głupio to wyszło. Wszystko było w porządku, a tu nagle taki wygłup. Trzymaj się, Gundi! Napiszę do ciebie z Monachium, a w listopadzie przyjadę. Życz mi, żeby z tą posadą coś wyszło.

– Tak mi smutno, Horst.

Pogłaskał ją po włosach i pomógł przy wsiadaniu. Podeszedł do Herberta układającego w bagażniku walizki i podając mu rękę, rzekł:

– Nie rozumiem twojej decyzji, stary. Nie gniewaj się, ale dałeś się ponieść emocjom, a już jutro będziesz tego żałować.

– Zostaw ten kłopot mnie. Wybacz, ale nie mam ochoty ci się zwierzać.

– Ślepy, a w dodatku uparty! Tylko jedź ostrożnie, a resztę załatwimy, jak uzgodniliśmy – zdążył powiedzieć, a już samochód ruszył. Horst popatrzył jeszcze tylko na zapłakaną twarz Gundi i powlókł się w stronę domu, do wejścia od ogrodu.

Nagle stanął jak wryty. Za płotem stał mężczyzna i w napięciu za kimś się rozglądał. Sylwetka wydała się Horstowi dziwnie znajoma – szerokie bary, gęste czarne włosy, sposób trzymania głowy... Na Boga, przecież to Gwido Berger! Co ten facet tu robi? Chodzi o Gundi? Cholera! Chyba jej nie śledzi?! Zanim jednak Horst ochłonął, mężczyzna zniknął, a zza drzew doszedł odgłos odjeżdżającego motocykla.

Ależ się porobiło! A może od tego czasu, gdy spotkali Bergera w hotelu w Wolgraben, on próbował zaczepić Gundi i szukał odpowiedniej okazji? Jak tu uprzedzić Herberta, żeby pilnował Gundi przed tym draniem? Do diabła, że też musiał tak szybko odjechać! Całe Boorstenhaus nagle stanęło do góry nogami!

Nic lepszego nie przyszło Horstowi do głowy, jak udać się do kuchni i poszukać zapomnienia przy smacznym jabłeczniku Doris, która – co by nie powiedzieć – potrafi także znaleźć jakąś dobrą radę na wszystkie zgryzoty.

Na podobny pomysł wpadł także Sven, który złość na armatora próbował najpierw wyładować w czasie forsownego spaceru, a gdy niewiele to pomogło, przyszedł do Doris i „pocieszał się” kawałkiem pachnącego jabłecznika i filiżanką aromatycznej kawy.

– A niech to wszystko szlag trafi! – zaklął Horst, sięgając po wałek do ciasta, leżący obok pieca.

– Coś się nie powiodło, młody człowieku? – zainteresowała się Doris.

– Coś! Wszystko idzie w poprzek! Myślałem, że się pod ziemię zapadnę, kiedy Herbert i panna Boorsten zegnali się tak chłodno jak dwoje nieprzyjaciół. Mówię ci, Szwedzie, co tu się działo!

Horst opowiedział Svenowi w kilku słowach o wydarzeniach sprzed godziny.

– To Gundi wyjechała?

– I to w jakim tempie! Herbert był w okropnym nastroju. Nie przypuszczałem, że był aż tak zakochany w Elenie, iż po zerwaniu z nią stanie się zgryźliwy i niegrzeczny wobec osób, które niczemu nie są winne. „Nawet w buszu nigdy się tak nie zachowywał.

– Nam, osobom postronnym, trudno oceniać jego postępowanie. Co zrobimy teraz?

– Zostaniemy kilka dni i wrócimy „garbusem” Gundi, ale do tego czasu musimy być bardzo mili dla Ingrid. Herbert potraktował ją tak niegrzecznie, że aż mi jej żal.

– Proszę, Horst, nie można mu brać tego za złe – doleciał od drzwi głos Ingrid. Była blada i

zmęczona, a mimo to próbowała się uśmiechać. – Jak słyszę, chcecie panowie zostać tu jeszcze trochę; będzie mi bardzo miło.

– Mogę zostać jeszcze trzy dni, więc jeśli pani pozwoli...

– Oczywiście. Doris, a ty czemu mi się tak przyglądasz?

– Bo się martwię, panienko. Wygląda pani gorzej niż źle.

– Nie dziw się, Doris. Po prostu dziś zdarzyło się w Boorstenhaus więcej, niż potrafię znieść. Nie pogniewacie się, jeśli już was pożegnają i udam się na spoczynek? Ukłoniła się i nie czekając na odpowiedź, wyszła z kuchni. Doris pokiwała głową i mruknęła:

– Nie podoba mi się to wszystko. Czy aby znów ten wieprz tu się nie pokazał? – Na kogo pani tak bluźni, Doris? – spytał Horst, który usłyszawszy słowa kucharki, od razu przypomniał sobie stojącego za płotem Bergera. – Nazwała pani kogoś wieprzem. Piękne określenie, do niektórych pasuje jak ulał.

– Ano pasuje, panie doktorze, pasuje!

– Będę niegrzeczny, jeśli spytam do kogo, droga Doris? Staruszka patrzyła długo na obu mężczyzn, wreszcie przysiadła się do nich, do dużego kuchennego stołu.

– Wyglądacie mi na rozsądnych i mądrych dryblasów.

– Dziękujemy, Doris; mój profesor w szkole zawsze powtarzał, że im ktoś wyższy, tym głupszy – zwierzył się Horst. – Ale spróbujemy udowodnić, że nie miał racji.

– To spróbujemy. – W tym momencie weszła Klara, więc Doris machnęła groźnie ręką i burknęła: – Idź do pralni i spryskaj bieliznę pościelową do prasowania!

Klara wyszła niezbyt chętnie, bo miała wielką ochotę przysiąść się do jabłecznika i kawy, ale z Doris wolała nie dyskutować. Ta zaś pochyliła się nad stołem i rzekła poważnym tonem:

– Zaczniemy od tego, że panna Ingrid nie nosi już nazwiska Boorsten, bo wyszła za jednego takiego doktora. Nie patrzcie tak na mnie, gdyż wcale nie jest tak, jak myślicie. Nie powiedziałabym wam o tym, ale martwię się, że znowu coś niedobrego się dzieje wokół Ingrid. Chciałabym jej pomóc, nie wiem jednak, czy robię dobrze, i dlatego potrzebuję męskiej rady.

Opowiedziała im krótką historię małżeństwa Ingrid, które dla wrażliwej i niedoświadczonej dziewczyny okazało się wielką tragedią. Żeby ją przerwać, zgodziła się płacić temu człowiekowi wysoką miesięczną pensję. Nie pokazywał się tu od dnia ślubu, aż ostatnio napadł Ingrid pracującą w ogrodzie. Nie doszło do nieszczęścia, bo Doris usłyszała wołanie o pomoc i przepłoszyła napastnika.

– Dziś znowu Ingrid wygląda tak samo przestraszona jak wtedy. Nie sądzę, żeby aż tak bardzo martwiła się ucieczką Heleny, czy wyjazdem panny Sanders. Mówię wam, ten wieprz znowu pewnie tu był.

Obaj słuchali w napięciu. Sami przeżyli już niejedno, ale o czymś ta nieprawdopodobnym jeszcze nie słyszeli. W dzisiejszych czasach spotkać taką kobietę? Niewiarygodne!

Horst przypomniał sobie Bergera czatującego za płotem.

– Doris, jak nazywa się ten mężczyzna, który ożenił się z Ingrid – Berger. Doktor Berger.

Był wtedy asystentem doktora Burger w Wolgraben i zawrócił naszej Ingrid w głowie, drań. Wiecie, ona prawi wcale nie spotykała się z mężczyznami – Doris próbowała usprawiedliwić swoją młodą pracodawczynię.

Horst przytrzymał Svena, który usłyszawszy nazwisko Bergera zerwał się na równe nogi, położył swoją wielką dłoń na ramieniu Doris i spytał: – Czy to taki przystojny, wysoki, ale nieprzyjemny facet, patrzący, jakby chciał człowieka przeszyć wzrokiem?

– Jakbym go widziała! To pan go zna?

– A jakże! Obaj go znamy. Poza tym, pani przypuszczenie jest słuszne, bo kilka minut temu widziałem go czającego się za płotem.

– A nie mówiłam! Wieprz jeden! Czy on nigdy nie zostawi Ingrid ' w spokoju?!

– Wieprz to za słabe określenie, Doris. To skończony łajdak. (Przyznacie mi rację, gdy wam powiem, że jest oszustem matrymonialnym.

– O mój Boże! Tego jeszcze brakowało. Dla biednej Ingrid to pewnie nowe kłopoty?

– Raczej przeciwnie. Okazuje się, że on wcale nie posiada dyplomu lekarskiego i sam diabeł tylko wie, do jakich jeszcze oszustw jest zdolny.

– Przecież w czasie wyprawy byliśmy zadowoleni z jego pracy – zdziwił się Sven.

– To co? Wszystkiego można się nauczyć. Prawdopodobnie nie pozaliczał egzaminów i wyrzucono go ze studiów. Co teraz zrobimy?

– Myślę, że trzeba jechać po starego doktora. On zna całą sprawę i wie, jak rozmawiać z Ingrid – zdecydowała Doris.

– Dobry pomysł! Jadę zaraz do Wolgraben. Widzisz, Szwedzie, dobrze zrobiliśmy, że nie wyjechaliśmy z Herbertem i Gundi. Zaczynam się domyślać, dlaczego Herbert tak chłodno potraktował Ingrid. Zapewne przypadkiem widział, jak ten drań szarpał się z nią w ogrodzie, i pomyślał sobie Bóg wie co. Wyciągnął wniosek, że Gundi dłużej nie może przeszkadzać Ingrid, a nie przyszło mu do głowy, że Ingrid może mieć aż tak wielkie kłopoty. Dam sobie rękę obciąć, jeżeli tak właśnie nie było. No, ale róbmy coś. Najpierw musimy temu wieprzowi popędzić kota, a do tego potrzebny nam pan doktor.

– Wiedziałam, że mając takich dwóch pomocników, mogę być spokojna o Ingrid – ucieszyła się Doris.

– Zapomniała pani o doktorze Burgerze. Sven, ty zostaniesz na straży i będziesz pilnował, żeby ten drań czegoś nie zmalował. Nie ruszaj się z domu, a jak Ingrid zejdzie, nie odstępuj jej na krok, dopóki nie wrócę z doktorem. Pani zaś, droga Doris, musi przygotować coś dobrego na kolację, bo ja, jak się zdenerwuję, to jestem wściekle głodny i trzeba mnie dobrze dokarmiać – poklepał po ramieniu kucharkę, potem Szweda, a po chwili już siedział za kierownicą volkswagena i jechał do Wolgraben.

Stary doktor miał jeszcze pacjentów, ale przyjął Horsta i wysłuchał relacji z wydarzeń w Boorstenhaus z największą uwagą. Bez chwili wahania wsiadł do samochodu, by jak najprędzej znaleźć się w domu Ingrid.

XVIII

Herbert przeżył ogromny zawód, kiedy kobietę, którą teraz po rozstaniu z Eleną mógł pokochać całym sercem, zobaczył w ramionach innego mężczyzny. Ingrid zaś czuła się zawiedziona, bo mężczyzna, który – jak jej się zdawało – kochał ją, dziś potraktował ją chłodno i odpychająco. Widocznie źle zrozumiała jego intencje. Był dla niej miły, bo kochał Helenę. Tak sobie wytłumaczyła czułe spojrzenie Herberta i miłe słowa napisane w liście. Była to więc zwykła uprzejmość, a nie zapowiedź głębszych uczuć, które ona do niego już żywiła.

Kocha go nadal, a teraz, opuszczona przez wszystkich, będzie cierpiała jeszcze bardziej. Pozostanie jej pustka i samotność do końca życia.

A do tego ten strach przed człowiekiem, który zgodnie z prawem jest jej mężem i będzie ją prześladował, dopóki nie uda się uzyskać rozwodu.

Krótki pobyt Gundi pozostanie już tylko wspomnieniem, podobnie jak nagłe wtargnięcie Eleny do spokojnego życia w Boorstenhaus. Pozostawi ono po sobie głównie tęsknotę za kimś bliskim, za mężczyzną, którego może kochać i który potrafi tę miłość odwzajemnić.

Płakała i nawet nie próbowała powstrzymywać łez. Rzuciła się na łóżko i chciała zapomnieć o całym świecie, ale także w tych ciężkich chwilach wpojone jej poczucie obowiązku nie dawało jej spokoju. Przecież w domu byli jeszcze goście, mili i sympatyczni młodzi ludzie, więc nie można ich zaniedbywać. Zerwała się, umyła twarz zimną wodą, przebrała się w inną suknię, przecesała włosy i zebrawszy wszystkie siły, odważnie wyszła z pokoju.

Zdziwiła się widząc siedzącego na progu Svena, z fajką w zębach. Wstał, gdy tylko zobaczył ją w drzwiach.

– Pan czeka na mnie, Sven? Proszę wybaczyć, że zaniedbuję się jako gospodyni, ale strasznie bolała mnie głowa i musiałam się położyć na chwilę. Dlaczego nie siedzi pan w salonie? Chyba Ginding zdążył napalić w piecu...

– Zdążył, ale ja chciałem poczekać na panią, bo Horst kazał mi nie odstępować pani na krok – niezręcznie tłumaczył się Szwed.

Ingrid popatrzyła na niego zdziwiona i lekko zaniepokojona.

– A gdzie jest Horst?

– Pojechał do Wolgraben.

– Też już wyjechał do domu? – przeraziła się Ingrid.

– Nie, tylko po doktora Burgera.

– Co się stało? Ktoś zachorował?

– Skąd! Potrzebowaliśmy trzeciego do skata – Sven ucieszył się, że na poczekaniu udało mu się wymyślić tak sprytne kłamstwo. Do dyplomacji to on się nadawał.

Ingrid odetchnęła z ulgą. Po tylu trudnych chwilach od razu podejrzewała najgorsze. Zeszła ze Svenem do salonu, gdzie Doris nakrywała już do kolacji. Staruszka pogłaskała ją po ramieniu,

kiedy Ingrid z bladym uśmiechem przeszła obok niej.

– Nie martw się, Doris, doszłam już do siebie. Dziś wydarzyło się tu za dużo rzeczy na raz...

– Ale wszystko się dobrze skończy, panno Ingrid – przerwała jej Doris. – Mam jeszcze co robić w kuchni, a chętnie posłałabym Gindinga do piwnicy po butelkę dobrego, czerwonego wina. Wieczór dziś jest chłodny i przydałoby się wypić po kropelce na rozgrzewkę.

Ingrid przytaknęła nie patrząc na Doris, gdyż zauważyła leżące na oknie męskie, skórzane rękawiczki. Zostawił je Herbert.

Dotknęła ich pieśczośliwie i szybkim ruchem wsunęła do dolnej szuflady staromodnego biurka. Potraktowała je jak relikwię, jak cenną pamiątkę po kimś, kogo kochała całym sercem. Chociaż tyle pozostanie jej po Herbercie.

Za oknem było słycać warkot nadjeżdżającego samochodu, jego reflektory najpierw jasno oświetliły sufit i zaraz zgasły. Po chwili do pokoju wszedł doktor Burger. Ukłonił się Svenowi i podszedł do siedzącej jak zwykle przy oknie Ingrid. Uśmiechnęła się, patrząc na niego radośnie.

– Witam, doktorze. Cieszę się, że pan przyjechał, i mam nadzieję, że Horst opowiedział już o wszystkim, co tu się wydarzyło.

Ściskając jej smukłą dłoń, wzruszył ramionami i rzekł:

– Helena nic się nie zmieniła – udało jej się raz, spróbuje ponownie. Przypomniała sobie o nas, gdy tonęła jak przedziurawiona łódź, a kiedy znowu pływa, już nas nie potrzebuje. – Postępując usiadł obok Ingrid, a Sven – o dziwo – domyślił się, że powinien po cichu wynieść się z pokoju.

– Na pocieszenie pozostaje nam satysfakcja, że oboje zrobiliśmy, co do nas należało. Oby tylko nie zepsuła wszystkiego zbyt forsownym wysiłkiem. Musi zaczynać powoli i ostrożnie, ale to już jej sprawa. Jest uparta i potrafi dbać o swoje interesy, więc my nie powinniśmy się tym martwić.

– Nie jest pan na nią zły, doktorze?

– Jak tu się złościć na taką diabolicę? Jest zupełnie inna niż ty, Ingrid, niż my wszyscy. Porozmawiajmy więc raczej o normalnych ludziach, na przykład o tobie.

– O mnie? Panie doktorze, o czym tu rozmawiać? Znowu będę tu sama, jak dawniej, a pan zagładnie od czasu do czasu zobaczyć, czy panna Ingrid została już prawdziwą starą panną.

– Niedoczekanie twoje!

– To miłe z pana strony, ale chodźmy raczej do stołu, bo przecież nie siądziecie do skata po północy.

– Nie będzie żadnego skata. To był tylko pretekst, pod którym ten blondas Horst ściągnął mnie do siebie.

– Przecież ja nie jestem chora, doktorze!

– To wiem, ale jesteś nieszczęśliwa i kto wie, czy stary doktor nie będzie mógł ci pomóc? Posłuchaj mnie teraz uważnie i nie denerwuj się, bo złe wiadomości, które usłyszysz, tak naprawdę są dla ciebie bardzo dobre.

– Już mnie pan przestraszył, doktorze. Mam dziś nie najlepszy dzień i skołatane doszczętnie nerwy. Chodzi o Helenę? Nie wyzdrowieje?

– Mówiłem ci już, że chodzi o ciebie, a konkretnie o twoje małżeństwo. Nie przyznałaś się, ale wiem, że ten drań znowu dziś tu był, prawda?

Przytaknęła, patrząc na niego jak zaszczone zwierzątko.

– Był tu ostatni raz, moja droga! Po tym, co opowiedział mi po drodze ten sympatyczny dryblas, pozbędziemy się łobuza raz na zawsze i znów będzie tak, jakbyś go nigdy nie znała.

– Czy to możliwe, doktorze? Ja prawdę mówiąc straciłam już całkowicie nadzieję.

– W dość przypadkowy sposób udało nam się ustalić, że jest on oszustem matrymonialnym. Ma żonę w Monachium, ożenił się z tobą, a ostatnio próbował oszukać pewną wdowę w Augsburgu.

– To straszne, co pan mówi, doktorze! Wielkie nieba, to ja już naprawdę nie muszę się go bać?

– Trochę ostrożności musimy jeszcze zachować, bo nie wiemy, co ten łobuz planuje, ale ty już możesz się nie martwić. My, mężczyźni doprowadzimy tę sprawę do końca. Rozmawiałem króciutko z twoim adwokatem, a on zawiadomi policję kryminalną, bo istnieje podejrzenie, że Berger bezprawnie używa tytułu lekarskiego. Nas jednak ta sprawa nie interesuje, gdyż przede wszystkim musimy uzyskać rozwód dla ciebie. No, a teraz rozchmurz się wreszcie. Najgorsze masz za sobą, a wkrótce znów będziesz wolna jak ptak.

Ingrid ścisła mocno dłonie starego doktora, wyglądała na spokojniejszą, ale jeszcze nie w pełni odprężoną. Pozbyła się co prawda paralizującego strachu, na sercu jednak wciąż ciążył jej dręczący ból. Nie potrafiła zapomnieć krótkiego, przepojonego miłością spojrzenia Herberta, ani też tej nagłej przemiany w jego oczach, po której patrzyły one chłodno, wręcz lodowato.

Odpędzała ten widok z pamięci i próbowała się uśmiechać. By podtrzymać rozmowę, spytała doktora, w jaki sposób dowiedział się o matactwach Bergera. Kiedy usłyszała, że główną rolę odegrał w tym Horst, który poznał Gwido Bergera w czasie ich wspólnej wyprawy do Afryki, Ingrid ożywiła się i uśmiechnęła już naprawdę szczerze. – Jak to dobrze, że opatrność przysłała mi tych dwóch sympatycznych ludzi do Boorstenhaus! Teraz pozostaje mi zdać się na adwokata i cieszyć, że wyplatom się z tej kłopotliwej sytuacji. Nie rozumiem tylko, dlaczego Berger twierdzi, że nie dostał ode mnie pieniędzy; przecież wysłałam mu przekaz.

Doktor roześmiał się. – Przekaz wysłałaś, ale pieniądze nie wyszły! Pozwoliliśmy sobie z dyrektorem banku na drobne wykroczenie i wstrzymaliśmy twoje polecenie, ale myślę, że nie masz nam tego za złe?

– Teraz rozumiem, dlaczego dziś tu się zjawił. – Zamyśliła się i po chwili dodała: – A jeśli spróbuje jeszcze raz?

– Wątpię. Nasza policja działa zazwyczaj szybko i skutecznie. Przypuszczam, że nie będą czekać, aż ten spryciarz wywinie im się spod ręki, i już trzymają go pod kluczem, chociażby w celu przesłuchania. Nie uważasz, dziecko, że pora na zasłużoną kolację?

– Tak, ale pozwoli pan, że zadam jeszcze jedno pytanie? Mówił panu Horst, że był tu dziś doktor Sanders i natychmiast zabrał swoją siostrę do domu?

– Hm, opowiadał mi o tym, ale nie może uwierzyć, że ten rozsądny i zrównoważony człowiek tak się mógł zdenerwować ucieczką Heleny. Nie był to przecież powód, żeby zabierać stąd tę miłą panienkę. Jak kiedyś przypadkiem spotkam Helenę, to porządnie natrę jej uszu za zepsucie nam wszystkim dobrego nastroju. Niewdzięczne babsko!

– To nie jej wina, doktorze. Być może nigdy nie zostałaaby wielką śpiewaczką, gdyby miała inny, łagodniejszy charakter.

– Jeszcze jej bronisz? Mnie w każdym razie nie przekonasz – jest złą i pozbawioną serca kobietą. Ten jej narzeczony powinien się cieszyć, że odeszła, jeśli nie chciał być wodzony za nos do końca życia.

Ingrid uparcie wpatrywała się w swoje splecione na kolanach dłonie. – Cały czas mam wrażenie, że to nie ucieczka Heleny tak nagle zmieniła zachowanie doktora Sandersa. Musiało się zdarzyć coś jeszcze.

– Czemu tak się tym przejmujesz? Być może już nie spotkasz tego człowieka w ogóle, a Helena też pewnie więcej do Boorstenhaus nie przyjedzie, więc po co myśleć o tym incydencie? Najważniejsze, że udało nam się uwolnić twoją śliczną głowę z jarzma, które narzucił ci ten drań.

Tej nocy w dworku nad zatoką długo paliło się światło. Sven i Horst opowiadali o ich podróży do Afryki, a doktor Burger notował skrzętnie każdą uwagę o zachowaniu Gwido Bergera, by później przekazać ją adwokatowi Ingrid. Najdziwniejsze było to, że Berger rzeczywiście posiadał dużą wiedzę medyczną, czego dowiódł zarówno podczas praktyki w Wolgraben, jak i w czasie tropikalnej wyprawy. Prawdopodobnie był jednym z tych niezwykle uzdolnionych studentów, którzy przed ukończeniem studiów popadają w konflikt z dyscypliną uniwersytecką lub wręcz wchodzą na drogę przestępstwa.

Ostatnie dni pobytu obu dryblasów w Boorstenhaus upłynęły w miłej atmosferze, choć brak Gundi był odczuwany na każdym kroku. Obaj starali się nie odstępować Ingrid ani na chwilę, zwłaszcza, gdy wychodziła poza dom, aż do momentu, gdy w przeddzień ich wyjazdu Ginding przywiózł z Wolgraben wiadomość, że policja aresztowała Gwido Bergera i jest on przesłuchiwany w Lubece.

W komentarzach prasowych najwięcej było zdziwienia, że udawało mu się dokonywać oszustw, występując ciągle pod własnym nazwiskiem.

Kobieta z Monachium na wieść, że wyszła za oszusta, zemdląła; nic zresztą dziwnego, skoro straciła cały majątek, który on zdążył roztrwonić. Młoda Niemka, pracująca w Lizbonie jako modelka, specjalnie nie rozpaczała, że nie jest już panią doktorową Berger, ale informujący ją o tym urzędnik ambasady musiał nasłuchać się sporej porcji wyzwisk pod adresem oszusta i tych pracowników konsulatu, którzy dali mu ślub, nie sprawdzwszy dokumentów.

Najspokojniej zareagowała bogata wdowa z Augsburga. Nie dała się nabrać na małżeństwo, a tych kilka tysięcy marek, które wydała na oszusta, odżałowała bez większego bólu.

Dla Ingrid rozdział pod tytułem „Gwido Berger” został zamknięty. Pozbyła się strachu, a pozostał jedynie wielki smutek, że znowu skazana jest na samotność w odciętym od świata Boorstenhaus.

Jak wspomnienie przyjemnych snów, zachowała w pamięci krótkie spotkanie z Herbertem w Wolgraben, podróż do Salzburga, powrót z chorą siostrą, troskę o jej stan zdrowia, a potem nieopisaną radość, jaka ją ogarnęła, kiedy mężczyzna, który zrobił na niej tak wielkie wrażenie, nagle zjawił się w jej domu. Później były już tylko radosne dni spędzane z uroczą Gundi, przerwane gwałtownie przez Herberta jego chłodnym, wręcz wrogim pożegnaniem.

Siadywała jak zwykle przy oknie, dziergała nikomu niepotrzebne robótki ręczne i ze smutkiem w oczach wpatrywała się w połyskującą w dali tafłę zatoki.

Minęło kilka tygodni. Sven Holm nie dał za wygraną i, skoro nie dostał się na statek wielorybiczny, tak długo nalegał, aż zabrano go na wyprawę do Arktyki, z zaopatrzeniem dla jednej z baz naukowych. Horst przyjął tę wiadomość ze stoickim spokojem i skomentował, że jak komuś bardzo zależy na odmrożeniu nosa, to zawsze znajdzie okazję. Pozostaje tylko wierzyć, że wśród uczestników wyprawy znajdzie się choć kilku normalnych ludzi. Jednak kiedy dostał kartkę ze Spitsbergenu, ucieszył się jak dziecko i uznał, że jest to okazja, żeby pochwalić się tym w Kronbergu. Prawdziwy powód wizyty u Sandersów był jednak zupełnie inny. Horst otrzymał wreszcie posadę w Monachium. Był niezależny finansowo, co ucieszyło go najbardziej, ale zdaniem matki, nie był to jeszcze wystarczający powód do pełnej satysfakcji, gdyż człowiek „dobrze urządzony” musi posiadać także własne mieszkanie.

– Mamo, dla mnie mieszkanie nie ma akurat żadnego znaczenia. Jak powiedział pewien mędrzec, dla mądrego człowieka własność jest niepotrzebnym balastem.

– Ciekawe, który to mędrzec? Pewnie jeden z tych zasuszonych apostołów w sandałach, co to nie mają nawet szczoteczki do zębów. Dla ślicznej Gundi musisz mieć śliczne mieszkanie i basta!

– Tylko skąd je wziąć?

– Trzeba udać się do swojego szefa i czerwieniąc się lekko wyznać, że masz zamiar sprowadzić do Monachium żonę. Wyrozumiały szef stanie na głowie i znajdzie ci odpowiednie lokum.

– A jak nie znajdzie?

– To trzeba będzie uśmiechnąć się do bogatego szwagra i zasugerować mu, że w prezencie ślubnym powinien wpłacić siostrze wkład u przedsiębiorcy budowlanego.

– Patrz, ja cały czas uważałem siebie za mądrego człowieka, a jestem nieporadny jak dziecko. Mamo, ty jesteś naprawdę o wiele mądrzejsza niż ja!

– Bo niekoniecznie ten, kto ma wiedzę, musi być od razu mądry.

– Dostało mi się, i to od własnej matki!

Uściskał serdecznie kruchą staruszkę i szykował się do wyjazdu z przeświadczeniem, że sprawę mieszkania ma już załatwioną.

Wrzucił do wypożyczonego samochodu podręczną walizkę z przyborami toaletowymi i bielizną na zmianę, i mimo mgły i gołoledzi, wyruszył ostrożnie do Kronbergu, na – jak sam to nazwał – widzenie z narzeczoną.

Zapadł już zmierzch, zanim zatrzymał się w schludnym miasteczku pod Frankfurtem i zatrąbił przed wejściem do willi Sandersów.

Pisk dochodzący z wnętrza domu potwierdził, że trafił pod właściwy adres, a po chwili Gundi, rzucająca mu się na szyję, rozwiła resztki wątpliwości. Zabrał walizkę i oświadczył, że przez najbliższy tydzień nie ruszy się stąd na krok.

W willi Sandersów od kilku tygodni panowała spokojna, ale wyczuwalnie sztywna atmosfera. Gundi nie miała wątpliwości, że brat nie odzyskał jeszcze psychicznej równowagi. Godzinami przesiadywał w swoim gabinecie, częściej niż zwykle wyjeżdżał w podróże służbowe i ani razu nie wspomniał o Boorstenhaus.

Gundi przypuszczała, że ma to związek z niechlubną ucieczką Eleny i taktownie nie poruszała tego tematu, nie przypuszczając, że Herbert niemal codziennie myślami ucieka do starego, pięknego domu nad zatoką i jego ślicznej, jasnowłosej właścicielki.

Wciąż nie mógł zapomnieć o bólu, który ścisnął mu serce, gdy zobaczył ukochaną i uwielbianą kobietę w ramionach innego mężczyzny, i to w momencie, kiedy on uwolnił się od zobowiązań wobec Eleny i zamierzał wyznać swoje uczucia Ingrid.

Kilka dni przed przyjazdem Horsta w jednej z francuskich gazet Gundi przeczytała artykuł o triumfalnym powrocie na scenę wielkiej gwiazdy operowej, Eleny Gerber. W pełnych entuzjazmu słowach dziennikarz chwalił niezwykle głośno artystki, występującej w operze „Norma” Verdiego. Brzmiał jak zawsze czysto, a oprócz szerokiej skali, odznaczał się teraz wyjątkowym ciepłem i miękkością. Nie była to jedyna korzystna zmiana, jaką publiczność dostrzegła u artystki. Niegdyś przerażająco chuda, dopiero teraz przybrawszy nieco na wadze, pokazała prawdziwe piękno swojej zachwycającej urody.

Gundi przeczytawszy te słowa, skrzywiła się i mruknęła:

– Dla mnie i tak pozostanie zimną, wyrachowaną kukłą!

Jednak wieczorem po kolacji podsunęła bratu artykuł do przeczytania.

– To brzmi pocieszająco, Gundi. Mam nadzieję, że oszołomiona sukcesem, nie zapomni, komu zawdzięcza powrót na scenę, zwłaszcza staremu doktorowi i Ingrid Boorsten.

– Mogłaby przynajmniej szarpnąć się na pocztówkę do Ingrid, bo, jak ją znam, na coś więcej się nie zdobędzie. – Gundi zerknęła na brata i dodała: – Wybacz, że niezbyt pochlebnie wyrażam się o Elenie, ale nie potrafię się przemóc. Napiszesz jej, że czytałeś ten artykuł?

– Nie, skądże! Nie widzę najmniejszego powodu, skoro definitywnie skończyliśmy ze sobą.

– A jednak cierpisz, prawda?

– Skąd przyszło ci to do głowy, szkrabie?

– Zmieniłeś się, jesteś milczący, bardzo poważny...

– To wina drobnych kłopotów zawodowych i wielkiego rozczarowania, jakiego doznałem. Powiem ci o tym, kiedy sam się z nim uporam, więc nie nalegaj. Jeżeli chodzi o Elenę, to cieszę się, bo byłoby szkoda, gdyby tak piękny głos zamilkł na zawsze. Masz jakieś wiadomości z Boorstenhaus?

– Ingrid pisze często, a ja natychmiast odpowiadam. Jest bardzo osamotniona i smutna. Właśnie chciałam cię prosić, abys pozwolił mi pojechać do niej na kilka dni podczas świąt Bożego Narodzenia, aby nie była zupełnie sama.

– Wątpię, czy spędzi święta sama, ale to jej sprawa. Jeżeli życzy sobie twojej obecności, to nie będę cię zatrzymywać.

– Czy dziś już możesz mi zdradzić, dlaczego wtedy tak nagle mnie stamtąd zabrałeś? Nie chodziło chyba o Elenę?

Nie odpowiedział od razu, a po chwili popatrzył na Gundi i rzekł: – Na razie powiem ci tylko tyle, że przed wejściem do domu byłem świadkiem czegoś, co zupełnie wytrąciło mnie z równowagi.

– Ja w każdym razie w każdym liście przesyłam także pozdrowienia od ciebie. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe?

– A jaką odpowiedź otrzymujesz z tamtej strony?

– Żadnego komentarza. Czasami tylko wzmianka o tobie, za to wiele serdecznych pozdrowień masz od Horsta i Svena, który – jak pisze ostatnio – przebywa na statku, gdzieś za kręgiem polarnym.

– W następnym liście możesz potwierdzić swój przyjazd i przekaż panie Boorsten pozdrowienia ode mnie.

– Przekażę. Może napiszę także do Eleny?

– Jeśli masz ochotę... Niektórzy ludzie pisują do wielkich gwiazd.

– Ochoty raczej nie mam, ale muszę jej wygarnąć to, co leży mi na sercu – burknęła Gundi i zabrała się do pisania takiego oto listu:

Droga Eleno!... albo raczej: zrozumiała Eleno! Przeczytałam w gazecie, że z Twoim głosem już wszystko w porządku. Na pewno bardzo się z tego cieszysz, często myślisz, o tych, którym to zawdzięczasz, i jakoś im to wynagradzasz, bo nie jesteś przecież bezdusznym manekinem, za jakiego Cię uważałam. Z serdecznymi pozdrowieniami od siebie – Herberta wykluczam.

Twoja Gundi

W odpowiedzi kilka dni później nadeszła z Paryża ogromna bomboniera z wizytówką madame Eleny Gerber, ale bez słowa wyjaśnienia. Gundi zadzierała z dumą nosa, że udało jej się celnie trafić wielką dive, i z rozkoszą zjadała się pysznymi czekoladkami.

Przybycie Horsta stało się dla Gundi nieporównywalnie większym powodem do

świętowania. Jochen, który znów przeistoczył się we wzorowego lokaja, a wykazywanie się kulinarnymi talentami pozostawił starej kucharce, uznał, że na taką okazję warto przynieść z piwnicy butelkę starego francuskiego szampana.

Młodzi ludzie siedzieli więc znowu przy rozpalonym kominku w przytulnym salonie starej willi i wspominali wydarzenia z dalszej i bliższej przeszłości. Horst pochwalił się kartką od Svena i rozmowa o Ingrid stała się nieunikniona.

– Dostałem też kilka dni temu list z Wolgraben, od naszego poczciwego doktora Burgera.

– Prowadzicie korespondencję?

– Niezupełnie. Potrzebował tylko dodatkowych informacji o Gwido Bergerze, dotyczących sprawy o unieważnienie małżeństwa w Boorstenhaus.

Herbert i Gundi patrzyli na niego jak na raroga.

– Chyba nie oczekujesz, że zrozumieliśmy, o co chodzi?

– Rzeczywiście! Przecież nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat, a małżeństwo zostało unieważnione dopiero w zeszłym tygodniu.

– Jakie małżeństwo? O kim ty właściwie mówisz, Horst? Co ma Gwido Berger wspólnego z Boorstenhaus? – zdenerwował się Herbert.

Horst wypił potężny łyk szampana, zapalił papierosa i wyciągając się wygodnie w fotelu, przymierzał się do położenia nóg na krawędzi kominka. – Mogę? – spytał zerkając z ukosa na Gundi.

Ta przytaknęła skwapliwie, bo podobnie jak brat, wprost umierała z ciekawości.

– Rób już co chcesz, ale mów wreszcie i nie trzymaj nas w napięciu.

– Nie wiem, czy zdarzyło wam się kiedyś dostać niespodziewanie w pysk, ale ja mniej więcej w taki sposób trafiłem na trop tej dziwnej, niewiarygodnej wprost historii. Przypominacie sobie ten dzień, kiedy Elena uciekła, a ty porwałś Gundi z Boorstenhaus jak z zadumionego domu?

– Jakże mógłbym zapomnieć! Tylko co to ma wspólnego z twoją korespondencją z doktorem i z Gwido Bergerem? – zdziwił się Herbert.

Horst musiał zacząć od tego, czego dowiedział się od matki o pewnym doktorze, uwodzającym bogatą wdowę w Augsburgu, a skończył na dochodzeniu policyjnym, które wykazało, że Gwido Berger jest oszustem matrymonialnym, nie ma prawa wykonywania zawodu lekarza, zaś jego krótkie małżeństwo z Ingrid Boorsten zostało sądownie unieważnione.

– To Ingrid Boorsten była żoną doktora Bergera? – – Tylko na papierze. Stara Doris opowiedziała mi, jak wyglądało to ich „wesele”. Rzucił się łajdak na nią zaraz po ślubie, za co został jeszcze tego samego dnia wypędzony z Boorstenhaus. Zażądał pieniędzy, a Ingrid co miesiąc wypłacała mu poprzez bank sporą sumę. Nie pokazywał się długi czas, bo Doris nakryła go na kradzieży i zagroziła, że doniesie na policję.

– A ta żona, którą ty i Sven widzieliście z nim w Monachium?

– Ją również oszukał, a na dodatek doszczętnie ograbił z pieniędzy. Tę w Lizbonie też naciągnął, natomiast bogata wdowa z Augsburga wyczuła pismo nosem i pierwsza rzuciła

oszustowi kłodę pod nogi.

– Wiedziałeś, że Berger był w Boorstenhaus?

– Dopiero po waszym wyjeździe zobaczyłem drania skradającego się za płotem. Po rozmowie z Doris dowiedziałem się, że nie był tam po raz pierwszy. Tego feralnego dnia wcześniej napadł Ingrid w ogrodzie.

Broniła się biedaczka, jak mogła, i udało jej się uciec dopiero kiedy zdzieliła łobuza bukietem twardych jesiennych kwiatów.

Herbert wstał powoli, odetchnął z ulgą, popatrzył radośnie na Gundi, a uśmiechnąwszy się do Horsta, uniósł kieliszek i rzekł:

– Wypijmy ten toast za szczęście i pomyślność panny Ingrid. Wszyscy troje podnieśli puchary, a Herbert, uśmiechnięty od ucha do ucha, zwrócił się do Horsta:

– Jak długo możesz u nas zostać, Horst?

– Matka dała mi urlop do końca świąt – uśmiechnął się puszcżając oczko do Gundi. – Jej zdaniem, dobry narzeczony powinien leżeć pod choinką u swojej wybranki.

– Miło mi to słyszeć i cieszę się, bo muszę wyjechać. Przyślę wam wiadomość, jak spędzimy święta, ale nie stawiajcie, proszę, żadnych pytań. Z całą pewnością nie jadę do Eleny, do Paryża. Ten rozdział jest już zamknięty, a co do następnych, to zostawcie sobie niespodziankę pod choinkę. – Pocałował Gundi we włosy, a klepiąc Horsta po ramieniu dodał: – Przez kilka dni Jochen chyba dopilnuje, żebyście tu nie narobili głupstw?

– Pilnował w buszu, to tutaj też sobie poradzi – odciął się Horst, gdy Herbert stał już w drzwiach.

Zostali sami, szczęśliwi jak nigdy. Radio grało do tańca, na stole stała butelka szampana, więc co się dziwić, że nawet nie usłyszeli, kiedy wielki samochód Herberta odjechał spod domu.

XIX

Skazana przez los na samotność, Ingrid przestała liczyć monotonnie upływające dni. Jedynymi promykami radości były listy od Gundi i obu wielkoludów, którzy przełamawszy wrodzoną niechęć do pisania, dzielili się z opuszczoną przez wszystkich dziewczyną radosnymi wiadomościami i wspomnieniami.

Do końca życia Ingrid nie zapomni też dnia, w którym doktor Burger i adwokat przynieśli jej decyzję sądu, unieważniającą małżeństwo z Gwido Bergerem oraz wiadomość, że został skazany na pozbawienie wolności za liczne, jak się okazało, drobne i bardziej poważne przestępstwa.

Poczuła ogromną ulgę i z wdzięczności gotowa była ucałować starego doktora po rękach, także za to, że w tym nieszczęściu wiernie jej towarzyszył aż do końca. Skończyło się na kilku serdecznych uściskach.

Nazajutrz radość przygasła, a Ingrid znów stała się cichą, osamotnioną dziewczyną. Siadywała przy oknie z nieodłączną robótką w ręku i patrzyła na zatokę, wzburzoną teraz coraz częściej przez szalejące jesienne wiatry. Stara Doris krzątała się jak zwykle po kuchni, Klara wykonywała sumiennie swoje obowiązki, a Ginding wreszcie mógł w spokoju wypić wieczorem szklaneczkę grogu. Życie wróciło więc na tory, z których wytrąciło je latem nagłe wtargnięcie Heleny.

Siostra nie odezwała się ani razu, jedynie sekretarz Hillay przysłał z Paryża wycinki z gazet, z których Ingrid dowiedziała się, że po premierze Elena Gerber znów dołączyła do światowych sław opery i nie ma chyba śpiewaczki, która dziś mogłaby jej dorównać.

A Ingrid zamknęła się w swoim malutkim świecie i nawet bała się wracać myślami do chwil, kiedy wierzyła, że coś może się zmienić. Jej przeraźliwie samotne serce przypominało jednak, że wciąż nie pogodziło się ze stratą ukochanego mężczyzny.

Zbliżało się Boże Narodzenie, ale dla Ingrid znaczyło to tylko, że będzie musiała kilka razy pojechać do Wolgraben, by kupić jakieś drobiazgi pod choinkę dla domowników. Poza tym, jak co roku, w pierwszy dzień świąt będzie na stole pieczona gęś dla doktora Burgera i mnóstwo słodczy i ciastek dla kolędników z pobliskich wsi.

Tego wieczoru zmierzch zapadł wyjątkowo wcześnie. Doris pozapalała już światła i nakrywała dla Ingrid stół do samotnej kolacji gdy nagle podniosła swoją siwą głowę i nasłuchiwała, bo zdawało jej się, że – słyszy nadjeżdżający samochód.

Bez słowa wyszła, zapaliła lampę nad wejściem, otworzyła drzwi i zasłoniła oczy przed oślepiającym światłem reflektorów.

– Znowu ktoś pobłądził! Hej, Ginding, wyjdź no i wytłumacz, jak stąd wyjechać.

Stangret nie miał ochoty odrywać się od grogu, ale jak Doris każe, to podobno nawet chwasty boją się rosnąć. Ominął ją i poczłapał ku bramie, a po chwili rozległo się stamtąd

głośne, radosne powitanie. Światła samochodu zgasły i słychać było tylko kroki dwóch osób zbliżających się do domu.

W ostatniej chwili Doris rozpoznała Herberta Sandersa. Krzyknęła krótko z radości, bo od razu wiedziała, że jego wizyta może dla Ingrid oznaczać tylko coś dobrego.

Herbert przywitał się, poprosił, żeby mu przygotować pokój na noc i spytał, jakby nic się nie stało:

– Panna Ingrid jest w salonie?

Doris skinęła głową, a on wszedł do dobrze znanego mu pokoju.

Zobaczył widok, który niegdyś zapadł mu na zawsze w pamięci: Ingrid znowu siedziała przy oknie, z rękoma na kolanach, i patrzyła na pogrążoną w ciemnościach zatokę, w której odbijały się słabe światła niedalekiej wioski i przesuwały cienie lekkich fal.

Nie odwróciwszy głowy, Ingrid spytała:

– Znowu chcesz mnie zapędzić do stołu Doris?

A nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi ani też charakterystycznego pobrzękiwania sztuccami, odwróciła szybko głowę i zobaczyła stojącego w drzwiach... Herberta Sandersa. Wstała, wyprostowała się dumnie, zmarszczyła brwi i zdobywając się na spokojny ton, spytała krótko:

– Czego pan sobie życzy, doktorze? Podszedł, patrząc jej prosto w oczy.

– Miał pan odwagę wejść do mojego domu po tym, jak ostatnio pan mnie obraził? Stanowczo żądam, żeby pan natychmiast stąd wyszedł! – cofnęła się i uchwyciła oparcia starego fotela. Drżała na całym ciele i czuła, że lada moment straci panowanie nad sobą.

On tymczasem podchodził coraz bliżej z wyciągniętą na powitanie ręką.

– Co to ma znaczyć? Nie mam zamiaru witać się z panem. Już się nie znamy. Elena wyjechała i nie ma pan tu czego szukać.

Stanął bardzo blisko i, jakby nic się nie stało, rzekł miłym i ciepłym głosem: – Czy naprawdę muszę słowami tłumaczyć Ingrid Boorsten, po co tu przyjechałem? Czy Ingrid zapomniała już, co sobie kiedyś powiedzieliśmy bez słów?

Odsunęła się, by być jak najdalej od niego i odezwała się tak chłodnym tonem, o jaki sama siebie nie podejrzewała:

– Ingrid Boorsten niczego nie zapomniała – ani oschłego pożegnania, ani tym bardziej zabrania stąd Gundi, jakby mój dom nagle okazał się zadzumiony. Tego nigdy panu Ingrid nie zapomni!

– A zapomniała, że kiedyś mnie kochała i z utęsknieniem czekała na mój przyjazd?

– To nieprawda, doktorze. Wysnuł pan niewłaściwe wnioski z mojego zachowania, boja pański przyjazd do mojego domu wiązałam wyłącznie z pobytem Heleny i jako gospodyni czułam się zaszczycona.

– To przecież niemożliwe, żeby Ingrid nie zauważyła, że ją kocham.

Teraz stał już tak blisko, że mógł położyć ręce na jej ramionach. Patrzył jej głęboko w oczy i rzekł zdecydowanym tonem:

– Posłuchaj mnie, Ingrid. Wiem, że cię zraniłem, ale przez swoją pomyłkę również sporo wycierpiałem. Kiedy po raz drugi przyjechałem do Boorstenhaus, zobaczyłem cię w ramionach innego mężczyzny. Możesz sobie więc wyobrazić, dlaczego wściekły i zawiedziony chciałem czym prędzej wyjechać z twojego domu, który zrobił na mnie ogromne wrażenie i do którego z wielkim utęsknieniem jechałem. Ale ból, że należysz do innego, był tak dotkliwy, iż nie mogłem zapanować nad sobą i byłem niesprawiedliwy wobec ciebie.

Jej twarz złagodniała nieco. Schyliła głowę, jakby spadł na nią jakiś ciężar, i nie patrząc na Herberta spytała nieśmiało: – Myślałeś więc, że mam kogoś? A teraz już wiesz, jak było naprawdę?

– Przez przypadek, jaki zdarza się raz na sto lat, dowiedziałem się prawdy, Ingrid. Wczoraj przyjechał do nas, do Kronbergu, Horst i w trakcie rozmowy opowiedział nam o twojej przykrej historii. Wsiadłem do samochodu niemal natychmiast i mimo nocy, i gołoledzi jechałem do ciebie. I oto jestem, stoję przed tobą i proszę, abyś wybaczyła ślepcowi, który minął się z prawdą.

Powoli przyciągnął ją do siebie, patrząc czule w oczy, a ona w pewnym momencie wybuchnęła bolesnym, ale już przynoszącym ulgę płaczem, przytuliła się do jego piersi i chwyciwszy mocno za rękaw marynarki, szepnęła:

– Mój Boże, spraw, żeby to była prawda!

– To jest prawda, Ingrid! Wspaniała, piękna i radosna... Jestem przecież z tobą, trzymam cię w ramionach i wiem nareszcie, że ty mnie kochasz.

– Nie chciałam dłużej żyć, Herbercie, po tym wszystkim, co się zdarzyło. Nie potrafiłam zapomnieć twojego chłodnego i odpychającego spojrzenia.

– Wybaczysz mi, Ingrid, że przeze mnie tyle wycierpiałaś?

– O tak, Herbercie! Strasznie cię kocham, i to już od dnia, kiedy przypadkiem spotkaliśmy się w Wolgraben i zamieniliśmy zaledwie kilka słów. Nie mogłam przestać o tobie myśleć, więc wyobraż sobie moją rozpacz, kiedy okazało się, że jesteś narzeczoną Heleny. Dla mnie był to cios i koniec marzeń o mężczyźnie, którego pokochałam.

Pocałował delikatnie jej włosy i uśmiechając się pogłaskał po policzku. – A nie zauważyłaś już wtedy, że ja też ciebie kocham? Że z Eleną nie łączy mnie już miłość?

– Domyślałam się i cieszyłam, choć rozsądek podpowiadał, że nie powinnam. Twój nagły wyjazd z Boorstenhaus sprawił mi wielki ból.

Byłam przekonana, że nadal kochasz Helenę, że masz do niej żal, a ponieważ uciekła, całą złość wyładowałaś na mnie. Zabrałaś mi jedyną radość, jaką była obecność Gundi. Pozostało mi jedynie kilka jaśniejszych dni, kiedy Horst i Sven postanowili zostać, a później znów pograżyłam się w nudzie i samotności.

– A teraz, skarbie?

– Teraz znów świeci słońce i jestem bezgranicznie radosna i szczęśliwa. Naprawdę kochasz tę niepozorną i przeciętną Ingrid? Dlaczego właściwie?

– Nie widzę na świecie większego szczęścia niż spoglądanie w oczy mojej ślicznej,

delikatnej blondwłosej Ingrid – pocałował pierwszy raz jej słodkie usta i ogarnęła go taka namiętność, że miał ochotę przytulić ją z całej siły, pieścić i całować, ale przypomniał sobie jej przykre doświadczenie z Bergerem i bał się, że może zranić jej wrażliwe serce. Musi poczekać, aż ona ochłonie nieco i przyzwyczai się do zmienionej sytuacji.

Pochylił się i obsypał pocałunkami jej obie dłonie. Uśmiechała się lekko, głaskała jego gęste włosy i raz po raz dotykała ich delikatnie wargami.

– Kocham cię – szepnęła ledwie słyszalnym głosem.

– Ja ciebie ubóstwiam, Ingrid – odpowiedział cicho. Popatrzyli nagle na siebie, jakby dopiero co zbudzili się ze snu.

Ingrid odezwała się pierwsza: – Właściwie powinnam powiedzieć o wszystkim Doris.

– Ja myślę, że ta mądra kobieta już się domyśliła, ale poprośmy ją tu do nas. Prosiłem ją, żeby przygotowała mi pokój, a to oznacza, że tak prędko z uroczego Boorstenhaus nie wyjadę. Zostanę z tobą na święta, zaprosimy Horsta i Gundi, i znów w starym domu będzie gwarno i wesoło. Co ty na to, Ingrid?

– Zgadzam się na każdą twoją propozycję. Już czuję, że wszystkie decyzje pozostawię tobie, a dla siebie zatrzymam tylko szczęście i błogi spokój.

Dom nad zatoką był chyba najradośniejszym domem na świecie. Dwa dni później przyjechali tam Horst i Gundi, a stary doktor też prawie się stamtąd nie ruszał, bo choć nad zatoką szalały zimowe wichury i zamiecie, w Boorstenhaus było ciepło i przytulnie.

W marcu, zaraz po weselu Horsta i Gundi, na które przyjechał niemal prosto z Bieguna Północnego także Sven, odbył się ślub Herberta i Ingrid. W jaki sposób dowiedziała się o tym Helena, właściwie nikt nie wiedział, w każdym razie tuż przed weselem przysłała z Rzymu ogromną paczkę, a w niej piękną wieczorową suknię, wraz z wszystkimi dodatkami i biżuterią. Na dołączonej wizytówce napisała swoim koślawym, odręcznym pismem:

Nareszcie zmądrzałaś! Wiem, że potrafisz ładnie wyglądać, ale zrób mi przyjemność i ubierz się w tę suknię, kiedy w przyszłym miesiącu przyjedziesz do Wiednia na mój pierwszy występ w Austrii po pamiętnym dla mnie festiwalu w Salzburgu. Zapraszam Cię z mężem, któremu przesyłam serdeczne pozdrowienia. Wiem, że teraz obrał właściwą drogę w życiu – ja zresztą też. Dziękuję za wszystko Tobie i tym, którzy mi wtedy pomogli Twoja siostra Elena

Ingrid lekko zakłopotana podała list mężowi, a on uśmiechnął się stwierdziwszy, że Elena nie zmieniła się nic a nic.

Pojechali, oczywiście, do Wiednia i poszli do opery na premierę „Toski” z Eleną Gerber w roli tytułowej. Śpiewała bosko, wyglądała uroczo, a przy nieustającym aplauzie publiczności zdawała się wręcz tryskać anielskim szczęściem. Sławny dyrygent, ten sam, który wtedy w Salzburgu okazał jej tyle serca, teraz kilkakrotnie wywoływał ją na scenę i w głębokim ukłonie z szacunkiem całował w rękę. Elena klaniała się i dyskretnie zerkała w stronę łoża, gdzie, jak

wiedziała, siedzieli Ingrid i Herbert.

Wkrótce jednak wrócili do spokojnego Boorstenhaus, w którym wiosna zaczynała już zaprowadzać swoje porządki, jakby też chciała wnieść swój wkład do harmonii i szczęścia panującego w starym domu.

Willę w Kronbergu Herbert zapisał Gundi w prezencie ślubnym, gdyż bardzo polubił Boorstenhaus i nie miał zamiaru przenosić się z Ingrid gdziekolwiek indziej. Kiedy Horst dowiedział się, że został właścicielem willi, natychmiast napisał do matki:

Nie muszę szukać posady z mieszkaniem ani też prosić o nie przełożonych! Trafila mi się żona z willą i chyba oszaleję ze szczęścia. Żeby się o tym przekonać naocznie, pakuj manatki i przyjeżdżaj natychmiast do Twojego Horsta i Twojej Gundi.

Pani Kruger nie trzeba było dwa razy powtarzać. Przyjechała i od razu doszła do wniosku, że nieruchomości nieco Jochenowi przyda się ktoś bardziej energiczny do rządzenia.

W Boorstenhaus tymczasem rządy dalej sprawowała Doris, stary Ginding znów miał czas na swoją szklaneczkę grogu, a Klara ciągle złościła się na niego, że nic nie robi. Ale były to jedyne drobne sprzeczki w starym spokojnym domu, gdzie piękna Ingrid i jej mąż cieszyli się pełnią szczęścia.